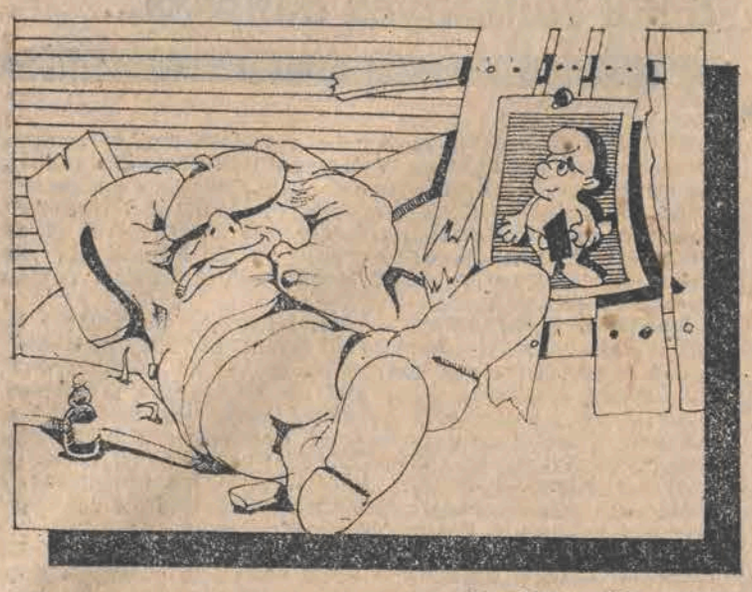

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 26 (1630) ROK XXXII 25 CZERWCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

□ Śmierć zjawiła się dwa razy — str. 7
□ I Panu Bogu podpadli... — str. 16
□ Piękna i niedotykalna nauczycielka — str. 10
□ Co dziś w Polsce znaczy robotnik? — str. 13

Jaki jest polski futbol każdy widzi, ale czy można coś zmienić na lepsze?

Piłka nożna jest konserwatywnym sportem

Rozmowa z LESZKIEM JEZIERSKIM — trenerem drużyny piłki nożnej ŁKS, przewodniczącym Rady Trenerów.

— Odbył się Walny Zjazd Delegatów PZPN. Po tym Zjeździe wiele sobie obiecywano. Tak się nie stało i zapanowało powszechne rozczarowanie. W gazetach — i to nie tylko sportowych — ukazały się bardzo krytyczne artykuły. Pisano wręcz o skandalu. Czy podziela pan takie opinie?

— Absolutnie nie. Czego się spodziewano, że zaraz następnego dnia zmieni się sytuacja w polskiej piłce nożnej? Przecież to absurd. Czy może spodziewano się, że delegaci zdejmą ze stanowiska trenera reprezentacji Wojciecha Łazarka?

— Nie ukrywam, że duża część kibiców tego oczekiwała.

— Wojciech Łazarek zabrał głos na Zjeździe i opowiedział o himalaistach. Gdy himalaista znajduje się w połowie góry, to nie powinien rezygnować.

— To było takie porównanie?

— Coś w tym rodzaju. Dał wszystkim do zrozumienia, że on jest w połowie drogi i że jeszcze wszystko może się zdarzyć.

— A więc i cud. Ale ja w cuda nie wierzę.

— To pani powiedziała.

— Wszyscy krytykują Walny Zjazd Delegatów PZPN za przeprowadzenie innej niż zaplanowano reformy ligi i za czas, w jakim się to stało. Co pan na to?

— Czas, mówi pani, jest nie ten. Ale przecież termin Walnego Zjazdu był wcześniej ustalony i był taki, a nie inny. Moim zdaniem pytanie trzeba inaczej postawić. Czy delegaci mieli zaaprobować wadliwą koncepcję reorganizacji, czy też zmienić ją na lepszą? Uważam, że powinni ją byli zmienić i tak się stało. Czy były inne możliwości działania? Teoretycznie były Rada Trenerów dużo wcześniej protestowała przeciw projektowanej reorganizacji. Ale nikt się z naszym głosem nie liczył. Na co więc mieliśmy czekać?

— Czyżby trenerzy byli przeciw reorganizacji?

6

Collage: Grzegorz Gałasiński

„TEXAPOL" — firma, w której nie ma pieniędzy na wypłatę za pracę.

Gdzie jest Prezes?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Wszycy mają złość na **Prezesa**, że tak zwyczajnie dał nogę. Wściekają się robotnicy, choć to oni najlepiej wiedzą, że nawet na państwowym nie zbijali tak bąków, jak w **„Texapolu"**. Żali się także dyrektor, który jednak przyznaje, że od dawna podejrzewał **Prezesa** o grube machlojki. Denerwuje się również **Zaopatrzeniowiec**, chociaż to z nim właśnie podzielił się kiedyś **Prezes** refleksją:

— Firma — powiedział — **jest spółką z ograniczoną odpowiedzialnością. A to znaczy, że moja odpowiedzialność jest żadna.**

Wygląda więc na to, że pracownicy **„Texapolu"** liczyli na cud. Ten się zaś nie zdarzył. Zamiast cudu i zamiast pensji zdarzyła się ucieczka **Prezesa.**

1.

Na początku było dwóch udziałowców: **Prezes** i **Wiceprezes.** Pierwszy z nich prowadził w **Koluszkach** zakład krawiecki. O drugim wiadomo tylko, że szybko się z „interesu" wycofał. Ludzie w firmie powiadają, iż nie tyle on sam to zrobił, co został wycofany.

— Nie chciał — mówią pocichu — **pogodzić się z przyjęciem Dyrektora, poprzednio kierownika w jednym z PGM. Źle — podobno — oceniał jego kwalifikacje.** Przeciwnie, niż **Prezes,** który postawił na **Dyrektora,** i chyba się nie zawiódł.

Prezes chciał być wyłącznie od strategii, czyli od zysku w globalnym ujęciu. Szczegóły interesowały go o tyle, o ile pomnażały dochody. Rzadko — jeśli tyczyły warunków pracy, wyposażenia w narzędzia i materiały, dotrzymywania terminów itp. drobiazgów. O to wszystko troszczyć się miał **Dyrektor.** W teorii, bo w praktyce chodziło najwyraźniej tylko o to, by nie zawracać nim prezesowej głowy.

Zaopatrzeniowiec, który pełnił funkcję chłopca do wszystkiego, kilkakrotnie był świadkiem następującej sceny:

— Prezesie, nie jest dobrze — mówił **Główny Księgowy — to a to się nie zgadza...**

— To są szczegóły — machał ręką **Prezes. — Niech pan z tym idzie do Dyrektora.**

— Nie może być źle, przecież idzie tak dobrze — oburzał się z kolei **Dyrektor.**

I **Główny Księgowy** odchodził, zaś na jego miejsce przychodził następny...

Chętnych do pracy w spółce nigdy nie brakowało. Zewsząd, a głównie z uspołecznionych przedsiębiorstw, ściągali robotnicy. W porywach było ich ponad siedemdziesięciu, samych najlepszych fachowców. Przystąpili do pracy w grudniu 1988 roku. Zaczęli, nie można powiedzieć, z dużym zapałem. Po co mieli się lenić, skoro **Dyrektor** zapewnił ich już na wstępie, że każdemu, kto zarobi poniżej 100 tys. zł, należeć się będzie od razu zwolnienie, bo nie przemęczył się zbytnio. W początkach 1989 roku 100 tys. zł było sumką nie lada. Przynajmniej na zadatek dla lepszej przyszłości.

Firma postawiła sobie ambitne zadanie: ni mniej ni więcej, tylko **uratowanie łódzkiej secesji!** I rzeczywiście, podpisano umowę ze **śródmiejskim PGM** na remont kilku zniszczonych kamienic, głównie zaś — na wymianę sieci gazowniczej i elektrycznej. Zapał do pracy podtrzymywany był umiejętnie przez **Dyrektora,** który tłumaczył, zapewniał, przekonywał i obiecywał, aż w końcu tak zakręcił fachowcom w głowach, że przez długie tygodnie nie tracili do pr. zapału, licząc a to na wyższe zarobki, a to na wzmożone dostawy materiałów, a to na wyjazdy zagraniczne, o których tu i ówdzie przebąkiwano, jako o kwestii prawie już przesądzonej!

Gdyby **Dyrektor** zarządzał firmą państwową, pewnie by mu tak chętnie nie uwierzono. Ale dyrektor spółki, to co innego. Spółka, to szmal — wierzyli. Inaczej po co by się zwalniali z dotychczasowej pracy?

Nie da się jednak ukryć, że **pewne rzeczy denerwowały ich od początku.** Na przykład to, że narzędzi i materiałów było tyle, co kot napłakał. Przynosili więc z domu własne klucze i piły, potem rurki i kolanka, potem pożyczali spawarkę, a wreszcie i kształtki na rynku zakupili, i gips przewozili w małym fiacie. Zapamiętał to dobrze **Elektryk,** który pracował w brygadzie na ul. **Tramwajowej 3,** naprzeciw zajezdni. Kiedyś — podsumowuje — był awaryjnym w państwowej firmie, robiąc tylko wtedy, gdy coś się zepsuje. Bije się w piersi, że napracował się tam więcej, niż w **„Texapolu".** Trzy miesiące siedzieli na Tramwajowej, a pracy starczyło mu ledwie na dwa trzy dni!

Czasem się trochę ruszyło z materiałami, popchnęli naprzód robotę, ale nie na długo. Ciągle brakowało a to kształtek, a to izolacji, a to zwykłego lepiku. Ostatnio całe tygodnie przesiadywali na ławeczce albo w pakamerze. **Elektryk** wspomina to z zażenowaniem:

6

Franklin Roosevelt, Winston Churchill, Adolf Hitler, Benito Mussolini, John Kennedy, Józef Stalin, Leonid Breżniew — byli ludźmi cierpiącymi na różne choroby.

Cena wielkości

JAN BĄBIŃSKI

1.

Lotnisko Saki opodal Jałty na Krymie. Był 3 lutego 1945 r., dzień mroźny, sypało śniegiem. Przy schodzeniu maszyny narażone były na wielkie ryzyko. Lądowały na oblodzonym betonie przy mocno ograniczonej widoczności. Udało się. Nie odnotowano żadnej awarii. Samolot z Franklinem Rooseveltem osiadł miękko i zniechomiał tuż przed hangarem. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie wysiadał. Czekał na przybycie Winstona Churchilla.

Po dwudziestu minutach z drzwi angielskiej maszyny wynurzyła się charakterystyczna postać Winstona Churchilla z cygarem w ustach i teraz rozegrała się zdumiewająca scena. Na wszystkich zebranych wywarła przygnębiające wrażenie. Jeden z goryli wyniósł Roosevelta jak dziecko na ręku i posadził delikatnie jak porcelanę na tylnym siedzeniu wojskowego łazika.

Wiedziano, że Franklin Roosevelt od dawna nie rozstaje się z gorsetem i protezami. Był przykuty do wózka na kółkach. Coś było jednak takiego wówczas na obliczu prezydenta, co wstrząsnęło wszystkimi. Na jego twarzy malował się cień zbliżającej się śmierci. Norris Houghton, wtenczas porucznik, napisał 25 maja 1953 r. w „The New Yorker" znamienne słowa:

„Najbardziej zaszokował mnie wyraz twarzy prezydenta. Te stężałe i ściągnięte rysy. Głębokie bruzdy pod oczami, świadczące o krańcowym wyczerpaniu. Jego cera była tak bielutka, jakby ją pociągnięto wapnem".

Wtajemniczeni zdawali sobie nie od dziś sprawę, że Roosevelt choruje na arteriosklerozę. Dr Harold Bruenn, osobisty lekarz prezydenta, ujawnił to ogółowi dopiero po latach. Oświadczył, że elektrokardiogramy wykazywały już w 1943 r., że Franklin Roosevelt ciężko choruje. Choroba go rujnowała. Jego czas dobiegał końca. Tego samego zdania był dr Harold Sheehan, towarzyszący Rooseveltowi w Jałcie.

We wspomnieniach wydanych w 1970 r. dr Harold Sheehan zauważył:

„Było jasne, że pobyt prezydenta w Jałcie zbiega się z końcowym stadium jego choroby. Byliśmy wstrząśnięci, nikt nie wątpił, że to człowiek już umierający. Fakt, że przybył na konferencję było jeszcze jednym dowodem jego oddania sprawie i wielkiego poczucia odpowiedzialności".

Tę opinię podzielił lord Moran, osobisty lekarz Winstona Churchilla.

I tak oto rzec by można, że o losach tego świata i jego podziale na strefy wpływów, rozstrzygał w Jałcie zapijaczony i nigdy nie rozstający się z butelką koniaku Winston Churchill, dalej Franklin Roosevelt znajdujący się niemal w stanie agonii i chory na paranoję Józef Stalin. Ale o tym potem.

4

Adres redakcji:
90 113 Łódź ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści 36 77 70, 32 89 70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32 59 11

Organizacja reklamy: Andrzej Bartosiewicz tel. 36 80 99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1793. D-10.

Przegląd prasy

W latach osiemdziesiątych opuściło Polskę na stałe lub na wiele lat około 720 tysięcy obywateli (blisko 2 proc. ludności). Z tego 155 655 osób wyjechało legalnie na pobyt stały, 402 tys. poinformowało konsulaty o pozostaniu za granicą na dłuższy czas, a 159 637 osób odmówiło powrotu i przestało kontaktować się z naszymi placówkami.

W grupie legalnych emigrantów prawie 30 proc. pochodzi z województwa katowickiego i 15 proc. z opolskiego. W ubiegłym roku otrzymało zgodę na pobyt stały i wyjechało z Polski 27 378 osób (w tym 60 proc. kobiet). Większość z nich ma wykształcenie podstawowe i średnie, a 6 proc. wyższe.

W drugiej, najliczniejszej grupie (402 tys.) dyplomy uczelni wyższych ma 38 900 osób (9,7 proc.). Jest wśród nich 11 751 inżynierów, 5159 ekonomistów, 4483 naukowców i 3616 lekarzy. Natomiast co trzecia osoba ukończyła w Polsce szkołę średnią. Wielu tych emigrantów czekało lub czeka w obozach przejściowych na terenach Austrii, Włoch czy Hiszpanii, aby dostać się ostatecznie do Australii, Kanady i Republiki Południowej Afryki.

W kolejnych latach coraz więcej Polaków odmawiało powrotu do kraju. W 1980 roku odnotowano 6800 przypadków, w 1982 (po wprowadzeniu stanu wojennego) — 18 tys., w 1986 roku — 48 tys. (wtedy najczęściej uciekano z wycieczek turystycznych), a w rok później 36 tysięcy.

Wszystkie podane wyżej liczby pochodzą z artykułu Katarzyny Nazarewicz w „ŻYCIU WARSZAWY" (nr 135). Autorka przewiduje, że po wprowadzeniu ulg paszportowych fala wyjazdowa może się jeszcze zwiększyć. (W tym roku ma otrzymać paszporty 12 milionów Polaków).

Z sondażu przeprowadzonego przez Centrum Badania Opinii Społecznej wynika, że 7 (siedem) procent naszych obywateli, czyli co najmniej 1,5 mln ludzi, zamierza na **stałe osiedlić** się za granicą. **Eugeniusz** Śmiłowski podaje w tygodniku „PANORAMA" (nr 23), że potencjalnym emigrantem jest co dziesiąty robotnik wysoko kwalifikowany, właściciel prywatnego zakładu i student, co dwudziesty rolnik i robotnik niewykwalifikowany, oraz co trzydziesty trzeci pracownik umysłowy. Najczęściej chcą opuścić Polskę osoby w wieku 21—29 lat (15 proc.). Pod względem terytorialnym gotowość stałego wyjazdu deklarują głównie mieszkańcy Opolszczyzny i Koszalińskiego (niemal co piąty), a najrzadziej pragną wyjechać z województw: chełmskiego, płockiego, pilskiego i skierniewickiego (jeden na stu).

W jakich krajach chcą zamieszkać potencjalni emigranci? Najwięcej osób wskazało Stany Zjednoczone — 25 proc., Republikę Federalną Niemiec — 15 proc. i Szwecję — 13 proc. A na dalszych miejscach znalazły się: Francja — 8 proc., Austria i Włochy (po 6 proc.), Grecja — 5 proc., Japonia — 3 proc., Wielka Brytania, Kanada, Hiszpania i Szwajcaria (po 2 proc.). Prawie trzy czwarte respondentów jako główny powód wyjazdu podało względy materialne, tylko 3 proc. wymieniło sprawy rodzinne i zaledwie 0,4 proc. polityczne.

W społeczeństwie naszym przeważa przekonanie, że ci, którzy wyjechali z Polski na stałe, to są szczęśliwcy. Zdaniem 33 proc. dorosłych Polaków tylko ludzie głupi i niezaradni nie myślą o wyjeździe z kraju. Natomiast 23 proc. sądzi, że prędzej czy później emigranci będą żałować swego kroku, zaś 22 proc. uważa, że na Zachód wyjeżdżają osoby lekkomyślne, naiwne i nie dbające o własną godność. Eugeniusz Śmiłowski konkluduje:

„Nie zmienia to faktu, że pytanie: zostać czy wyjechać zadaje sobie wciąż wielu, nazbyt wielu mieszkańców naszego kraju. Emigracja, nawet czasowy wyjazd na Zachód, to już nie tylko sposób na indywidualne radzenie sobie z kryzysem, na szybkie dorobienie się i dostatnie życie, lecz i wyraz determinacji przybierającej cech swoistej fobii wyjazdowej, czyli stanu chorobowego, który charakteryzuje się lękiem przed utratą szans na urządzenie życia w kraju we-

dług własnych wyobrażeń i na przyzwoitym, europejskim poziomie".

ŚWIAT SIĘ ZMIENIA

Bardzo ciekawe oceny, prognozy i rady przedstawił w wystąpieniu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim prof. Zbigniew Brzeziński. Relacje z blisko dwugodzinnego spotkania z politologiem amerykańskim opublikowali Marek A. Waśko w „POLITYCE" (nr 23) i Elżbieta Dziwisz w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 23).

Według prof. Brzezińskiego w światowym systemie geopolitycznym można zaobserwować cztery zasadnicze kierunki zmian. Po pierwsze — całkowitą klęskę poniósł ustrój totalitarny. System pluralistyczny okazał się dużo bardziej skuteczny i lepszy w sensie moralnym. Po drugie — na arenie międzynarodowej pojawia się nowa siła polityczna i gospodarcza w postaci zjednoczonej Europy Zachodniej. W ciągu najbliższych pięciu lat powinien zakończyć się proces integracji tego regionu. Powstanie potężny rynek wewnętrzny, którego dochód narodowy już dorównuje amerykańskiemu. Po trzecie — gospodarczy punkt ciężkości świata jednoznacznie przesuwa się w rejon Pacyfiku. Japonia zaczyna dorównywać Stanom Zjednoczonym, Chiny zbliżają się do Związku Radzieckiego, dynamicznie rozwijają się inne kraje. Niektórzy eksperci amerykańscy przewidują, że do 2010 roku ukształtuje się następująca hierarchia potęg gospodarczych: USA, Europa Zachodnia, Japonia, Chiny i na piątym miejscu ZSRR. W związku z tym rozluźnią się stosunki Stanów Zjednoczonych z Europą, a zacieśnią z Azją Południowo-Wschodnią. Już postępuje wewnętrzna orientalizacja USA. Na amerykańskich uczelniach prymusami są studenci pochodzenia japońskiego, chińskiego i koreańskiego, a dawniej najlepsze wyniki osiągali Żydzi. Po czwarte — na dalszy plan schodzi zimna wojna w stosunkach amerykańsko-radzieckich. Zmalała bowiem ideowa atrakcyjność komunizmu i osłabły globalne ambicje ZSRR.

Jaką wobec tego politykę powinna prowadzić Polska, żeby uniknąć nowych zagrożeń i najwięcej skorzystać na dokonujących **się zmianach? Zbigniew Brzeziński radzi** nam: nawiązać dobre stosunki z Niemcami jako integralną częścią Europy Zachodniej; utrzymywać przymierze ze Związkiem Radzieckim, oparte na partnerskich zasadach; utworzyć konfederację polsko-czechosłowacką. Specjalista amerykański uznał za pozytywny udział Polski w Układzie Warszawskim. Odradzał nam angażowanie się w konflikty narodowościowe na terenie ZSRR i zalecał prawdziwe pojednanie między Polską i Rosją. W sprawie zbrodni stalinowskich powiedział:

„Polska była ofiarą zarówno hitleryzmu jak i stalinizmu, ale musimy też pamiętać, że w latach stalinizmu ludność sowiecka stała się ofiarą masowych morderstw na nie mniejszą skalę niż te, które zostały popełnione na ludności polskiej".

W miarę wycofywania się USA i ZSRR z pozycji konfrontacyjnych pojawi się próżnia w Europie Środkowo-Wschodniej. Może wypełnić ją konfederacja Polski i Czechosłowacji. Za związkiem tych państw przemawia położenie geograficzne oraz wspólnota języka i kultury. Nie wchodzi natomiast w grę federacja z Węgrami, ponieważ dochodzą już oni do porozumienia z Austrią. Nie można też wykluczyć za 10—15 lat konfederacji państw niemieckich. Dlatego w naszym interesie powinniśmy przełamać niechęć, a nawet pogardę w stosunku do Czechów i Słowaków. Jest ona nieuzasadniona, szkodliwa i niemądra politycznie. Byłoby dziwne, gdyby integracji na Zachodzie towarzyszyła dezintegracja na Wschodzie.

Nie wiemy, czy prognozy i zalecenia prof. Brzezińskiego sprawdzą się. Bardzo trudno przewidywać bieg dziejów. Ale zdarzały się trafne przewidywania. Redaktor tygodnika „KRAJ RAD" (nr 11) cytuje prorocze słowa Oswalda Spenglera wypowiedziane w 1934 roku:

„Nowy konflikt światowy może się rozpętać tylko za życia pokolenia, które nie zna wojny poprzedniej... Pierwsza wojna światowa rozpoczęła się w roku 1914. Zmiana pokoleń następuje co 25 lat. A zatem druga wojna rozpocznie się w roku 1939".

PRZYCZYNY ROSYJSKIEJ APOKALIPSY

Już wielokrotnie sygnalizowałem tu ciekawe teksty na temat istoty i źródeł stalinizmu. Polecam dziś artykuł Aleksandra Cypki, w miesięczniku „PREZENTACJE" (nr 4). Jest to przedruk z czasopisma „Nauka i Żizń" (nr 12). Na wstępie autor podkreśla, że po śmierci Lenina przywódcy partyjni walczący o władzę grzeszyli niedocenianiem bogactwa życia społecznego i złożoności natury człowieka. Przeceniali rolę zakazów i polityki w gospodarce, z pogardą traktowali tradycje kultury prawnej, w prymitywny sposób zwalczali światopogląd religijny. Wielu z nich, a szczególnie Trocki, Zinowiew, Kamieniew i Stalin, główne niebezpieczeństwo dostrzegało w drobnomieszczańskim charakterze chłopstwa. W rzeczywistości zaś ujawniło się znacznie więcej poważniejszych zagrożeń.

„Nowe społeczeństwo jest atakowane nie tylko przez «mieszczańskie cechy», ale i przez degrengoladę produkcji rolnej, głód, zanikanie miłości do ziemi, spadek zainteresowania pracą, brak inicjatywy, obojętność, pijaństwo, niegospodarność, cwaniactwo, zanik podstawowych uczuć społecznych — współpracy, solidarności, miłosierdzia. Teraz wiemy, jak drogo musi płacić będąca u władzy partia komunistyczna za swoje prawo do kontroli wszystkich bez wyjątku przejawów życia, wszystkich czynników społecznego bytu. Taka wszechwładza podważa samodzielność ludzi, rodzi powszechną niechęć do podejmowania samodzielnych decyzji, brania na siebie odpowiedzialności, pozbawia naród możliwości kontrolowania kierownictwa partii, stwarza możliwość feudalizacji społeczeństwa, degenerowania się organów kierowniczych".

Źródłem stalinizmu była naiwna wiara w czysty socjalizm i czystego człowieka oraz przekonanie, że można ujarzmić świat, przyrodę, przestrzeń, czas. Wielkie szkody przyniosła teoria walki klasowej i stawianie rewolucji ponad zasadami ogólnoludzkiej moralności. Na tej podstawie nawet dzieci aprobowały orgię terroru i samozagłady. Trzeba dziś zupełnie inaczej ocenić tragedię wojny domowej.

„Ten straszliwy młyn walki klasowej, wojny klas, jest równie odrażający jak młyn stalinowskich represji, nie ma się tu ani z czego cieszyć, ani czym zachwycać. Nie ma niczego umoralniającego w tym, że jedna klasa z entuzjazmem wykańcza inną, że brat walczy z bratem".

Nie tylko inteligencja rewolucyjna łatwo pogodziła się ze stalinowską przemocą wobec chłopów. Uwierzyła bowiem, że terror stanowi nieuniknioną cenę za zbudowanie unikatowego społeczeństwa. Bucharina i Dzierżyńskiego oskarżano o narodnictwo, ponieważ patrzyli na chłopów jak na ludzi, dostrzegali ich ciężką pracę i nędzę.

„Zaryzykuję i stwierdzę, że na przełomie lat 20 i 30 Stalin był bliższy większości aktywu partyjnego, większości nowej radzieckiej inteligencji, niż Lenin, który wzywał, aby uczyć się handlować, operować zyskiem. Przecież Lenin pod koniec życia wyrzekł się naiwnej wiary w czysty socjalizm, czym bardzo rozczarował większość partyjnych teoretyków".

Najświatlejsze umysły podtrzymywały wiarę w czysty socjalizm i czystego człowieka. Bez tej wiary w społeczeństwie, a szczególnie w partii, wśród aktywu i młodych działaczy, Stalin nie zdołałby przeprowadzić przymusowej kolektywizacji i zniszczyć chłopstwa. Na drodze do ideału stanęło 80 proc. ludności.

Aleksander Cypko wskazuje, że już przed zwycięstwem Stalina usprawiedliwiano w Rosji terror rewolucyjny. Pewien marynarz głosił, że dla pomyślności narodu można zabić milion ludzi. Lew Trocki był zdania, że do represji w czasach rewolucyjnych nie przystają powszechne zasady humanitarne. Nawet Jerzy Plechanow głosił, że dobro rewolucji jest najwyższym prawem. A przecież moralność nie może być funkcją rewolucji. To rewolucja musi być przedłużeniem moralności, aby mogła być usprawiedliwiona. Nikt nie ma prawa pozbawiać życia drugiego człowieka.

E. L.

Z kół zbliżonych donoszą...

ANDRZEJ GARLICKI spotka się z czytelnikami w księgarni **„Współczesna"** (al. Tadeusza Kościuszki 106). Spotkanie odbędzie się **29 czerwca 1989 roku o godzinie 15.00.** Tematem spotkania są książki Andrzeja Garlickiego poświęcone Józefowi Piłsudskiemu i jego czasom. Uczestnicy spotkania będą mogli nabyć „Józefa Piłsudskiego" Andrzeja Garlickiego, Józefa Piłsudskiego „Rok 1920" oraz inne książki. Będą mogli również uzyskać autograf Andrzeja Garlickiego.

RYSZARD KOSTRZEWA — przewodniczący Regionalnej Komisji Organizacyjnej „Solidarność" Ziemi Łódzkiej nadesłał do redakcji oświadczenie, z którego wynika, że na zebraniu w ZM im. Józefa Strzelczyka zobowiązał się jedynie „do przedstawienia propozycji dotyczących powołania komisji do rejestracji zakładów na najbliższym posiedzeniu Regionalnej Komisji Organizacyjnej „Solidarność" Ziemi Łódzkiej albowiem tylko ona jest władna podejmować decyzje". Informacja ta jest sprostowaniem wiadomości opublikowanej przez „Dziennik Łódzki", a dotyczącej wyników zebrania w ZM im. Józefa Strzelczyka.

WYDZIAŁ KONTROLI PRZESTRZEGANIA PRAWA PROKURATURY WOJEWÓDZKIEJ w Łodzi orzekł, że pobieranie opłat od parkujących na ulicach miasta samochodów jest niezgodne z obowiązującym prawem. W czasie trwania Interfashion pobierano opłaty od samochodów parkujących na ulicach Wólczańskiej i Świerczewskiego. Łódzki Ośrodek Sportu tłumaczył się, że zatrudnia ludzi do obsługi parkingu, więc musi im płacić, dlatego pobiera opłaty. Wydział Kontroli Przestrzegania Prawa Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi orzekł, że to również działo się niezgodnie z prawem.

Czy za bezprawne działanie ktoś poniesie odpowiedzialność?

ROSNĄ CENY NA PIŁKARZY, które zresztą oni sami ustanawiają. Jeden z bramkarzy zażądał od klubu przy przedłużaniu kontraktu na dwa lata 20 000 000 złotych. Z tej sumy 15 000 000 płatne zaraz a 5 000 000 złotych za rok, według obowiązującego wówczas kursu... dolara. Inny piłkarz polski zażądał 18 000 000 złotych i mieszkanie. Ceny rosną, czego nie można powiedzieć o umiejętnościach piłkarskich.

MIROSŁAWA SARBIŃSKA powróciła na łamy „Odgłosów". Stało się to możliwe dlatego, że jej mąż, który nie życzył sobie, aby pisała ponownie wyjechał na dłuższy pobyt za granicę.

KTO DŁUGO LUBI ROZMAWIAĆ PRZEZ TELEFON, ten powinien możliwie szybko oduczyć się tego. Poczta Polska Telefon i Telegraf postanowiła bowiem wprowadzić takie urządzenia, które co 3 minuty będą wybijały na liczniku abonenta sumę 9 złotych. A więc 10 minut rozmowy kosztować będzie 27 złotych. Takie urządzenia zostaną wprowadzone w Łodzi i Poznaniu. Z tym że w Łodzi nie we wszystkich centralach. Od 1 lipca 1989 roku zacznie się wprowadzać takie urządzenia w centralach, które łączą numery zaczynające się na: 1, 31, 32, 33, 34, 48 i 78. Abonenci posiadający takie numery, którzy będą chcieli porozmawiać ze znajomymi posiadającymi telefony z tańszych central, będą musieli dzwonić i prosić, aby tamci do nich zadzwonili, gdyż ich rozmowa nie będzie tak drogo kosztowała i można będzie sobie do woli pogadać. Ale po jakimś czasie wszystko się wyrówna. Koniec z gadulstwem!

ZBLIŻA SIĘ OKRES URLOPÓW i zapowiada się posucha w handlu i usługach. Wydział Handlu i Usług UD Łódź-Śródmieście ma już 89 podań o urlopy na 1500 zakładów usługowych. Niektórzy planują zamknąć zakład na 3 miesiące i udać się na urlop za granicę. Co mają robić w tym czasie ci, którzy pozostaną w mieście, z czyich usług korzystać?

Zanotowała: BOGDA MADEJ

Jeśli chcecie regularnie i do domu otrzymywać „Odgłosy"!

Do redakcji z taką ofertą zwróciła się firma „TOFIX", która proponuje od 1 września 1989 roku dostarczanie „Odgłosów" do domu lub do instytucji państwowych, spółdzielczych i innych tego samego dnia, w którym ukazuje się pismo.

Na początek takim kolportażem objęto by Czytelników z WIDZEWA i POLESIA a następnie W CAŁEJ ŁODZI. W dalszej przyszłości również w innych miastach Polski, z tym że nie w dniu ukazywania się pisma.

Koszta takiej prenumeraty: cena pisma plus 200 zł miesięcznie.

„TOFIX" zgłoszenia przyjmuje do 30 czerwca 1989 roku. Zgłoszenia należy nadsyłać pod adresem: „TOFIX", 90-980 ŁÓDŹ, skrytka pocztowa 61. Zamawiający podaje imię, nazwisko, dokładny adres i tytuły pism, które razem z „Odgłosami" pragnie zamówić.

Jeśli więc chcesz regularnie otrzymywać w domu nasze pismo i inne odpowiedz na ofertę „Tofixu".

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Od tego dnia otrzymywałem z języka obcego bardzo kiepskie stopnie. Nie dlatego, że byłem nieukiem. Nawet koledzy zauważyli, że nauczycielka zawzięła się na mnie. Milczałem, wzruszałem ramionami, jakbym nic z tego nie rozumiał. Starałem się jednak zrobić wszystko aby odczepiła się ode mnie. Uczyłem się jak diabli! Pewnego dnia poszedłem do niej po lekcjach — dokończenie fragmentu powieści WIESŁAWA ROGOWSKIEGO.

— Proces sądowy o ochronę środowiska! Tego jeszcze w Łodzi nie było! Były apele, postulaty, artykuły prasowe, memoriały. Były plany, programy, zapewnienia. Ale żeby do sądu? — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO pt. „Autobusy przed sądem".

— Wrócił na Piotrkowską z żelaznym postanowieniem, że nie będzie więcej szukał tego dnia roboty. Drażnił go pijany w sztok wodzirej, podtrzymywany z obu stron przez trzeźwiejszą nieco służbę porządkową. Ryczał: — Milion złotych nagrody wyznaczono dla tych, co wskażą panów, którzy obrabowali bank. W Łodzi trzeba wykapować. W Łodzi — kolejny fragment powieści ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO „Pięćdziesiąt melonów".

— Georgia i Duch najpierw siedzieli w barze hotelowym, ale nie mogli znieść wiecznie ziewającej gęby czarnego barmana. Nie zasłaniał ust, otwierał je tak szeroko, że widać było nieprzyzwoicie różowe wnętrze jego jamy aż po struny głosowe. Nie mogli nie patrzeć, bo za każdym ziewnięciem wydawał z siebie buczenie jak hipopotam. Wzięli więc butelkę wina i poszli do pokoju Ducha — kolejny odcinek książki ANDRZEJA BRYCHTA „Azyl polityczny".

Po wyborach.

Zapiski leniwego obywatela

TOMASZ SAS

Foto: Grzegorz Gałasiński

Wielkim przywilejem demokracji jest możność popełniania błędów, które dają się naprawić...

1.

Wziąwszy sobie do serca tę uwagę, spokojniej patrzę w przyszłość. Czyli do następnych wyborów. Jedynym nowiem właściwym dla ustroju demokratycznego — i uczciwym — sposobem naprawiania błędów są właśnie wybory. Jedne po drugich, jeśli zajdzie potrzeba — aż do skutku. A więc do momentu, w którym większość opinii publicznej przychyli się do poglądu, że błąd został naprawiony.

2.

Specjaliści w dziedzinie prawa cywilnego dobrze znają pojęcie odpowiedzialności za winę w wyborze — czyli za szkodę wyrządzona przez drugą osobę przy wykonywaniu powierzonej jej czynności. Odpowiada ten, kto owo wykonanie powierzył, chyba że udowodni, iż za niewłaściwy wybór osoby winy nie ponosi. Wina w wyborze zachodzi wtedy, gdy umyślnie powierzamy wykonanie czynności osobie, o której wiemy, że jej wykonać nie może — lub wtedy, gdy powodowani niedbalstwem nie dokładamy należytej staranności w wyborze tej osoby...

3.

Należę do ludzi, którzy niczego się tak nie boją, jak wściekłych psów i obowiązku odpowiadania za cudze grzechy, na popełnianie których nie miało się ani wpływu, ani z nich przyjemności. Toteż z równą starannością omijam nawiedzonych proroków, demagogów i rozhisteryzowane entuzjastki, co przyglądam się ludziom, od których coś w moim życiu zależy — a ja mam szansę wpłynąć na ich postępowanie albo zgoła swobodnie ich wybrać. Możność starannego wyboru jest drugim wielkim przywilejem demokracji. Idzie tylko o to, by z jednej strony konkretne rozwiązania ustrojowe nie sprzeciwiały się możności starannego wyboru, zaś z drugiej — by obywatele chcieli tak wybierać, by w starannym wyborze byli głęboko zainteresowani.

4.

Gdy mówię, że jestem leniwym obywatelem, spotykam się z niechęcią aktywistów. Leniwy — w domyśle: bierny, niedouczony w sferze wiedzy o stosunkach społecznych, podatny na manipulacje przeciwnika (bo tylko przeciwnik manipuluje; gdy to samo robię ja, to wpływam na świadomość i zachowania innych). Leniwy, a więc zakała życia publicznego.

Wtedy tłumaczę, że moje lenistwo to tylko niechęć do nieustannego uczestnictwa w życiu publicznym.

W rozbałaganionym państwie konstytucyjne organy władzy lub grupy realnie tę władzę sprawujące nieustannie czegoś od obywatela chcą. By poparł, by świadczył, by przegłosował prawa ekonomiczne (jak to się zdarzyło w niedawnym naszym referendum...), by się opowiedział, by wierzył, by się starał dla szczęścia przyszłych pokoleń, by kontrolował. Na domiar złego stan spraw publicznych rzeczywiście jest taki, że przyzwoity obywatel w trosce o swą własną skórę musi im poświęcać więcej uwagi niżby chciał.

Leniwy obywatel po prostu tęskni za normalnością. A swój czas chce przede wszystkim poświęcić sobie i najbliższym. Dla swego państwa zaś jest gotów na jedno: raz na jakiś czas, powiedzmy co cztery lata, chce dołożyć właśnie maksymalnej staranności w wyborze swych przedstawicieli. Leniwy obywatel wie przecież, że władza należy do niego — oczywiście raczej traktuje to jako konstytucyjny frazes, ale nie bez nadziei, że może będzie inaczej. I dlatego chciałby tę swoją cząstkę władzy, jeżeli w ogóle on ją ma, a nie jakaś ciemna i odległa siła, powierzyć innemu, swobodnie przez siebie wybranemu.

W zamian leniwy obywatel oczekuje, że wybrani przez niego pełnomocnicy nie będą już potem zaprzątać mu głowy bieżącymi problemami sprawowania władzy. On bowiem chce im ufać, że nie przeszkodzą mu, ale pomogą żyć normalnie, bez troski o to, jaki jeszcze numer wytną „panowie w stolicy'.

5.

Istota stosunku leniwego obywatela do własnego państwa wyczerpuje się w pragnieniu, by być dobrze rządzonym...

Ale leniwy nie znaczy — nieodpowiedzialny. Wprost przeciwnie. Z tym, że z kolei cała ta odpowiedzialność za sprawy państwa wyczerpuje się w chęci dokonania właściwego wyboru. Czyli takiego, po którym leniwy obywatel spodziewa się korzyści, nie tylko w wąsko pojmowanym sensie materialnym.

Cała demokracja, rozumiana nie jako filozoficzny ideał władzy ludu, ale czysto praktycznie — jako sposób sprawowania władzy — istnieje właściwie tylko po to, by wybór taki umożliwić i czas jakiś nie sprzeciwiać się jego skutkom.

6.

U nas nie ma demokracji. Jest demokratyzacja. To taka różnica jak między niedźwiedziem a polowaniem na niedźwiedzia...

Przyznaję jednak, że ostatnio my — jako państwa i jako obywatele — zrobiliśmy znaczne postępy. Doszło do tego, że prawo, oczywiście w obrębie nakreślonej przez dwie elity umowy, przewiduje już swobodę starannego wyboru. A więc ten ideał, do którego tak tęskni leniwy obywatel.

Gdyby jeszcze można było wybierać nie między tymi outsiderami, którzy zgłosili się sami i tymi wystawionymi do walki przez koalicje i drużyny! Gdyby można było dokonywać wyboru między liderami, wyłonionymi oddolnie przez grupy obywatelskich inicjatyw. Ale tak dobrze nie ma nigdzie w świecie. Leniwy obywatel musi pogodzić się z tym, że jego możliwości starannego wyboru ograniczone są do kandydatów proponowanych przez liczące się siły polityczne. Istotną zatem rolę w wyborze odgrywać musi długoterminowa (często na całe dorosłe życie) szczera opcja polityczna, światopoglądowa, etyczna leniwego obywatela.

7.

Przebieg i wyniki tej elekcji zasługują na szczególną uwagę pod względem szans starannego wyboru. Sądzę, że — używając języka probabilistycznego — były one przyzerowe, aczkolwiek temperatura i logiczna jednoznaczność frazesów, używanych w tekstach oficjalnych i propagandzie, wskazywałyby na to, że możliwości starannego wyboru zbliżają się do spełnienia.

Wcale nie uważam, iż najważniejszym ograniczeniem demokratycznej swobody wyboru najlepszych przedstawicieli ludu do najwyższego organu władzy był z góry ustalony podział mandatów między koalicję a opozycję. Sytuacja, w jakiej znalazł się kraj, całkowicie usprawiedliwia taką umowę, zresztą wyraźnie określoną jako przejściowa. Rozwiązanie takie jest skutkiem rozsądnego uwzględnienia realiów, i — jak sądzę — znalazło społeczne przyzwolenie, wyjąwszy może pewien odsetek maksymalistów. Leniwy obywatel maksymalistą nie jest...

Najważniejszym czynnikiem ograniczającym swobodę wyboru, czynnikiem słabo uwzględnionym przez obie wysokie układające się strony, okazało się zmęczenie.

8.

Oczywista klęska wyborcza koalicji, manifestująca się nie tylko niemal całkowitym upadkiem listy krajowej i właściwie stuprocentowym oddaniem Senatu, ale przede wszystkim — znikomym procentem głosów oddanych na koalicyjne mandaty, jest właśnie dowodem zmęczenia. Nieskuteczność i połowiczność reform, fatalna sytuacja gospodarcza, niespełnione obietnice, wątłe argumenty (zwłaszcza te, które miałyby przemawiać za tezą, jakoby nie zmarnowaliśmy ostatnich lat...) — złożyły się na zmęczenie. Ono w zasadzie powinno przerodzić się w apatię; tymczasem zaowocowało buntem.

Psychologowie tłumaczą, że było to gwałtowne odreagowanie po długotrwałym tłumieniu. Możliwe. To oznaczałoby jednak, że wynik wyborów nie odzwierciedla rzeczywistego stanu nastrojów społecznych. Tego długofalowego, perspektywicznego. Czyżby więc zbiorowy kaprys pod wpływem chwilowych emocji? I to być może...

9.

Obywatelskie zmęczenie skończyło się silnym pragnieniem zmiany. W tej sytuacji największa siła opozycyjna miała ułatwione zadanie, dodatkowo uproszczone przez zdumiewający (z punktu widzenia interesów strategicznych) bezwład partnerów koalicji. Nie dość, że społeczne zainteresowanie obsadzaniem koalicyjnych mandatów było bardzo małe, to na domiar złego wyniki tych eliminacji okazały się być bezbarwne i bezkształtne, jak wyrzucone na piasek meduzy. Ale cóż, gdy partie — może z niejednakową zawziętością — lata całe zajmowały się wycinaniem i zniechęcaniem swych najlepszych, najbardziej twórczych, niezadowolonych i poszukujących ludzi, wyzbywając się autentycznych intelektów i materiału na liderów?

W warunkach stworzonej przez prawo swobody aspirowania do bezpartyjnych mandatów wyszli na powierzchnię życia publicznego rozmaici osobnicy, których samo istnienie jest najlepszym dowodem wielkości i wspaniałomyślności Natury, pozwalającej gatunkowi ludzkiemu rozkwitać na sto sposobów (widoczne to zwłaszcza było przy przeglądzie kandydatur do Senatu). Przeciw nim drużyna wystawiła chyba wszystkich swoich liderów na krajową skalę, ale mogła pozwolić sobie nawet na udrapowanie swymi sztandarami, hasłami i plakatami słupa telegraficznego. I zgłosić go do elekcji...

Wywołana zmęczeniem determinacja klienteli wyborczej drużyny była taka, że słup mógł wygrać. Zdaje się, że w paru przypadkach tak się rzeczywiście stało...

10.

Sporo uwagi komentatorów zaprząta tajemnica blisko czterdziestoprocentowej absencji elektoratu. Jak to możliwe, skoro prognozy... skoro aktywizacja życia publicznego... skoro budzący aprobatę kontrakt okrągłego stołu...

Możliwe. W przeciętnych demokratycznych państwach jest to dolny próg przyzwoitości frekwencyjnej i trzeba się będzie do niego przyzwyczaić. Ważne jednak jest odgadnięcie struktury tej grupy nieobecnych.

Ja sądzę, że zmęczeni tym, co osiągnęliśmy dzisiaj, poszli do urn i jasno wyrazili swą wolę, wcale nie dokonując starannego wyboru co do osób. Opowiedzieli się za ideą. Podobnie jak ci, którzy głosowali inaczej, ale też za zmianami.

Kto nie poszedł? Ci, którym jest dobrze. Ci, którym zmiany i reformy przynieść mogą tylko straty. Ci, którzy na własny rachunek wykorzystują bałagan i mizerię w kraju. Którzy opozycję i koalicję razem wzięte mają gdzieś... To też jest wynik wyborów — na każdych pięciu dorosłych Polaków dwóch nie chce zmian albo w zmiany nie wierzy.

11.

Jako leniwy obywatel chciałem tym razem dokonać starannego wyboru. I prawie mi się udało, chociaż doprawdy wybór był niewielki — między tymi, których nie lubię i nie akceptuję, a tymi, których nie znam, skazując się na odczytywanie zamazanych intencji.

Dzięki temu wyborowi znalazłem się w mniejszości. Świadom demokratycznej dyscypliny, gotów jestem się podporządkować.

Ale jedno zastrzeżenie uczynić muszę. Otóż mandat do Sejmu to mandat na sprawowanie władzy. Ani konstytucja, ani obywatelska, zwykła uczciwość nie przewidują mandatu na opozycję. Takiego kontraktu posłowi z wyborcami zawierać nie wolno. Parlament nie jest zawieszonym w komfortowej izolacji kontrolerem rządu. Parlament ma władzę najwyższą. I takąż odpowiedzialność.

Dlatego protestuję przeciw asekuracyjnym ucieczkom w opozycyjność niektórych Ekscelencji Posłów. Tak nie wolno. Nie udawajmy, że konsekwencją wyboru nie jest władza. Jest — i trzeba będzie tego dowieść wszystkim zmęczonym.

W tej sytuacji nie można poprzestać na świadomie wybranej postawie leniwego obywatela. Jeżeli bowiem demokracja popełniła błąd, to trzeba będzie naprawić... Dlatego — spisane będą czyny i rozmowy.

Z tej ziemi.

Dlaczego u nas tak nie można?

1.

Przyznaję się bez bicia, że bardzo mnie interesuje to, kto będzie prezydentem miasta Łodzi. Ma się to rozstrzygnąć 26 czerwca 1989 roku. Człowiek ma już taką naturę, że lubi plotki, które dotyczą innych ludzi. Z drugiej strony wiem dość dobrze, że niezależnie od tego, kto zostanie prezydentem miasta Łodzi stanie przed ogromem zadań i potrzeb, z którymi trudno będzie mu się uporać i z którymi może się nie uporać. Z przykrością trzeba bowiem powiedzieć sobie taką prawdę, że miasto jest uwikłane w takie od niego niezależne układy, że nie poradzi sobie z nimi ani nadzwyczajny talent, ani upór, mądrość i inne zalety. Każdy, kto zasiądzie na tym urzędzie, znajdzie się przed gęstwiną takich przepisów i zarządzeń, które w sposób niebywale skuteczny ograniczą jego samodzielność, pomysłowość, inicjatywę. Dlaczego tak się dzieje?

2.

„Dojrzałość do demokratycznych form rządzenia wykazuje społeczeństwo wtedy — pisał w styczniu 1946 roku Julian Hochfeld — *gdy czynem świadczy, że umie należycie wykorzystać swobody i uprawnienia. Cechą najbardziej charakterystyczną demokracji jest właśnie samorząd, jest właśnie branie własnych spraw we własne ręce, jest formułowanie takich programów i postulatów, które wnioskodawcy — przedstawiciele mas pracujących sami mogą realizować w oparciu o rzetelną znajomość potrzeb swego środowiska, ich hierarchii, technicznych możliwości i sposobów ich zaspokojenia. Podstawą najbardziej trwałą samorządu jest środowisko, połączone więzią wspólnych, konkretnych, dających się funkcjonalnie podzielić, potrzeb i zainteresowań. Stąd niezbędność oparcia samorządu na dołowych komórkach, których należyta organizacja i funkcjonowanie pozwalają dopiero zbudować całą samorządową w najszerszym ujęciu, jako mechanizm działania, przez obywateli samych kierowanej, demokracji".*

W przytoczonym cytacie jest odpowiedź na postawione wyżej pytanie. Dzieje się tak dlatego, że mamy fatalnie funkcjonujący samorząd, który samorządem jest tylko z nazwy. Proszę się bowiem zastanowić nad tym, dlaczego ludzie w zasadzie nie interesują się działaniem samorządu najbardziej lokalnego — samorządu mieszkańców? Ano dlatego, że ten samorząd nic nie może, o niczym nie stanowi, o niczym nie decyduje. On stanowi jedynie zasłonę dla z niczym się nie liczącej biurokracji. Musi się zatem dokonać proces odrodzenia samorządu. Samorząd musi się oddzielić od biurokracji i zacząć rządzić się własnymi prawami, reprezentując i broniąc interesów tych, którzy powołują go do życia.

3.

Kiedy w 1947 roku Hilary Minc rozpoczynał bitwę o handel, nie zdawał sobie sprawy z tego, że rozpoczął niszczenie tego, co było kiedyś handlem, zastępując handlowanie rozdzielnictwem, oddając handel w ręce biurokracji. Teraz od wielu lat próbujemy przywrócić to, co jest handlem, ale ciągle nam się to nie udaje. Nie przypadkiem Lech Sosnowski, gdy kandydował do senatorskiego fotela, nazwał się k u p c e m, a nie handlowcem. On był i jest kupcem. Ale takich kupców w Polsce jest mało. Handlowców pełno. I przez to nie ma handlu. Dziś mało kto w urzędowym żargonie posługuje się słowem: *„sklep"*. Zamiast niego używa się słowa: *„placówka"*. W Łodzi „Społem" ma 1749 takich *„placówek"*.

Dzierżawa jest stara jak świat. U nas to nazywa się *„ajencją"*. Ale ta *„ajencja"* od lat jest ograniczona różnymi przepisami i układami. Od lat zmienia się te przepisy, doskonali się je, usprawnia i mało z tego wynika, gdyż system *„ajencyjny"* ciągle kuleje. Przede wszystkim w „Społem". Bowiem „Otex" i „Arpis" mają po około 50 procent sklepów pracujących w systemie *„ajencyjnym"*. Natomiast „Społem" ma 464 sklepy w *„ajencji"*, to jest 26,6 procent, a spożywczych 286, to jest 16,4 procent. „Społem" chce podwoić liczbę sklepów spożywczych pracujących w systemie *„ajencyjnym"* i przygotowało ofertę 165 sklepów spożywczych. Jest to niezbędne, gdyż maluczko a będziemy mieli rynek artykułów spożywczych.

Zabiegom tym wszakże wróżę ograniczoną skuteczność, gdyż są to poprawki które nie są w stanie zmienić samej istoty tego, co zwykliśmy niesłusznie nazywać handlem. Gdy obserwuję w sklepie zmęczone ekspedientki, nieustanny brak towarów na półkach i brak umiejętności w ich zdobywaniu, ciągle czerstwy chleb, niechęć zmęczonych ekspedientek do klientów, którzy im przeszkadzają w życiu, to zastanawiam się, jak to się dzieje, że w innych krajach ludzie żyją z handlu. Nie tylko żyją z handlu, ale utrzymują rodziny, robią majątki, zakładają swoje sklepy w innych krajach i tak dalej? Dlaczego u nas to się nie udaje?

Odpowiedź na to pytanie jest chyba bardzo prosta: im się to opłaca. Czyż zatem nie można i u nas w Łodzi stworzyć takiej organizacji handlu, która mogłaby opierać się na starej zasadzie opłacalności. Czyż nie można zrobić tak, aby w Łodzi — niezależnie od krajowych postanowień — stworzono taką organizację handlową która spowodowałaby, że z jej funkcjonowania byliby zadowoleni klienci i jej pracownicy? Jestem optymistą i sądzę, że można tak zrobić. Potrzeba tylko aby Rada Narodowa Miasta Łodzi poczuła się w pełni samodzielnym samorządem i potrafiła dać nowemu prezydentowi miasta Łodzi odpowiednie uprawnienia do działania.

4.

Myślę też, że nadszedł już czas, aby spółdzielnie mieszkaniowe stały się spółdzielniami mieszkańców. Wśród dużej ilości różnych skarg które napływają do redakcji w listach lub które są zgłaszane do nas podczas dyżurów reporterskich, sporo dotyczy przede wszystkim złej pracy administracji domami i tak spółdzielczymi, jak i komunalnymi. Pewnie, że administracja ta jest różna, że dobrze pracują jedni, a bardzo źle inni. Ale jej struktura nie sprzyja sprawności zarządzania. Być może są za duże, na pewno są zbyt powolne, mało sprawne i mało skuteczne.

Samorząd nie jest bez wątpienia lekarstwem na wszelkie nasze dolegliwości, ale gdyby samorząd mieszkańców stał się rzeczywistym samorządem, gdyby przejął w ręce zarządzanie domami, gdyby to zarządzanie zorganizował w interesie mieszkańców, to można spodziewać się, że nie byłoby tyle marnotrawstwa, opieszałości, lekceważenia ludzkich spraw, tyle bezmyślności.

Gdy oglądam zniszczone domy, wymagające gwałtownie remontu i wiem, że nie ma na ten remont pieniędzy, to się zastanawiam, jak to się dzieje gdzie indziej, gdzie ludzie mają domy, wynajmują je i żyją z tego. Starcza im pieniędzy nie tylko na remonty ich domów, ale utrzymują się z tego.

Nie jestem w stanie wymienić wszystkich naszych braków i niedogodności. Ale proszę pamiętać, że miasto — to takie miejsce, w którym mieszkają ludzie i władze tego miasta muszą zapewnić im takie warunki, aby im się dobrze żyło i mieszkało. Są na to różne sposoby. Stosowany dotąd sposób, kiedy o wszystkim, co dotyczy Łodzi, decydowało się w Warszawie, nie sprawdził się. Staramy się więc ten sposób ulepszać. Nazywa się to decentralizacja. To znaczy, że władza centralna oddaje stopniowo swoje uprawnienia władzom lokalnym, a te władzom niższego szczebla. Nic z tego jednak nie wychodzi. Może więc trzeba po prostu sprawy miasta oddać w ręce ludziom w tym mieście mieszkającym. To nie jest nic nowego. To się już gdzie indziej robi. Dlaczego więc u nas tak nie można?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

Ostatni dzień konferencji, wodzowie wielkich narodów złożyli podpisy pod dokumentami i wymienili skromne nader podarunki. Józef Stalin przekazał gościom kawior, wędzone łososie, cytryny i krymskie mandarynki. Franklin Roosevelt czymś zirytowany, być może wyczuwał powiew zbliżającej się śmierci, obdarował Stalina czekoladą, sokami w puszkach i elektryczną maszynką do golenia.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przeżył jeszcze osiem tygodni. Odszedł po wylewie krwi do mózgu w bajecznie kolorowych Warm Springs. Stało się, co od dawna było nieuniknione.

2.

Adolf Hitler cierpiał na chroniczne nadciśnienie. Już w 1942 r. jęły go coraz częściej nawiedzać przewlekłe i deprymujące bóle głowy. Stopniowo tracił pamięć. Dały też o sobie znać pierwsze objawy choroby Parkinsona. Wywołało ją uszkodzenie mózgu. Wielu z otoczenia Fuehrera już wówczas żywiło podejrzenie, że to skutek silnych leków psychotropowych. Aplikował je Hitlerowi w coraz większych ilościach dr Morell.

Fuehrerowi dawała się we znaki wzrastająca sztywność kości. Spowolniał i stał się ociężały. Foruszał się niepewnie. Coraz bardziej wychylony do przodu, widać to na fotografiach, zaczął dreptać drobnym kroczkiem. Nękało go

3.

Benicie Mussoliniemu też nic nie brakowało. Starsi dobrze go pamiętają z licznych zdjęć w prasie. Plac wenecki w Rzymie. Na pierwszym planie rzeźbiony balkon pałacowy. Na nim szeroko rozkraczony Duce. Pięści w teatralnym geście wbite w biodra. Wysunięty podbródek i rzucające wściekłe błyski oczy fanatyka. Zapragnął przejść do historii jako cezar, odnowiciel rzymskiego imperium włoskiego narodu.

Był świetnym oratorem o wrodzonych aktorskich uzdolnieniach. Doskonały poza tym pilot i świetny rajdowiec. Wyścigowe wozy wprost uwielbiał. W gronie wieśniaków ścinał w pocie czoła zboża na polach Toskanii, świecąc jak gladiator gołym torsem. Z ochotą wielką uczestniczył w masowych biegach na przełaj. Zapędzał do nich wszystkich swych ministrów, częstując ich na drogę łacińską maksymą: *Mens sana in corpore sano.*

W młodych latach nabawił się syfilisu jako strzelec alpejski. Leczenia zaniedbał. Zaczął żmudną kurację pod koniec lat dwudziestych, gdy choroba weszła w nieodwracalną już fazę. Dr Merloo z Amsterdamu spostrzegł, że na konferencji Narodów Zjednoczonych w Genewie w 1930 r. Benito Mussolini zachowuje się co najmniej osobliwie. Te grymasy, ta ponura zaduma, to znów niezrozumiałe podniecenie. Z tego zachowania dr Merloo wysunął wniosek, że Benito Mussolini pobierał dożylnie antysyfilisowy salvarsan.

Adolf Hitler otrzymywał tajne meldunki. Wynikało z nich, że lues sieje w organizmie Benity Mussoliniego prawdziwe już spustoszenie. To o-

rę życia. Dzierżył ster państwowej nawy przez sześć jeszcze długich lat.

Otóż partyjna biurokracja wyczuwała zbliżanie się groźnego dla niej niebezpieczeństwa. Dorastało pokolenie nastawione zdecydowanie krytycznie do zasuszonych starców, zajmujących w Biurze Politycznym KC KPZR kluczowe pozycje. Wzrastał niepokój o przyszłość Związku Radzieckiego. Młodsi nie poddawali się złudzeniom. Chłodni realiści zauważyli, że potężny militarnie Kraj Rad słabnie gospodarczo i traci dystans w technice. Nie nadąża za postępem

5.

Uwielbiany zwłaszcza przez młodych John Fitzgerald Kennedy cierpiał na chorobę Addisona. Szybko się męczył, łomotało mu serce, odczuwał bóle i zawroty głowy. Nie zawsze umiał skupić się i skoncentrować. Wielu zaskakiwał nadmierną pobudliwością. Wpadał też w długie stany podgorączkowe. Odznaczał się przy tym cerą lekko zbrązowiałą, tak że wyglądał jakby był opalony i wprost tryskał zdrowiem.

Tymczasem ów wieczny brąz na twarzy był właśnie jednym z objawów choroby Addisona.

John Kennedy wielokrotnie przebywał na kuracjach. Rzadko o tym informowano. Budowano wszak wokół młodego prezydenta nimb energii, zdecydowania, wiary w siebie i typowo amerykańskiego optymizmu. Miał uosabiać nową i silną Amerykę, wybiegającą ku nowym horyzontom. To przecież nie z kim innym jak z nim wiązano pierwszą, uwieńczoną pełnym sukcesem wyprawę na Księżyc.

A tymczasem lekarz osobisty nie odstępował go na krok. Snuł się za prezydentem jak cień z czarną walizeczką w ręku. Znajdował się w niej „cortison" zwany opium dla bogaczy. To silny i niebezpieczny narkotyk. John Kennedy domagał się też zastrzyków amfetaminy. To również narkotyk. Uśmierza bóle i działa podniecająco. Kennedy zdawał sobie sprawę, że niszczył w ten sposób własną korę mózgową. Na odwrót było już za późno. Uzależnił się od leków całkowicie. Zresztą w cierpieniach spowodowanych chorobą, narkotyki przynosiły ulgę i odprężenie.

6.

Pod koniec 1988 roku w „Litieraturnoj Gazietie" O. Morozow, opierając się na opinii lekarzy, udowadniał, że Józef Stalin był chory psychicznie. Po tygodniu do redakcji zaczęły napływać listy od czytelników. Zacytuję fragmenty niektórych z nich. Bez komentarzy. Są dostatecznie wymowne.

N. Błochin, akademik:

„W kręgach psychiatrów zdawano sobie sprawę, że Stalin cierpi na paranoję, choć nigdy tej kwestii nie podnoszono. Wielu nie żywiło wątpliwości, że Stalin dotknięty był manią prześladowczą i manią wielkości. Jego chorobę przyrównywano do choroby Iwana Groźnego. Car rozporządzał również nieograniczoną władzą, co mu pozwoliło zgładzić bezkarnie tysiące i tysiące niewinnych.

„Pisałem o tym w eseju zamieszczonym w „Oktiabrie" w 1988 r. Ludzie z najbliższego otoczenia Stalina spełniali taką samą rolę, co „opriczniki" na dworze cara Iwana. Jakąż to grozi tragedią, gdy ogromna władza skupia się w ręku kogoś niepoczytelnego. Często psychicznie chorzy obdarzeni są jednak dużym talentem. Medycyna zna takie przypadki. Tak było też ze Stalinem".

E. Kiesławski, psychiatra:

„Chciałbym zapytać komu służy robienie tyle szumu wokół choroby Stalina? Jeśli Stalin był chory, to w świetle obowiązujących norm prawnych nie można by go było obwiniać o przestępstwa wobec kraju i narodu".

Pisze A. Hofman, psychiatra:

„Według mnie podstępność Stalina, jego skłonność do łgarstwa i do intryg, a zarazem elastyczność w podejmowaniu szybkich decyzji, w żaden sposób nie może dowodzić paranoi. Nikt nigdy nie wykrył u Stalina jakiejkolwiek manii. Jeśli zaś taka istniała, to była to wyłącznie mania prześladowcza. W takich przypadkach współczesna psychiatria mówi nie o paranoi, tylko o schizofrenii.

W swym historycznym referacie na Zjeździe partii Chruszczow powoływał się na niebywałą podejrzliwość Stalina. Nie raz Stalin pytał nagle Chruszczowa," „co tak na mnie patrzysz, o czym myślisz, dlaczego się odwracasz".

Pisano niedawno, że Stalin obawiał się, iż pewnego dnia wystrzeli do niego ktoś z jego ochrony osobistej. Wiadomo też, że był milczącym, zamkniętym w sobie człowiekiem. To właśnie, łącznie z chorobliwą podejrzliwością, jest typowe dla schizofreników".

O. Wileński, profesor, psychiatra:

„Historia zna mnóstwo tego rodzaju przypadków. Dość wspomnieć o Kaliguli, Neronie, Iwanie Groźnym czy Hitlerze.

Stalin ignorował realne fakty. Stąd liczne błędy, jakich dopuścił się w prowadzeniu wojny. To, że z takim spokojem i z taką obojętnością przyglądał się śmierci milionów, byle tylko zaistniało się stało jego manii wielkości i jego wyobrażeniom o świecie, ów ciągły strach przed wrogami", przemawia za diagnozą o schizofrenii paranoidalnej".

Jeszcze może słowa O. Morozowa:

„Czy badaniom lekarskim poddaje się u nas osoby, piastujące wysokie stanowiska? Są kraje gdzie to należy do reguł. Jaką mamy gwarancję, że na najwyższym szczeblu znów nie zasiądzie ktoś obarczony chorobą? Przecież każdy widział gołym okiem jak ciężko schorowany był Breżniew. Było to oczywiste, że nawet przy dobrym zdrowiu Czernienko nie mógłby pokierować państwem i losami narodu".

JAN BĄBIŃSKI

Cena wielkości

drżenie palców, rąk i przegubów. Po jakimś czasie dygot ogarnął też głowę. Popadał w stany ostrej, przedłużającej się depresji.

Spostrzegawczy Albert Speer zauważył w swych „Erinnerungen", że począwszy od 1943 r. intelekt Fuehrera uległ wyraźnej degradacji.

„...wprost swój mózg torturował, nim podjął jakąkolwiek wiążącą decyzję. A kiedyś przychodziło mu to bez żadnego wysiłku".

W lutym 1945 r. wezwano na konsultację dr. Edwina Giesinga, lekarską sławę ówczesnego Berlina. Dr Giesing skonstatował że chorobliwe drżenie ogarnęło całe już ciało Fuehrera. Adolf Hitler nie potrafił się skupić. Pamięć go zawodziła. Każde pytanie kazał sobie powtarzać po dwa razy. Ślinił się. W kącikach ust zbierała mu się pianka. Były to typowe objawy choroby Parkinsona.

Werner Maser w książce „Hitler", wydanej w Londynie w 1974 r. nakładem „Fortune", wskazywał palcem na Heindricha Himmlera. Utrzymywał, że Heindrich Himmler pragnął pozbyć się Adolfa Hitlera możliwie szybko, aby zapobiec zbliżającej się katastrofie. Chciał zwyczajnie zająć jego miejsce. To z jego polecenia lekarze faszerowali Adolfa Hitlera mnóstwem toksycznych medykamentów, co doprowadziło do zwyrodnienia tkanek mózgowych.

Istotnie, dr Morell kojarzył się wtenczas wielu ze strzykawką. Herman Goering nazywał go złośliwie „Wielkim Zastrzykaczem Rzeszy". Dr Morell przyrządzał też dla Hitlera całą furę innych lekarstw sporządzanych wedle swych własnych receptur. Dość że Adolf Hitler zapadł na chorobę Parkinsona. Ale czy tylko? Był z pewnością szaleńcem i zbrodniczym psychopatą.

O tym wtedy milczano. Żaden psychiatra nie ośmieliłby się nawet zbliżyć do Fuehrera. Byłoby to równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci.

kres kiedy u chorego występuje rozszerzenie aorty, uwiąd rdzenia i paraliż postępowy. Leczeniem Duce miał zająć się dyskretnie dr Morell. Misja okazała się nad wyraz kłopotliwa. Wpierw trzeba by pobrać do analizy nie tylko krew Benity Mussoliniego, ale też wyciąg z rdzenia pacierzowego. Było to niewykonalne i dr Morell zrezygnował.

Pierre Accoce i dr Pierre Rentschnick wydali w 1976 r. w Szwajcarii książkę „Ces malades, qui nous gouvernent". Syfilis sprawił, dowodzili w niej, że pod koniec życia Duce był już tylko cieniem samego siebie.

4.

Pamiętamy aż nadto dobrze nerwowe drgawki ogarniające głowę Leonida Breżniewa. Te nagłe zmiany wyrazu twarzy, te grymasy, podrzuty w lewo, to znów w prawo. Pamiętamy jak dreptał niczym dzieciak przed wartą honorową na tylu międzynarodowych aeroportach. A ile wysiłku kosztowało go zejście schodkami. Kto umiał patrzeć ten wiedział, że to człowiek bardzo poważnie chory.

Ilość cholesterolu we krwi Leonida Breżniewa przybierała coraz bardziej alarmujące rozmiary. Lekarze zalecili mu raz i drugi ostrą kurację odchudzającą. Niewiele to dało. W 1975 r. Leonid Breżniew doznał silnego zawału. Dosięgła go miażdżyca tętnic. Podejrzewano, że wylania się syndrom choroby Alvareza. Leczono go nieustannie. I choć oficjalnie milczano, w kręgach dyplomatycznych Moskwy szerzyły się już wówczas przeróżne spekulacje co do stanu zdrowia radzieckiego przywódcy.

Pierre Accoce i Pierre Rentschnick twierdzą, że w 1976 r. nastąpiła śmierć kliniczna Leonida Breżniewa. Ustało krążenie krwi i oddychanie. Mięśnie zwiotczały. W zagranicznych agencjach czekano z niecierpliwością na potwierdzenie jego zgonu. Jednak Leonid Breżniew nie odszedł. Udało się przywrócić go do normalnego w mia-

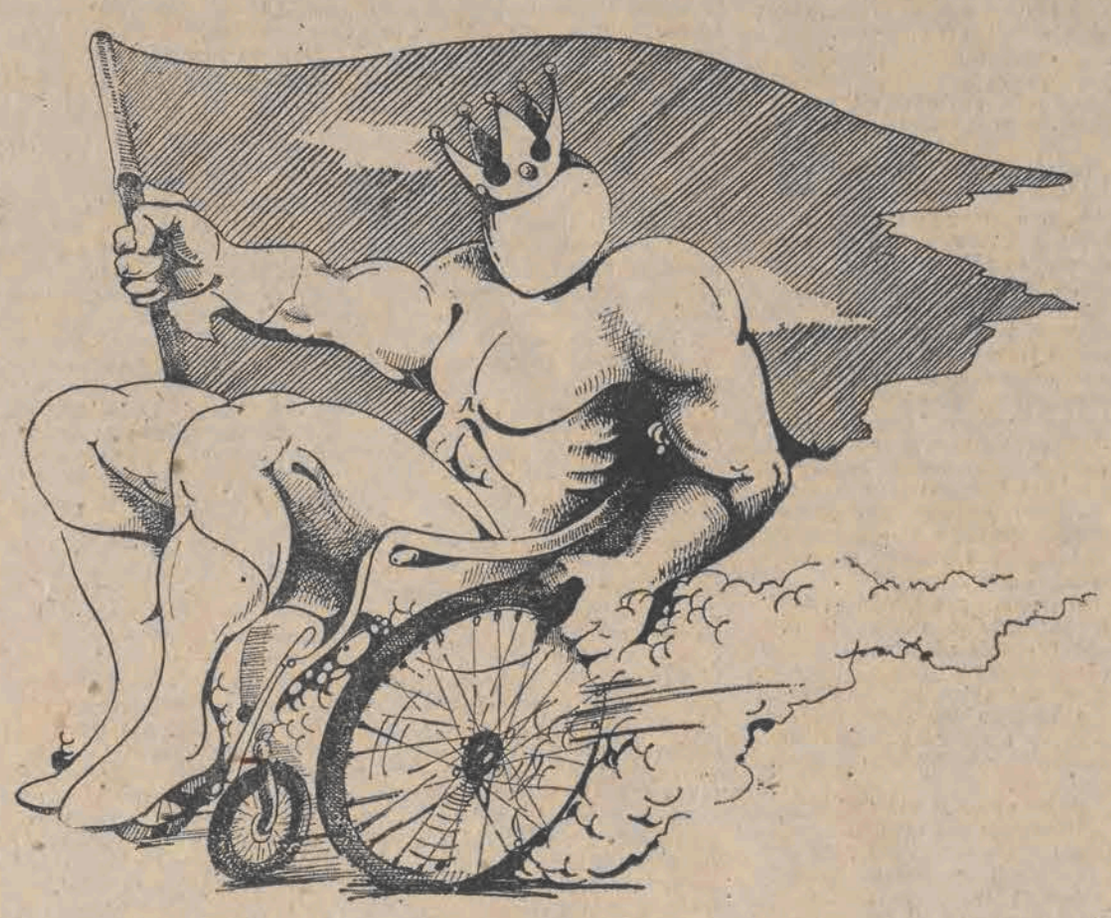

Rys. Dariusz Romanowicz

Panorama

ALBANIA

W ATENACH bawiła grupa 31 Albańczyków, którzy pod kierunkiem Haarzi Silengu przybyli do Grecji jako turyści. Była to pierwsza od wielu lat grupa albańskich turystów. W jej skład wchodzili rzeźbiarze, malarze, architekci i dyrektorzy hoteli. Greckie gazety nazwały ten fakt historycznym. Dwa lata temu Grecja i Albania podpisały protokół o rozwoju turystyki, ale do tej pory poza oficjalnymi delegacjami w Grecji nie było albańskich turystów. Prasa grecka fakt ten traktuje jako kolejny krok w próbach wyjścia z samoizolacji narzuconej Albanii przed laty przez zmarłego już wieloletniego przywódcę Envera Hodżę. Według tejże prasy w Albanii ścierają się dwie tendencje: utrzymania izolacji lansowana przez wdowę po Enverze Hodży i zmierzająca do zniesienia izolacji reprezentowana przez Ramiza Alię. Wiele lat izolacji spowodowało w Albanii poważne trudności gospodarcze, brak wielu artykułów, w tym spożywczych i opóźnienie w stosunku do innych krajów europejskich.

CSRS

W PROCESIE LIKWIDACJI nadmiernie rozrośniętej administracji, mimo zaciętego oporu urzędów, udało się w Pradze wydrzeć 30 300 metrów kwadratowych powierzchni, zajmowanej do tej pory przez biura. Z tego 8,5 tys. m kwadratowych otrzymają inne biura, 4,5 tysiąca m kwadratowych gastronomia i handel, 3 tys. m kwadratowych — służba zdrowia, 1,5 tys. m kwadratowych znajduje się w domach przeznaczonych do rozbiórki, a 4 tys. m kwadratowych przeznaczono na mieszkania dla prażan.

PRAGA JESZCZE ŚPI — powiedział w wywiadzie dla węgierskiego czasopisma „Magyar Nemzet" znany czeski reżyser filmowy Jirzi Menzl. Jego zdaniem ludzie w CSRS boją się mówić to, co myślą, gdyż władze w sposób alergiczny reagują na każdą opinię, która różni się od oficjalnej. Jirzi Menzl wyraził radość z powodu tego, że pod wpływem światowej opinii publicznej wypuszczono na wolność Vaclawa Havela. Jego zdaniem nie jest to żaden polityk, a po prostu dobry człowiek, któremu nie podoba się to, co się dzieje w CSRS. Wprawdzie Vaclav Havel jest już na wolności, ale inni, którzy byli razem z nim aresztowani w styczniu 1989 roku, przebywają nadal w więzieniu. — **Nie jest zdrowe trzymanie ludzi w więzieniu tylko dlatego, że inaczej myślą** — powiedział Jirzi Menzl.

RUMUNIA

W BUKARESZCIE obradował Polityczny Komitet Wykonawczy KC RPK w rozszerzonym składzie o sekretarzy komitetów wojewódzkich, członków rządu i kierowników przedsiębiorstw gospodarczych. Nicolae Ceausescu krytycznie ocenił realizację planów produkcyjnych za 5 miesięcy 1989 roku. Zadań swoich nie wykonało górnictwo węglowe i naftowe, hutnictwo, a także przemysł maszynowy i chemiczny. Przemysł chemiczny nie dostarczył planowanej ilości nawozów mineralnych, włókien i innych wyrobów. Nie osiągnięto też planowanej wielkości eksportu. Zdaniem Nicolae Ceausescu gospodarka rumuńska posiada rezerwy wyrażające się w wielkości co najmniej 30 proc. produkcji fizycznej. Poza tym nadmiernie zużywa materiały i energię, a przoduje w tym przemysł chemiczny, hutnictwo, maszynowy. Rumuński przywódca zapowiedział modernizację gospodarki, co będzie wyrażało się nie nowymi inwestycjami, a lepszą organizacją.

W czasie posiedzenia zaaprobowano kary dla działaczy partyjnych i gospodarczych winnych opóźnień przy budowie elektrowni atomowej Cernavoda. Ze stanowiska I sekretarza KW RPK w Vilcea i przewodniczącej WRN została zwolniona Venerica Patru. Elektrownia atomowa w Cernavoda budowana jest na licencji kanadyjskiej i już kilkakrotnie przekładano termin ukończenia budowy. W Rumunii, gdzie brakuje energii elektrycznej, wiele obiecuje się po jej uruchomieniu.

WĘGRY

W BUDAPESZCIE powstał Związek Zawodowy Pracowników Prasy jako samodzielna organizacja, która zrzesza pracowników prasy i wydawnictw prasowych.

MIKLOS HARASZTI — wydawca opozycyjnego czasopisma „Beszelo" udzielił wywiadu amerykańskiemu tygodnikowi „Newsweek". Oto niektóre z jego wypowiedzi:

— „Partia komunistyczna na Węgrzech nie jest już wcale „jedyną" partią, chociaż ma jeszcze setki tysięcy członków. Przywódcy partii mówią, że zapoczątkowali i realizują proces demokracji. Faktycznie zaś działają pod presją swych własnych niepowodzeń gospodarczych..."

— „Na Węgrzech nie było czegoś w rodzaju jednolitej, demokratycznej organizacji politycznej, jak „Solidarność". Ale na Węgrzech powstaje podobny ruch: tak zwany okrągły stół opozycji węgierskiej..."

FERENC SZOMBATHEY — doradca wojskowy sekretarza generalnego WSPR wypowiedział się na łamach tygodnika „Heti Vikaggazdasab" na temat strefy neutralnej w środku Europy. Jego zdaniem istnieje szansa, że w niedalekiej przyszłości powstanie taka strefa, do której należeć będą Czechosłowacja, Polska, Włochy i Węgry.

Opracował: W. BOROWY

Kulisy „moskiewskich procesów" z drugiej połowy lat trzydziestych.

Kto polecił zamordować Siergieja Kirowa?

ROY MIEDWIEDIEW

Są to materiały oraz domysły związane z zabójstwem Siergieja Kirowa.

1.

Rankiem 2 grudnia 1934 roku w Leningradzie rozeszły się pogłoski o przyjeździe Józefa Stalina. Przyjechał specjalnym pociągiem wraz z W. Mołotowem, K. Woroszyłowem, N. Jeżowem, H. Jagodą, A. Zdanowem, A Agranowem i L. Zakowskim. Na dworcu witali go szefowie leningradzkiej organizacji partyjnej na czele z M. Czudowem oraz szefowie Leningradzkiego Zarządu NKWD na czele z F. Miedwiediewem. Po wyjściu z wagonu Józef Stalin nie podał ręki nikomu z witających, zaś F. Miedwiediewa uderzył w twarz nie zdejmując rękawiczki. Bezpośrednio po przyjeździe Józef Stalin przejął kierownictwo śledztwa w swoje ręce.

Nie ulega wątpliwości, iż za morderstwo Siergieja Kirowa nie można winić samego tylko Nikołajewa. Jak opowiadał mi Piotr Czagin, działacz partyjny i bliski przyjaciel Siergieja Kirowa, w 1934 r. było kilka prób zamachów na życie tego ostatniego, wyraźnie kierowanych czyjąś mocną ręką. Próba taka została, na przykład, podjęta w czasie podróży Siergieja Kirowa do Kazachstanu. Jeśli zaś idzie o Nikołajewa, to wszystkie źródła są zgodne co do tego, iż ten niezrównoważony psychicznie człowiek działał z początku z własnej inicjatywy.

Siergiej Kirów lubił spacerować po mieście i Nikołajew przestudiował trasy jego spacerów. Oczywiście, Kirowa troskliwie chroniono i grupa agentów w cywilu, kierowana przez pracownika NKWD Borisowa towarzyszyła mu, idąc „schodkami" z przodu i z tyłu. Podczas jednego ze spacerów ochrona zatrzymała człowieka, który próbował podejść do Siergieja Kirowa. Był to Nikołajew. W jego teczce wykryto wyciętą dziurę, przez którą można było wyciągnąć ukryty tam rewolwer, bez otwierania zamka. W teczce znajdował się też szkic tras spacerów Kirowa. Nikołajewa aresztowano.

Przesłuchiwał go zastępca naczelnika zarządu NKWD obwodu (leningradzkiego) I. Zaporożec, przybyły niedawno do Leningradu, zaufany współpracownik Henryka Jagody. Nie poinformował drogą służbową o zatrzymaniu swojego bezpośredniego przełożonego F. Miedwiediewa, który był blisko Siergieja Kirowa, lecz zadzwonił do Moskwy do ludowego komisarza spraw wewnętrznych Henryka Jagody. Po kilku godzinach Henryk Jagoda polecił zwolnić Nikołajewa. Kogo się radził? W 1938 r. podczas procesu członków „bloku prawicowo-trockistowskiego" oskarżony Henryk Jagoda potwierdził, że wszystko odbyło się właśnie tak, jednocześnie twierdził, że wszystkie główne polecenia otrzymywał rzekomo od Awela Jenukidze i Aleksego Rykowa. Obecnie wersję tę całkowicie odrzucono. Można nie mieć wątpliwości, iż Henryk Jagoda otrzymywał rozkazy od bardziej wpływowych osobistości

Nikołajewa wypuszczono, a po pewnym czasie został on znowu zatrzymany na moście przez ochronę Siergieja Kirowa, która ponownie zabrała mu ten sam załadowany pistolet. Dziwny liberalizm Leningradzkiego Zarządu NKWD wywołał podejrzenia u ludzi chroniących Siergieja Kirowa, jednak oświadczono im, że to nie ich sprawa i zagrożono wyrzuceniem z partii. Borisow opowiedział jednak o wszystkim Kirowowi.

Nikołajewa ponownie zwolniono i wkrótce udało mu się zabić Siergieja Kirowa Józef Stalin postanowił osobiście przesłuchać Nikołajewa, przy tym w obecności zarówno swojego otoczenia, jak i leningradzkich czekistów. Przesłuchanie było prowadzone w sposób nieprofesjonalny i towarzyszyło mu tak dotkliwe pobicie Nikołajewa, że trzeba było przez długi czas doprowadzać go do przytomności w szpitalu więziennym.

Następnie miało się odbyć przesłuchanie naczelnika ochrony Borisowa, którego aresztowano bezpośrednio po zabójstwie. Wszystkich aresztowanych dostarczano na przesłuchanie w samochodach osobowych, natomiast po Borisowa posłano kryty samochód ciężarowy, do którego pudła weszło kilku czekistów z łomami. Jeden z nich wsiadł do kabiny szofera. Na ulicy Woinowa, kiedy samochód przejeżdżał koło ślepego muru magazynów, siedzący obok kierowcy człowiek nieoczekiwanie wyrwał mu kierownicę. Kierowca zdołał jednak uniknąć zderzenia z murem i samochód, otarłszy się jedynie o mur, dojechał na miejsce. Jednakże Borisow był już martwy. Ekspertyza lekarska wyciągnęła fałszywy wniosek o śmierci Borisowa, w wyniku katastrofy samochodowej Jednakże niektórzy lekarze, biorący udział w ekspertyzie, pozostali przy życiu i złożyli pisemne zeznania przed komisją KC KPZR, iż orzeczenie lekarskie zostało wymuszone, zaś w rzeczywistości śmierć Borisowa nastąpiła w wyniku uderzeń ciężkimi przedmiotami metalowymi po głowie. Nikita Chruszczow uznał za niezbędne opowiedzieć o tym epizodzie na XXII Zjeździe KPZR.

2.

Po XX i XXII zjazdach partii setki komunistów i bezpartyjnych pisały do KC KZPR o swoich wątpliwościach w związku z oficjalną wersją zabójstwa Siergieja Kirowa i informowały równocześnie o pewnych faktach i dowodach, które — ich zdaniem — mogły rzucić światło na to przestępstwo. Kopie niektórych z tych listów znajdują się również w moim archiwum.

Wkrótce po zabójstwie Siergieja Kirowa szefowie Leningradzkiego Zarządu NKWD F. Miedwiediew i I. Zaporożec oraz kilku innych, oskarżeni o rażące zaniedbania, zostali zdjęci ze stanowisk i skierowani do pracy w organach NKWD na Dalekim Wschodzie. W 1937 r. wszyscy zostali rozstrzelani. *„Można pomyśleć* — oświadczył na XX Zjeździe KPZR N. Chruszczow — *że rozstrzelano ich potem, by zatrzeć ślady organizatorów zabójstwa Kirowa"*.

Zasługuje na uwagę i to, że już wieczorem 1 grudnia 1934 r. na telefoniczne polecenie Józefa Stalina sekretarz Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR Awel Jenukidze przygotował i opublikował uchwałę Centralnego Komitetu Wykonawczego i Rady Komisarzy Ludowych ZSRR *„O wprowadzeniu zmian do obowiązujących kodeksów karnoprocesowych republik związkowych"*. Została ona opublikowana niezwłocznie. Natomiast zgodę członków Biura Politycznego KC WKP(b), Rady Komisarzy Ludowych i Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR uzyskano poprzez zapytanie ich po 2 dniach.

Była to faktycznie uchwała o terrorze, nie mająca precedensu w warunkach czasów pokoju, bowiem otwierała szeroko drzwi do bezprawia. Przecież przy odrobinie chęci każdą *„sprawę polityczną"* można było przedstawić jako przygotowanie do aktu terrorystycznego. Przyśpieszony tryb śledztwa *(śledztwo miało zostać zakończone i wyrok miał zapaść w ciągu 10 dni* — przyp. red.) popychał do powierzchownego rozpatrywania spraw i zwykłych fałszerstw, przeszkadzał odpowiedzieć na pytanie, czy podejrzany jest winien czy też nie.

Na podstawie tej uchwały dziesiątki spraw, które były przed 1 grudnia 1934 r. prowadzone przez różne instytucje, w żaden sposób nie związanych z zabójstwem Siergieja Kirowa, podpadających jednak pod szeroko interpretowane pojęcie *„kontrrewolucji"*, zostało pośpiesznie przekazanych w gestię Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR i równie pośpiesznie rozpatrzonych na sesjach wyjazdowych tego złowieszczego Kolegium. Prawie wszyscy oskarżeni zostali skazani na rozstrzelanie, o czym poinformowano 6 grudnia 1934 roku, w dniu pogrzebu Siergieja Kirowa. W Leningradzie rozstrzelano 39, a w Moskwie 29 osób. W następnych dniach poinformowano o aresztowaniu 12 osób w Mińsku (9 z nich zostało rozstrzelanych) i 37 osób w Kijowie (28 rozstrzelanych).

Z niezwykłym pośpiechem prowadzono również śledztwo w sprawie zabójstwa Siergieja Kirowa. Już 22 grudnia 1934 r. ogłoszono, że Nikołajew jest członkiem organizacji terrorystycznej, utworzonej przez członków byłej opozycji zinowiewowskiej i że *„leningradzki ośrodek"* opozycji podjął decyzję o zabójstwie Siergieja Kirowa, z którym zinowiewowcy mieli swoje specjalne porachunki. Wymieniono również członków *„ośrodka leningradzkiego"*, z których większość w przeszłości rzeczywiście miała kontakty z zinowiewowcami. 27 grudnia 1934 r. gazety opublikowały *„Akt oskarżenia"*, pod którym znajdowały się podpisy Prokuratora ZSSR Andrieja Wyszyńskiego i oficera śledczego L. Szejnina. Twierdzono w nim, iż zabójstwo Siergieja Kirowa było tylko częścią daleko idącego planu obejmującego zabójstwo Józefa Stalina i innych członków Biura Politycznego KC WKP(b).

„Akt oskarżenia" zawiera wiele sprzeczności i niedorzeczności. Do winy przyznały się tylko trzy osoby, w tym Nikołajew. Jednakże jego zeznania, na których było oparte oskarżenie, odbiegały od zeznań innych oskarżonych. Nie potwierdzały wersji *„ośrodka leningradzkiego"* również dowody rzeczowe — dziennik Nikołajewa, jego notatniki i inne. W *„akcie oskarżenia"* materiały te określono jako *„fałszerstwa"*, sporządzone dla zamaskowania sprawy. Większość oskarżonych nie przyznała się do winy i oświadczyła, iż widzi Nikołajewa po raz pierwszy. Nie przeszkodziło to w skazaniu oskarżonych na rozstrzelanie i w natychmiastowym wykonaniu wyroku.

Już w czasie śledztwa Józef Stalin zażądał od NKWD listy zinowiewowców, którzy *„nie rozbroili się"* i osobiście sporządził listy ośrodków: *„moskiewskiego"* i *„leningradzkiego"*. Zgodnie ze świadectwem byłej członkini Komitetu Kontroli Partyjnej O. Szatunowskiej, obie te listy zachowały się w archiwum, zrobiono z nich fotokopie i na ich podstawie dokonano ekspertyzy grafologicznej. Jest rzeczą godną uwagi, że niektórych byłych opozycjonistów Józef Stalin zapisał najpierw do *„ośrodka moskiewskiego"*, a potem przeniósł do *„leningradzkiego"* i na odwrót. Wszyscy wymienieni przez Stalina zostali aresztowani.

W 1934 r. wersja Józefa Stalina, że właśnie zwolennicy Grigorija Zinowiewa zorganizowali zabójstwo Siergieja Kirowa, mogła wydawać się prawdopodobną, bowiem Leningrad był w swoim czasie ośrodkiem opozycji zinowiewowskiej. Ale właśnie owo *„prawdopodobieństwo"* każe odnieść się do tej wersji z wątpliwościami. Nikomu z byłych zinowiewowców zabójstwo Siergieja Kirowa nie mogło przynieść żadnych korzyści politycznych. Natomiast cały charakter śledztwa, kierowanego przez Józefa Stalina, jak też łańcuch późniejszych wydarzeń, pozwala przypuszczać, iż Siergiej Kirow został zabity nie bez wiedzy Józefa Stalina.

Ta część Uchwały Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR, w której była mowa o przyśpieszonym — nie więcej niż 10 dni — trybie śledztwa, nie była już później stosowana. Prawdopodobnie tylko w sprawie zabójstwa Siergieja Kirowa miało to dla Józefa Stalina ważne znaczenie, jako sposób doprowadzenia do szybkiej rozprawy sądowej, żeby zatrzeć ślady. Pozostałe punkty „Ustawy z 1 grudnia" pozostawały w mocy.

Siergiej Kirow, mimo iż dysponował osobistymi cechami, charakterystycznymi dla otoczenia Józefa Stalina, jednakże, jako osobowość, wyróżniał się z tego otoczenia. Był bezpośredni i łatwo dostępny, bliski robotnikom, często bywał w przedsiębiorstwach, posiadał ogromną energię i wybitny talent oratorski, niezłe przygotowanie teoretyczne. Wpływ Siergieja Kirowa w kraju zwiększał się i w 1934 roku był on bez wątpienia drugim pod względem autorytetu członkiem partii. Kiedy w lecie 1934 r. Józef Stalin zachorował po raz pierwszy poważnie i powstała kwestia jego ewentualnego następcy na stanowisko sekretarza generalnego, Biuro Polityczne KC WKP(b) wypowiedziało się jednomyślnie za kandydaturą Siergieja Kirowa.

Brutalny, rozkochany we władzy, podejrzliwy i ostry Józef Stalin niezbyt tolerował wokół siebie ludzi z charakterem i samodzielnych. Rosnąca popularność i wpływ Siergieja Kirowa musiały wywołać w nim zawiść i podejrzenia. Zabójstwo Siergieja Kirowa stało się ważnym ogniwem w łańcuchu wydarzeń, jakie doprowadziły w ostateczności do uzurpacji przez Stalina pełni władzy w kraju. Dlatego właśnie wersja mówiąca, iż przyłożył on ręki do zabójstwa Siergieja Kirowa, która w latach 1934—1935 mogła wydawać się nieprawdopodobną, wydaje się obecnie bardzo prawdopodobną z politycznego i z logicznego punktu widzenia.

3.

Bezpośrednio po zabójstwie Siergieja Kirowa we wszystkich przedsiębiorstwach i instytucjach kraju odbyły się wiece. W Moskwie, w Centrosojuzie (Centralna Rada Organizacji Spółdzielczości Spożywczej — przyp. red.) informację o zabójstwie Siergieja Kirowa przedstawił Grigorij Zinowiew, wówczas członek zarządu Centrosojuzu. Zaś w zarządzie „Gławmołoko" naczelnik tego zarządu G. Jadwokimow. Upłynęło zaledwie kilka dni i Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew, G. Jedwokimow oraz wielu innych przywódców dawnej *„nowej"* opozycji zostało aresztowanych. Aresztowano również Piotra Załuckiego — dawnego wybitnego bolszewika, jednego z organizatorów Piotrogrodzkiego Komitetu Bolszewików, aktywnego uczestnika wojny domowej, sekretarza i członka Prezydium Wszechzwiązkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego, Piotr Załucki skłaniał się ku *„lewicowej"* opozycji za co został na rok usunięty z partii. Tym niemniej udział w sporach wewnątrzpartyjnych w latach dwudziestych nie mógł odbić się negatywnie na nienagannej biografii rewolucyjnej Piotra Załuckiego.

W styczniu 1935 po krótkim śledztwie odbył się pierwszy polityczny proces sądowy byłych liderów *„nowej"* opozycji. Na ławie oskarżonych znaleźli się G. Zinowiew, L. Kamieniew, G. Jedwokimow, A. Giertik, I. Bakajew, A. Kuklin, J. Szarow i inni — ogółem dwanaście osób. W trakcie krótkiego procesu sądowego wszędzie odbywały się wiece i wysuwano żądanie rozstrzelania oskarżonych. Śledztwo odbywało się — jak się wydaje — jeszcze bez stosowania tortur, a na dodatek jeszcze nazwiska oskarżonych były wówczas szeroko znane. Nie udało się dowieść jakiegokolwiek związku *„ośrodka moskiewskiego"* z zabójstwem Siergieja Kirowa. W wyroku sądu podkreślono, iż *„śledztwo nie ustaliło faktów, które dawałyby podstawę do zakwalifikowania przestępstwa zinowiewowców jako prowokowanie do zabójstwa Kirowa"*. Dlatego też Grigorij Zinowiew został skazany *„tylko"* na 10 lat więzienia, zaś Lew Kamieniew na 5. Na różne okresy więzienia zostali skazani również inni oskarżeni.

18 stycznia 1935 r. do wszystkich organizacji partyjnych został rozesłany list zamknięty KC WKP(b) z żądaniem mobilizacji wszystkich sił do wykarczowania *„gniazd kontrrewolucyjnych"* wrogów partii i ludu. Przez wszystkie obwody, zwłaszcza zaś przez leningradzki, przetoczyła się w zimie i na wiosnę 1935 r. pierwsza fala masowych aresztowań, którą później nazywano w obozach *„Kirowskim strumieniem"*. Jednocześnie przeprowadzono masowe wysiedlanie z Leningradu dawnych właścicieli ziemskich i członków ich rodzin, mimo iż nie prowadzili oni żadnej działalności podziemnej i w ogóle żadnej działalności politycznej. Od opisu tej tragicznej karty w cierpiętniczej historii Leningradu zaczyna swoje „Requiem" Anna Achmatowa. Dokładne dane nie były nigdy publikowane, można jednakże założyć, iż z Leningradu wysiedlono kilkadziesiąt tysięcy, zaś z Moskwy kilka tysięcy osób.

Napięcie polityczne w kraju i w partii nieustannie rosło. We wszystkich organizacjach partyjnych trwała w tamtych miesiącach kampania *„kajania się"* i *„przyznawania do błędów"*.

Stopniowo zaostrzone było ustawodawstwo. 30 marca 1935 r. została uchwalona ustawa o karaniu członków rodzin zdrajców ojczyzny. Wszyscy najbliżsi krewni zdrajców ojczyzny musieli być wysłani do odległych rejonów, nawet jeśli nie mieli żadnego związku z popełnionym przestępstwem. System zakładników stawał się w ten sposób częścią ustawodawstwa. 7 kwietnia 1935 r. Centralny Komitet Wykonawczy ZSRR wydał Dekret pozwalający pociągnąć do odpowiedzialności karnej dzieci od 12 roku życia. Przy czym, zgodnie z duchem Dekretu, mogły być wobec nich stosowane wszystkie przewidziane przez Kodeks Karny rodzaje kar, do kary śmierci włącznie.

„Wybiórcze" represje nie ustawały przez cały 1935 r. i w pierwszej połowie 1936 roku. Równocześnie członków partii surowo karano za *„związki z wrogimi elementami"* lub za *„brak czujności"*. Rozpoczęta jeszcze w 1933 r. „czystka" w partii była kontynuowana do końca 1935 r. Faktycznie do połowy 1936 r. przyjęcia do partii były wstrzymane. Tym niemniej większość dawnych przywódców i aktywnych uczestników *„prawicowej"* i *„lewicowej"* opozycji pozostawała do jesieni 1936 r. na wolności — po dawnemu zajmowali odpowiedzialne stanowiska w komisariatach ludowych, organach prasowych i w instytucjach naukowych.

W 1935 r. aresztowany został wybitny historyk partii, dyrektor Biblioteki im. Lenina, W. Niewski, w przeszłości jeden z przywódców Organizacji Wojskowej przy KC RSDPR(b). Uważany był za wielkiego działacza ideologicznego partii i zachowywał na dodatek określoną samodzielność. Zgodnie ze świadectwem M. Sołncewy, W. Niewskiego aresztowano przy tym, jak zabronił on usunięcia z zasobów biblioteki znacznej części „niewygodnej" literatury politycznej i nie podporządkował się nawet wówczas, kiedy pracownicy NKWD okazali mu pisemne rozporządzenie Józefa Stalina.

W 1935 r., zginął W. Łominadze, sekretarz Magnitogorskiego Komitetu Obwodowego WKP(b). W tamtym okresie Józef Stalin wprowadził do praktyki następujący zwyczaj — członkom Biura Politycznego KC WKP(b) i niektórym wybitnym działaczom partyjnym rozsyłano kopie protokołów z przesłuchań w NKWD. Protokoły wysyłano często ludziom, których nazwiska były wymieniane podczas przesłuchań. Na przykład W. Łominadze otrzymał kopię przesłuchania Lwa Kamieniewa, w trakcie którego tamten poinformował o swojej rozmowie z W. Łominadze w lecie, podczas wypoczynku. Na wielkim przyjęciu na Kremlu na cześć hutników Józef Stalin przeszedł obok W. Łominadze i nie przywitał się z nim, choć właśnie W. Łominadze stał na czele wielkiej grupy hutników z Magnitogorska. Po powrocie do domu W. Łominadze otrzymał polecenie niezwłocznego stawienia się w Czelabińsku. Po drodze, w samochodzie strzelił do siebie i zmarł w jednym ze szpitali czelabińskich.

4.

19 sierpnia 1936 r. w Moskwie w Sali Październikowej Domu Związków rozpoczął się pierwszy potworny spektakl — tak zwany *„otwarty proces sądowy"* nad przywódcami opozycji. Na ławie oskarżonych znaleźli się przede wszystkim byli liderzy *„nowej opozycji"* — G. Zinowiew, L. Kamieniew, G. Jedwokimow, I. Smirnow, I. Bakajew, W. Ter-Waganian, S. Mraczkowski i inni, przy tym wielu z nich znalazło się na tej ławie po raz drugi w ciągu 2 lat. Ogółem sądzono 16 osób. W akcie oskarżenia nazywano ich *„trockistowsko-zinowiewowskim ośrodkiem terrorystycznym"*.

Podczas *„rozprawy sądowej"*, która trwała do 24 sierpnia 1936 roku, oskarżeni opowiadali szczegółowo o swojej roli w zabójstwie Siergieja Kirowa oraz o planach zabójstwa Józefa Stalina, Wiaczesława Mołotowa, Łazara Kaganowicza, Własa Czubaria, Józefa Kosiora i Ejchego. Zgodnie ze słowami Grigorija Zinowiewa, zabójstwo Józefa Stalina było planowane podczas VII Kongresu Kominternu, to znaczy w 1935 r. Akt ten, jak mieli oni rzekomo nadzieję, miał nie tylko spowodować zamieszanie w partii, ale i doprowadzić do potężnego ruchu na rzecz przywrócenia do władzy Lwa Trockiego, Lwa Kamieniewa i Grigorija Zinowiewa.

Tylko I. Smirnow, ogłoszony na procesie przywódcą trockistowskiego podziemia, usiłował odrzucić większą część postawionych mu zarzutów. Jednakże został *„przyłapany na gorącym uczynku"*, dzięki zeznaniom innych oskarżonych.

Proces uważano za otwarty. Jednakże w sali było zaledwie kilka dziesiątków dobranych zawczasu *„przedstawicieli społeczeństwa"*, a wypełniali ją pracownicy NKWD. Naruszone zostały również inne elementarne zasady procesowe. Prokurator ZSRR Andriej Wyszyński nie przedstawił żadnych dowodów rzeczowych lub dokumentów, ale Kolegium Sądu Najwyższego ZSRR, na czele którego stał W. Ulrich, wcale ich nie żądało. Całe oskarżenie było oparte na zeznaniach i przyznaniu się do winy przez oskarżonych. W posiedzeniach sądu nie brali udziału obrońcy, zaś propozycje wielu adwokatów zagranicznych, gotowych podjęcia się obrony oskarżonych, zostały odrzucone. Zeznania oskarżonych były jednostronne — ograniczały się do wyliczenia różnych przestępstw lub znacznie, częściej — planowanych przestępstw.

G. Zinowiew, L. Kamieniew i inni oskarżeni zostali obecnie zrehabilitowani i nie ma potrzeby mówić szczegółowo o bardzo licznych naruszeniach praworządności podczas procesu w sierpniu 1936 r., o fałszerstwach. Należy jednak podkreślić, że i sam proces, i skazanie wszystkich oskarżonych na rozstrzelanie, wywołały nową falę represji, jaka przetoczyła się przez cały kraj.

5.

Niektórzy z oskarżonych w sprawie *„ośrodka trockistowsko-zinowiewowskiego"* zaczęli do zeznań złożonych w śledztwie dodawać nieoczekiwanie — nowe — o swoich przestępczych powiązaniach z Nikołajem Bucharinem, Aleksiejem Rykowem, Karolem Radkiem, Grigorijem Piatakowem, Grigorijem Sokolnikowem, Sieriebriakowem, Ugłanowem, Aleksandrem Szliapnikowem i innymi nie aresztowanymi jeszcze byłymi opozycjonistami różnych maści. W związku z tym 21 sierpnia 1936 r. gazety opublikowały zarządzenie Andrieja Wyszyńskiego w sprawie przeprowadzenia śledztwa odnośnie udziału tych wszystkich ludzi w spisku kontrrewolucyjnym. W przedsiębiorstwach i instytucjach odbyły się wiece, których uczestnicy domagali się *„wyjaśnienia do końca powiązań Bucharina, Rykowa, Tomskiego i innych z godnymi pogardy terrorystami"*. Nie czekając na śledztwo Michaił Tomski popełnił samobójstwo. Wkrótce zostali aresztowani Karol Radek, Grigorij Piatakow i inni byli członkowie *„lewicowych"* opozycji. Członków *„prawicowego odchylenia"* na razie nie ruszano.

25 września 1936 r. Józef Stalin i Andriej Żdanow wystosowali z Soczi telegram do Łazara Kaganowicza, Wiaczesława Mołotowa i innych członków Biura Politycznego KC WKP(b):

„Uważamy za sprawę absolutnie konieczną i pilną mianowanie tow. Jeżowa na stanowisko ludowego komisarza spraw wewnętrznych. Jagoda okazał się zdecydowanie nie na wysokości zadania w zakresie demaskowania bloku trockistowsko-zinowiewowskiego. OGPU SPÓŹNIŁ SIĘ W TEJ SPRAWIE O 4 LATA. Mówią o tym wszyscy działacze partyjni i większość obwodowych przedstawicieli NKWD".

Już następnego dnia Henryk Jagoda został usunięty ze stanowiska ludowego komisarza spraw wewnętrznych i mianowany ludowym komisarzem łączności. Gazety Centralne ukazały się tego dnia z wielkimi portretami dwóch nowych komisarzy ludowych — Nikołaja Jeżowa, szefa organów represyjnych oraz Henryka Jagody. Henryk Jagoda stał na czele ludowego komisariatu łączności niezbyt długo, bowiem na początku 1937 r. został aresztowany.

ze str. 1

— Nie. Trenerzy byli za reorganizacją, ale nie w takiej formie, jaką w ubiegłym roku zaproponował ówczesny Zarząd PZPN.

— Proszę naszym Czytelnikom wyjaśnić, na czym polega wyższość tego projektu, który przeszedł nad tym, który odpadł?

— Propozycję, aby w I lidze grało tylko 14 drużyn, wymyślono w momencie, kiedy wszystkim się zdawało, że będziemy grali w mistrzostwach świata. Ale nie będziemy. Również nie ma co liczyć na nasz wielki udział w rozgrywkach pucharów europejskich. Musimy się zatem skoncentrować na grze ligowej. Gdyby więc w I lidze grało 14 drużyn, to w jednej rundzie każda drużyna zagrałaby tylko 13 spotkań. To stanowczo za mało.

Tu może przypomnę, że w okresie, kiedy polska piłka nożna liczyła się w świecie, I liga liczyła 16 drużyn, w II lidze grało 20 drużyn, były 4 grupy III ligi.

— I pan zaproponował powrót do takiej samej sytuacji?

— Tak. Zaproponowałem to w imieniu trenerów i cieszę się, że ten projekt przeszedł większością głosów.

— Jakie korzyści daje taki projekt rozgrywek ligowych?

— Przede wszystkim zapewnia cykliczność. W roku trzeba rozegrać 30 spotkań. Po drugie — wymusza to wyższy poziom rozgrywek w drugiej lidze. Po trzecie — te drużyny, które z drugiej ligi przejdą do trzeciej też wymuszą wyższy poziom gry. W sumie wpłynie to korzystnie na całą polską piłkę nożną.

Proszę pamiętać, że w czasie, kiedy trenowałem Widzew obowiązywał również taki system i mieliśmy w drugiej lidze wcale wysoki poziom gry. Wtedy kilka drugoligowych drużyn, po awansie do pierwszej ligi, utrzymało się w niej i wiele w niej znaczyło. A zadecydował o tym poziom osiągnięty w drugiej lidze.

musi istnieć jakaś hierarchia. Ale pieniądze dla dobrych trenerów młodzieży piłkarskiej muszą się znaleźć.

— Piłka nożna bez pieniędzy istnieć wszak nie może.

— Chodzi jednak o to, aby tymi pieniędzmi, jeśli już są, posługiwać się mądrze, rozsądnie, z umiarem. Często bywa jednak tak, że w ogóle nie ma tych pieniędzy. Są przecież kluby bardzo bogate i bardzo biedne. Kluby wojskowe, górnicze, milicyjne nie mają kłopotów z pieniędzmi.

— Załóżmy jednak, że pieniądze się znalazły. Co pana zdaniem znaczy postulat, żeby nimi mądrze gospodarować? Jak pan to rozumie?

— Istniejący system finansowania piłki nożnej jest postawiony na głowie i przyczynia się do obniżania poziomu piłkarstwa u nas. Piłkarze żądają ogromnych sum.

— Ktoś ich tego nauczył, ktoś im je dawał.

— Ale musi w tym być jakiś porządek. Proszę sobie wyobrazić, że na listę transferową wstawiono obecnie 300 piłkarzy. To fakt. Ten fakt sugeruje, że mamy ogromną kadrę dobrych piłkarzy. A to nie jest prawda. Przecież my, trenerzy, dobrze wiemy, kto i co sobą reprezentuje. Na te transfery, jeśli dojdą do skutku, wyrzuci się ogromne sumy. Bez sensu i bez pożytku.

— Czyżby był pan przeciw piłkarstwu zawodowemu?

— Może lepiej używać nazwy: kontraktowe. Chociaż wiem, że rzecz nie w nazwie, a w pieniądzach. I nie jest dla nikogo tajemnicą, że gra się za pieniądze. Ale pojęcie: „zawodowiec" — wiąże się z wysokimi umiejętnościami. A tych wielu naszym „zawodowcom" brakuje. To jedna sprawa.

Inna sprawa — to wzory. Uważam, że nie można przenosić do Polski wzorów z klubów zawodowych w Hiszpanii, RFN, Włoszech. Powinniśmy sami wypracować własną koncepcję zawodowstwa czy piłkarstwa kontraktowego. Jak do tej pory takiej koncepcji nie ma.

I kolejna sprawa. W polskim piłkarstwie musi istnieć taka hierarchia zarobków, aby piłkarz z III ligi był zainteresowany podnoszeniem swoich umiejętności, awansem do II ligi i wyżej, bo ten awans wiąże się nie tylko z zaspokojeniem ambicji, ale również z wyższymi zarobkami. To musi być rzeczywiście system — logiczny, spójny, motywacyjny.

Piłka nożna jest konserwatywnym sportem

— Dziennikarze jednak bardzo krytykują przyjętą reorganizację ligi. Posądza się więc o konserwatyzm, o partykularyzm i inne takie brzydkie rzeczy.

— Piłka nożna jest rzeczywiście sportem konserwatywnym. Na przykład w RFN w tym roku projektowano taką reorganizację, że każda drużyna rozgrywa dwa mecze z drugą: raz u siebie i za tydzień na wyjeździe rewanż. Ale to zecydowanie odrzucono.

U nas wymyślono 3 punkty za wygraną różnicą trzech bramek, natomiast za przegraną różnicą 6 bramek i więcej — punkt minusowy. Miało to przyczynić się do podniesienia poziomu gry, do jej atrakcyjności, i nie przyczyniło się. Miało to być powodem do przezwyciężenia wszelkiego zła w piłce nożnej. I też nie dało oczekiwanego rezultatu. Dało skutki wręcz odwrotne. Proszę uważnie prześledzić wyniki w następnych meczach osiągane przez te drużyny, które wygrały mecz różnicą trzech bramek. Są złe, są słabe. A zatem rezultaty poprzednie zostały osiągnięte nie na boisku.

— Czy to znaczy, że trenerzy są za zmianą tych przepisów?

— Tak. Taka jest nasza opinia. Regulamin ten powinien być zmieniony. W takim kształcie, jaki teraz obowiązuje, stał się przedmiotem różnych kantów i manipulacji.

— Można zatem wnosić, że zaczęto w PZPN liczyć się ze zdaniem trenerów.

— Byłoby to zbyt piękne. Do tej pory ignorowano nasze zdanie, nie próbowano nawet z nami konsultować wielu spraw, w których opinia trenerów powinna się przede wszystkim liczyć. Chcemy to zmienić. Musimy walczyć o autorytet trenera. To nie może być tak, żeby trener ciągle był niepewny o swoje jutro, żeby klub mógł w każdej chwili wyrzucić trenera z pracy.

— Gdyby Wojciech Łazarek był w klubie i miał takie wyniki, jakie osiągnął w PZPN z drużyną reprezentacyjną, to długo utrzymałby się przy pracy?

— Wolałbym nie wypowiadać się na ten temat, ale myślę, że i w PZPN to się zmieni. Dotychczasowa praktyka była taka, że po pracy w PZPN skompromitowani trenerzy wyjeżdżali w nagrodę za granicę.

— Mamy przecież i dobrych trenerów. Nie wszyscy jadą za granicę w nagrodę za złe wyniki — jak pan to powiedział — ale wielu trenerów osiąga tam dobre rezultaty. U nas ciągle natomiast trwa trenerska karuzela... Co zrobić, aby to zmienić?

— Trenerzy muszą się zacząć szanować wzajemnie, bo jak my się nie będziemy szanowali, to i nas nie będą szanowali. Potrzebny jest akt prawny, który unormowałby stosunki trenerów z klubami. Potrzebna byłaby szkoła trenerów przy AWF, do której mogliby wstępować przede wszystkim piłkarze kończący karierę. To jest szczególnie ważne dla kształcenia młodzieży. Jej nie potrzeba aż tak dużej wiedzy teoretycznej, na to czas przyjdzie później. Młodym chłopcom potrzeba umiejętności praktycznych, a takie może im przekazać były piłkarz. Pokazać, jak się to robi.

— Nie wspomniał pan słowem o zarobkach. Główną przeszkodą, która uniemożliwia należyte trenowanie młodzieży są niskie zarobki trenerów.

— Pieniądze to osobna sprawa. Cały system organizacji polskiej piłki nożnej napędza pieniądze głównie zawodnikom. Proszę sobie wyobrazić, że różnica w tym, co ma zawodnik trzecioligowej drużyny i zawodnik pierwszoligowej drużyny jest minimalna. Bywa i tak, że kiedy chcemy wziąć do pierwszoligowej drużyny zawodnika z III ligi, a on pokaże nam pasek z zarobkami, jakie tam osiąga, to rezygnujemy z całej zabawy, ale głównie to on nie chce z nami rozmawiać. Tak być nie może,

— Dziennikarze jednak bardzo krytykują przyjętą reorganizację ligi. Posądza się więc o konserwatyzm, o partykularyzm i inne takie brzydkie rzeczy.

— Piłka nożna jest rzeczywiście sportem konserwatywnym. Na przykład w RFN w tym roku projektowano taką reorganizację, że każda drużyna rozgrywa dwa mecze z drugą: raz u siebie i za tydzień na wyjeździe rewanż. Ale to zecydowanie odrzucono.

U nas wymyślono 3 punkty za wygraną różnicą trzech bramek, natomiast za przegraną różnicą 6 bramek i więcej — punkt minusowy. Miało to przyczynić się do podniesienia poziomu gry, do jej atrakcyjności, i nie przyczyniło się. Miało to być powodem do przezwyciężenia wszelkiego zła w piłce nożnej. I też nie dało oczekiwanego rezultatu. Dało skutki wręcz odwrotne. Proszę uważnie prześledzić wyniki w następnych meczach osiągane przez te drużyny, które wygrały mecz różnicą trzech bramek. Są złe, są słabe. A zatem rezultaty poprzednie zostały osiągnięte nie na boisku.

— Czy to znaczy, że trenerzy są za zmianą tych przepisów?

— Tak. Taka jest nasza opinia. Regulamin ten powinien być zmieniony. W takim kształcie, jaki teraz obowiązuje, stał się przedmiotem różnych kantów i manipulacji.

— Można zatem wnosić, że zaczęto w PZPN liczyć się ze zdaniem trenerów.

— Byłoby to zbyt piękne. Do tej pory ignorowano nasze zdanie, nie próbowano nawet z nami konsultować wielu spraw, w których opinia trenerów powinna się przede wszystkim liczyć. Chcemy to zmienić. Musimy walczyć o autorytet trenera. To nie może być tak, żeby trener ciągle był niepewny o swoje jutro, żeby klub mógł w każdej chwili wyrzucić trenera z pracy.

— Gdyby Wojciech Łazarek był w klubie i miał takie wyniki, jakie osiągnął w PZPN z drużyną reprezentacyjną, to długo utrzymałby się przy pracy?

— Wolałbym nie wypowiadać się na ten temat, ale myślę, że i w PZPN to się zmieni. Dotychczasowa praktyka była taka, że po pracy w PZPN skompromitowani trenerzy wyjeżdżali w nagrodę za granicę.

— Mamy przecież i dobrych trenerów. Nie wszyscy jadą za granicę w nagrodę za złe wyniki — jak pan to powiedział — ale wielu trenerów osiąga tam dobre rezultaty. U nas ciągle natomiast trwa trenerska karuzela... Co zrobić, aby to zmienić?

— Trenerzy muszą się zacząć szanować wzajemnie, bo jak my się nie będziemy szanowali, to i nas nie będą szanowali. Potrzebny jest akt prawny, który unormowałby stosunki trenerów z klubami. Potrzebna byłaby szkoła trenerów przy AWF, do której mogliby wstępować przede wszystkim piłkarze kończący karierę. To jest szczególnie ważne dla kształcenia młodzieży. Jej nie potrzeba aż tak dużej wiedzy teoretycznej, na to czas przyjdzie później. Młodym chłopcom potrzeba umiejętności praktycznych, a takie może im przekazać były piłkarz. Pokazać, jak się to robi.

— Nie wspomniał pan słowem o zarobkach. Główną przeszkodą, która uniemożliwia należyte trenowanie młodzieży są niskie zarobki trenerów.

— Pieniądze to osobna sprawa. Cały system organizacji polskiej piłki nożnej napędza pieniądze głównie zawodnikom. Proszę sobie wyobrazić, że różnica w tym, co ma zawodnik trzecioligowej drużyny i zawodnik pierwszoligowej drużyny jest minimalna. Bywa i tak, że kiedy chcemy wziąć do pierwszoligowej drużyny zawodnika z III ligi, a on pokaże nam pasek z zarobkami, jakie tam osiąga, to rezygnujemy z całej zabawy, ale głównie to on nie chce z nami rozmawiać. Tak być nie może,

A teraz, co do udziału w pracach tego Komitetu Wykonawczego, to będę w nim tak długo, jak długo nie nabiorę przekonania, że to nie ma sensu, że nic z tego nie wynika, że znów zaczyna się ugniatać kit. Byłem w Komisji Ekspertów Kazimierza Górskiego. Kiedy zorientowałem się, że to strata czasu, wystąpiłem.

— W polskiej piłce nożnej w ostatnich latach zdarzyło się sporo różnych skandali. Można byłoby się spodziewać, że na zjeździe i o tym będzie mowa. Przyznam, że mnie zaskoczył wybór na prezesa PZPN Jerzego Domańskiego, który w PZPN do tej pory odpowiadał właśnie za sprawy wychowawcze.

— Delegaci wybierają prezesa, a dopiero później zarząd. Do batalii o stanowisko prezesa stanęło dwóch kandydatów: Zbigniew Jabłoński — dotychczasowy prezes i Jerzy Domański — dotychczasowy wiceprezes. Przy tym Zbigniew Jabłoński niedwuznacznie dał do zrozumienia, że jemu na wyborze nie zależy, przeciwnie. Trudno się więc dziwić, że otrzymał tylko 33 głosy, a Jerzy Domański — 133.

— Sądzi pan, że to dobra zamiana?

— Może teraz będzie mógł pokazać, co potrafi, może do tej pory tego nie mógł, był krępowany przez prezesa?

— Czy pan, jako szef Rady Trenerów był zadowolony ze sposobu trenowania reprezentacji?

— Obiecałem Wojciechowi Łazarkowi, że do grudnia 1989 roku nie będę go krytykował. Ale może powiem inaczej. Uważam, że można było do tej pory stworzyć inną reprezentację niż ta, która grała i przegrywała. A ściślej niż te reprezentacje, które grały, bo było ich kilka wersji. W reprezentacjach tych nie zawsze znajdowali miejsce ci zawodnicy, którzy akurat dobrze grali. Zdarzały się powołania do reprezentacji zawodników, którzy w klubach byli bardzo źle oceniani za złą grę, brak kondycji i tak dalej.

— A co pan sądzi o zagranicznych wojażach reprezentacji? W lipcu znów jedzie do USA.

— Rada Trenerów złożyła protest przeciw takiemu wyjazdowi. Ale są to bardzo atrakcyjne wyjazdy. Zwykle zabiera się z drużyną spora grupa działaczy. Nie sądzę zatem, aby wyjazd ten nie miał dojść do skutku. Tym bardziej, że już pozawierano umowy i podpisano kontrakty.

— A jaki był powód waszego protestu?

— Bardzo prosty. Po takim wyjeździe uczestnicy wycieczki wracają nie przygotowani do gry i spada poziom gry w drużynie. Pożytku z tego nie ma żadnego.

— Życzę panu, aby uczestnicząc w pracach Komitetu Wykonawczego Zarządu PZPN przyczynił się pan do poprawy sytuacji w polskiej piłce nożnej. Wdzięczność kibiców ma pan zapewnioną.

PS. Już po naszej rozmowie dowiedzieliśmy się, że Wojciech Łazarek złożył rezygnację. Zadałam Leszkowi Jezierskiemu jeszcze jedno pytanie:

— Czy jeśli otrzyma propozycję przyjęcia schedy po Łazarku zgodzi się?

— Na ten temat już się wypowiedziałem w katowickim „Sporcie" i w radio. Jeśli taką propozycję otrzymam, nie odmówię.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

ze str. 1

— Ile można grać w karty i rozwiązywać krzyżówki, jak często można zaglądać na metę? Była tam, na Tramwajowej, jedna starsza pani. Jezus, jak ona nas wyzywała! Od nierobów najgorszych!

Kiedy już stanowczo dość mieli bezczynności, wysyłali do biura **Brygadzistę**, aby przypomniał, że oni tu siedzą i czekają na jakieś zajęcie. **Brygadzista** obracał tak kilka razy, ale bez wyraźnego skutku.

— Powracałem do brygady w coraz gorszym nastroju — krzywi się teraz na samo wspomnienie. — **Tłumaczyli, że wkrótce się poprawi. No więc, czekaliśmy...**

Czekając, wkurzali się coraz bardziej. Zniknął gdzieś dawny zapał. Na państwowym można było chociaż rąbnąć coś z budowy. A tu, niby prywatna firma, a płacą wciąż tyle samo. Już dawno zostali w tyle, po tych ostatnich strajkach. Zarobki 80—100 tys. zł w spółce, to istny śmiech! A gdzie ubrania robocze, gdzie świadczenia socjalne, gdzie są środki czystości? I czy to jest w porządku, żeby sami musieli ściągać inspektora nadzoru,

Gdzie jest Prezes?

jakby to oni byli w firmie od rządzenia?

Sami się teraz sobie dziwią, że wytrzymali tak długo. Ciągle jeszcze ździebko wierzyli **Dyrektorowi**, że w końcu się poprawi. Przestali w to wierzyć dopiero 19 maja 1989 r., gdy przyszli po wypłatę, a wypłaty nie było. A na dodatek, **nie było także Prezesa...**

2.

Zaopatrzeniowiec jest zdania, że podjęto zbyt szeroki front robót, nie na dzisiejsze możliwości zaopatrzeniowe. Przypuszcza, że firma od początku jechała na zaliczkach. Nie może tego powiedzieć na pewno, ale tak wywnioskował z rozmów, jakie posłyszał. Miał do słuchania sporo okazji, wożąc **Prezesa** własnym, wydzierżawionym firmie samochodem. Powiada, że zakład krawiecki w **Koluszkach** i **„Texapol"** tworzyły właściwie jedność. Gdy jedno było w biedzie — zasilało interes drugie. Ostatnio — zauważył — to zakład pracował na spółkę, a nie odwrotnie.

Dyrektor utrzymuje, że przez pierwsze miesiące, od stycznia do marca, firmie szło naprawdę wyśmienicie. Ale już pod koniec tego okresu przypomina sobie, że zaczął **Prezesa podejrzewać.** O co? Woli tego nie precyzować. To są przecież interesy. Dość, że zaczął być o **Prezesa** niepewny. Obserwował go odtąd uważnie, ale cóż mógł poradzić, skoro nie miał dostępu do konta? Było ono, niestety, zastrzeżone wyłącznie do dyspozycji **Prezesa.** Wobec powyższego, nie orientował się w pełni o stanie finansów. Przeczuwał tylko, że nie jest zbyt dobrze. Ale — mówi — starał się robić dobrą minę, bo cóż mógł robić innego?

Nie mógł też nic poradzić na to, że w kwietniu 1989 r. **Prezes** przerejestrował swój zakład krawiecki na żonę. Powinno go to jednak poważnie zaniepokoić, bowiem — jak sam przyznaje — w tymże kwietniu dopłacił do pensji pracowników blisko 5 mln zł z własnej kieszeni. Dlaczego to zrobił?

— Może byłem za naiwny, a może za uczciwy — odpowiada zagadkowo.

W każdym razie, w kwietniu nawet dla **Dyrektora** było w pełni jasne, że **„Texapol"** znalazł się w opałach. Najjaśniejsze było to zapewne dla samego **Prezesa.** W przeddzień następnej wypłaty, w czwartkowy poranek 18 maja 1989 r. zadzwonił on do biura powiadamiając, iż nazajutrz na pewno dostarczy pieniądze. **Czekali na niego do 17.30 w piątek.** Można sobie wyobrazić, co myśleli pracownicy **„Texapolu"**, gdy odchodzili z biura, nie otrzymawszy pensji.

— Ja także nie wziąłem pensji — zaznacza **Dyrektor.**

Trzeba przyznać, że **Dyrektor** potrafił się odnaleźć w nowej sytuacji. Zamiast pójść w ślady **Prezesa,** postanowił trwać na posterunku. Pierwsze, co zarządził, to **pościg za Prezesem.** Błyskawicznie sformowano kilkuosobową ekipę poszukiwawczą, dysponującą 20 tys. zł na utrzymanie i koszty podróży (!), oraz dużym fiatem i dyrektorskim błogosławieństwem. Wyruszyli w kierunku **Katowic,** gdzie **Prezes** miał licznych znajomych, dokąd jeździł za interesami. W mieście udało im się dostrzec prezesowego „Golfa" w kolorze czerwonym — niestety, już z innym kierowcą. Jeździli za nim po ulicach **Katowic,** spodziewając się, iż doprowadzi ich w końcu do poprzedniego właściciela. Były to płonne nadzieje. **Prezes znikł jak kamfora.**

Wpadli więc na fortel: jeden z nich, udając przyjaciela-handlowca, zadzwonił z **Katowic** do żony **Prezesa** w **Łodzi.** Zapytał się niewinnym głosem, gdzie też **Prezes** może się podziewać? Usłyszał, że pewnie w **Berlinie Zachodnim.** Czy wróci do domu? Całkiem możliwe, że wróci — usłyszał w odpowiedzi.

Przyjechali tedy szybko **do Łodzi,** spodziewając się ujrzeć **Prezesa** w domowym zaciszu. I znów — pudło. Na nic zdały się kilkakrotne zasadzki, na nic obserwacja domu i dyżury w cieniu wieżowca. W desperacji zaczęli się nawet wdrapywać na drzewo, rosnące naprzeciw prezesowego okna, aby zajrzeć do wnętrza mieszkania na drugim piętrze. Po kilku dniach tych podchodów stało się dla nich jasne, że **Prezes** dobrze sobie wszystko przemyślał, zanim zniknął. Był to wniosek tym smutniejszy, że wyszło już na jaw, iż **Prezes zniknął z pokaźną kwotą ponad dwudziestu milionów złotych,** które były ostatnią rezerwą finansową **„Texapolu".** Wszystkim, nie wyłączając **Dyrektora,** zrobiło się mocno nieprzyjemnie.

Wzburzenie osiągnęło swój zenit we wtorek, 23 maja 1989 r. Tego dnia wtargnęła do biura przy **ul. A. Struga 45** kilkudziesięcioosobowa grupa robotników, ostro domagających się zapłaty. Niektórzy byli po wódce. Nadwerężyli trochę drzwi wejściowe, zrzucili tabliczkę z nazwą firmy. Krzyczeli, że rozpoczną okupację biura, dopóki nie dostaną do ręki swoich pieniędzy. Zaczęli ją nawet, dopóki któryś nie przyszedł po rozum do głowy:

— Słuchajcie, nie jesteśmy „Marchlewskim". Możemy sobie w biurze posiedzieć, i okupować, ile nam się podoba. Pies z kulawą nogą tutaj nie zajrzy. Kogo obchodzi prywatna spółka?!

Rozeszli się więc do domów, aby nazajutrz od nowa pilnować biura. Minęło tak kilka dni, zanim uznali, że jest to zwykła strata czasu. Od tej pory zjawiają się w biurze jedynie wtedy, gdy przypada kolejny, wciąż przez **Dyrektora** przesuwany, „ostateczny" termin wypłaty.

Na razie otrzymali po 20 tys. zł — coś w rodzaju prywatnej zapomogi od **Dyrektora.**

A robotę oczywiście porzucili, jak tylko zabrakło pensji.

3.

Z 18-osobowej brygady, która pracowała przy ul. Tramwajowej, zostało w firmie tylko trzech. Pozostali — odeszli. Z ponad 70-osobowej załogi **„Texapolu"**, jeszcze trzydziestu nie wycofało papierów. Wbrew pozorom, do awantur dochodzi sporadycznie. Wszyscy rozumieją, że jedyną szansą na odzyskanie pieniędzy jest taką możliwość, że **Dyrektor** zdobędzie nowe fundusze. Nie jest to łatwe, bowiem firma jest zadłużona na 34 miliony w **śródmiejskim PGM.** Szefowie **PGM** zapowiedzieli, że nie udzielą nowej pożyczki, dopóki nie zakończą się prace w jednej przynajmniej z rozgrzebanych przez „Texapol" kamienic. Domagają się także, aby spółka rozliczyła się wreszcie z udzielonych dotychczas zaliczek.

Najbardziej zaawansowane były roboty przy ul. Tramwajowej. **Dyrektor** usilnie więc nalega, by robotnicy, nie bacząc na pieniądze, doprowadzili je do końca. Firma otrzyma wtedy zapłatę, co pozwoli na spłatę długów, no i zostanie trochę funduszy na zaległą pensję. Robotnicy nie chcą się na to zgodzić:

— Mamy tak dalej robić za darmo?!

Czekają więc nadal licząc, że **Dyrektor,** znany ze swoich „układów", coś jednak wykombinuje.

„Texapol" boryka się wszakże nie tylko z finansami. Na ostrzu noża stanęła sprawa nowego kierownictwa. Nie można było dopuścić, aby **Prezes,** znienacka na przykład wróciwszy, mógł piastować swe prezesostwo, jakby nic się nie stało. Nabroił już dostatecznie, w tej materii zgodni są wszyscy.

22 maja 1989 r. doszło do **Zgromadzenia Wspólników,** w osobach **Dyrektora** i nowo przyjętego **Głównego Księgowego,** którzy postanowili — wobec niewątpliwej ucieczki dotychczasowego **Prezesa** — odwołać go natychmiast ze stanowiska, powołując nowy **Zarząd Spółki,** składający się z **Prezesa i Wiceprezesa.** Zaszczytne te stanowiska objęli... **Dyrektor** i **Główny Księgowy.**

Pozostaje zagadką, w jaki sposób zostali oni udziałowcami **„Texapolu"**, choć jak dotąd jedynym udziałowcem był „uciekinier". **Główny Księgowy** nie widzi w tym żadnego problemu:

— To się wkrótce załatwi — zapewnia.

Popiera go **Dyrektor,** a raczej już **Nowy Prezes,** podziwiając **Głównego Księgowego** za biegłość w Kodeksie Handlowym.

Nowy Prezes obiecuje, że poprowadzi firmę ku sanacji. Stworzy się szeroki front robót, będą nowe zamówienia, znajdą się materiały. A pracownicy? Jeśli nawet odejdą ci starzy, szybko znajdą się nowi:

— Da się ogłoszenie, będzie po kłopocie — mówi. **— Ludzie zawsze się znajdą.**

Elektryk przysięga, że jeśli w prasie pojawi się ogłoszenie o naborze do **„Texapolu"**, osobiście usiądzie na stołku przed wejściem do biura, uprzedzając każdego chętnego o ryzyku.

Brygadzista patrzy na sprawę szerzej.

— Na Zachodzie — mówi — **jest „sociale". A co jest u nas dla takich, jak my? Kogo zainteresuje nasz los? Mamy się sądzić z Prezesem w Sądzie? Z powództwa cywilnego? Strata czasu! Jesteśmy pierwsi** — zauważa pesymistycznie — **takich przypadków będzie niedługo więcej. Ludzi trzeba ostrzec, żeby nie szli jak te barany do każdej prywatnej spółki!**

Dla nowego kierownictwa ważne jest teraz, żeby nie przeszkadzali dziennikarze, tak jak to zrobił niedawno pewien żurnalista z „Expressu Ilustrowanego". Opisał ich jakoś tak nieprzychylnie, jakby z pozycji prześmiewcy. Oburzyło to szczególnie **Nowego Wiceprezesa:**

— To był artykuł z punktu widzenia robotnika. Z punktu widzenia żaby, a nie z punktu widzenia orła.

Dyrektor żachnął się słysząc te słowa:

— Jestem z robotnikami — podkreślił mocnym głosem. — **Niech pan to zaznaczy!**

PS. Trzech pracowników, pozostałych z brygady zatrudnionej przy ul. Tramwajowej, zdecydowało się w piątek, 2 czerwca przystąpić do pracy. Być może jest to początek sanacji **„Texapolu"...**

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

ŁASK: Śmierć zjawiła się dwa razy.

Idę się zabić!

EUGENIUSZ IWANICKI

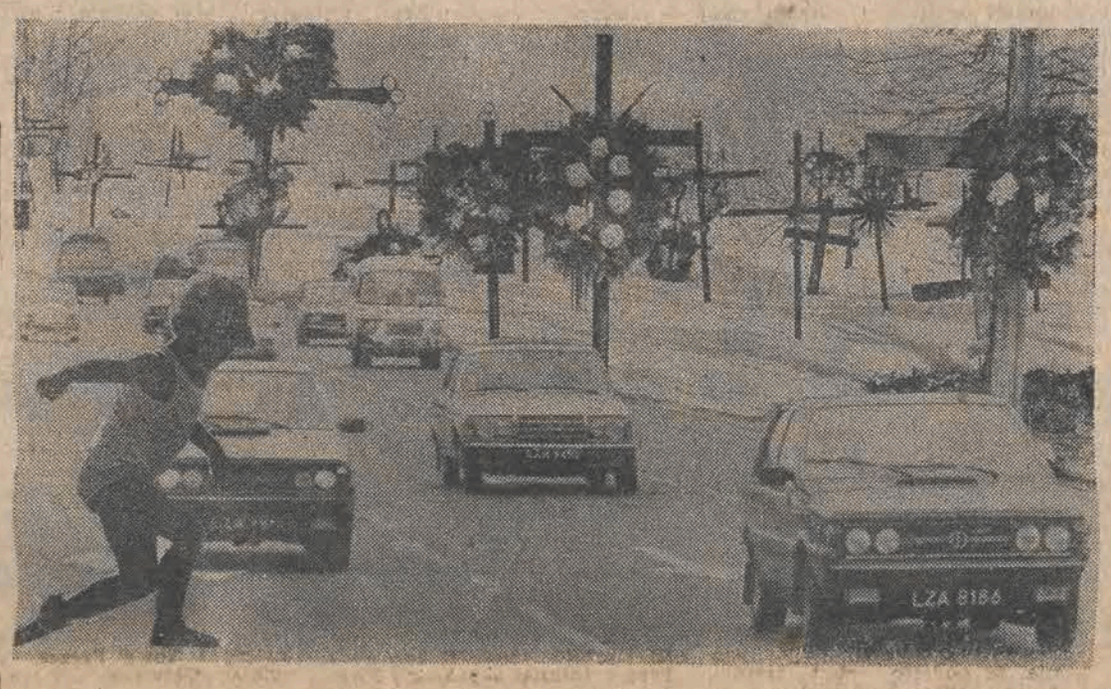

Collage: Grzegorz Gałasiński

29 maja 1989 r., godz. 5.10 rano.

Z bazy PKS w **Łasku** wyjechał „Autosan" nr rejestracyjny SIL 842 A, by jak co dzień pełnić powinności przewoźnika. Za kierownicą zasiadł Roman K., młody dwudziestoczteroletni mężczyzna. Nie pierwszy raz wyjeżdżał o tej porze. Podczas swojej zmiany miał wykonać 9 kursów pomiędzy Łaskiem a odległymi miejscowościami województw piotrkowskiego i sieradzkiego. Przywoził i odwoził podróżnych z dworca autobusowego (ten dworzec, to grzecznościowe określenie placyku u zbiegu ulic Zielonej i Objazdowej, gdzie zatrzymują się autobusy). Pierwszy kurs Roman K. odbył na trasie **Łask—Zelów**, a ostatni na trasie **Przyrownica — Łask** o godzinie 12.40.

Tego dnia Roman K. czuł się dobrze, nawet można powiedzieć świetnie. Zresztą zawsze czuł się dobrze za kierownicą, chętnie przychodził do pracy. Był lubiany przez kolegów i ceniony przez przełożonych za solidność i zdyscyplinowanie. Nie było też dla nikogo tajemnicą, że dziewczyny za nim „szalały". Przystojny, wesoły, pracowity — oto cechy, które jednały mu płeć piękną, oraz tych, z którymi łączyły go więzy towarzyskie czy służbowe.

Jest co prawda w życiorysie Romana K. moment nie tyle niejasny, co skomplikowany. W aktach prokuratorskich napisano, że „kawaler, ma jedno dziecko lat 5". Otóż jeszcze przed pójściem do wojska Roman K. poznał dziewczynę, a skutkiem tego poznania jest pięcioletni synek. Po ukończeniu służby do małżeństwa jednak nie doszło, ale Roman K. nigdy o swoim synu nie zapomniał ani się go nie wyparł. Teraz, po tych pięciu latach, postanowił założyć rodzinę. Od roku „chodził" z Jolantą S., z którą w październiku 1989 roku miel' wziąć ślub.

Wszystko układało się dobrze i zapowiadało się długie szczęśliwe życie.

29 maja 1989 r., godziny przedpołudniowe.

Do jednej z mieszkanek **Łasku** przyjechała w odwiedziny córka z **Tych** z małym 17-miesięcznym, synkiem Marcinem. Uszczęśliwiona babcia ubrała malucha i poszła z nim nie tyle może by dokonać sprawunków, co pochwalić się udanym wnuczkiem. Przed godziną 13.00 dotarli do sklepu tekstylnego mieszczącego się **przy ulicy Stefana Żeromskiego**, naprzeciwko urzędu pocztowego. Sklep znajduje się jakieś 30-40 metrów od skrzyżowania z ulicą Marii Konopnickiej oraz od placu 15 Grudnia, od którego bierze swój początek ul. Żeromskiego. Jest to wyjątkowo ruchliwa ulica, o wąskich chodnikach i wysokich krawężnikach.

Babcia weszła z wnuczkiem do sklepu, gdzie już było kilka kobiet. I jak to kobiety, zanim cokolwiek kupią, lubią pooglądać towar, wymienić na jego temat kilka uwag, albo w ogóle porozmawiać. W mieście takim jak Łask, z zasady wszyscy wszystkich znają, czasem łączy ludzi przyjaźń, nieraz pokrewieństwo.

Babcia zaczęła rozmowę ze sprzedawczynią a mały Marcin tuptał sobie obok. I nikt nie zauważył, kiedy odszedł, kiedy pokonał parę stopni wiodących ze sklepu na chodnik i kiedy wszedł na jezdnię.

29 maja 1989 r., godz. 13.10 a może 13.20.

Roman K. po powrocie z kursu **Przyrownica-Łask** o godzinie 12.40 miał następny, ósmy tego dnia, a więc przedostatni, o godzinie 13.30 **do Poddębic.** Nie śpieszył się, miał czas. Ruszył z placu 15 Grudnia, wjechał w ulicę Stefana Żeromskiego. I wtedy stało się: **mały Marcin zszedł z chodnika, a może stoczył się wprost pod „Autosan". Na hamowanie było za późno.**

Śmierć zjawiła się po raz pierwszy.

Kobiety wypadły ze sklepu. Powstało zamieszanie. Roman K. wysiadł z samochodu, ale chyba nie zdawał sobie sprawy co się wokół dzieje. Stał oparty o samochód i patrzył na dziecko, które babcia schwyciła na ręce. Jeszcze żyło.

Przejeżdżający tamtędy, znany w Łasku, **Roman Stapf** pośpieszył z pomocą i odwiózł Marcina do szpitala.

Było jednak za późno.

Oto co zeznała narzeczona Romana K. Jolanta S. Właśnie wracała ze szkoły (maturzystka LO), kiedy ujrzała samochód i swojego narzeczonego stojącego obok. Z przerażeniem dowiedziała się, że miał wypadek. Już na miejscu była ekipa dochodzeniowa, był prokurator. Z pierwszych ustaleń wynikało, że kierowca „Autosanu" nie ponosi żadnej winy, gdyż dziecko samo nagle wypadło z chodnika pod koła. Lecz Roman K. jakby tego nie przyjmował do wiadomości, jakby był nieobecny, aż nagle powiedział do Jolanty:

— Jeśli sobie dziś nic nie zrobię, to będzie cud.

29 maja 1989 r., godzina 14

Na miejsce wypadku przybywa kierownik placówki PKS **w Łasku.** Rozmawia z Romanem K. Odnosi wrażenie, że kierowca jest spokojny. Milicjanci zabierają go do przychodni na pobranie krwi, a samochód — już inny kierowca — zostaje odstawiony na szczegółowe badanie **do RUSW w Łasku.**

Wydawać by się mogło, że dramat się zakończył, że teraz zacznie się rozkręcać machina dochodzeniowo-śledcza.

29 maja 1989 r., godzina 16.50.

O tej godzinie przed bazą **PKS w Łasku** pojawił się „Autosan" nr rejestracyjny SIL 842 A kierowany przez Romana K. Wjeżdża za bramę, zwraca dyspozytorowi wypełnioną „kartę drogową", na której napisał, że samochód w stanie dobrym, sprawny technicznie, odstawił o godzinie 16.50.

Tu pojawiają się pierwsze pytania, na które nie znam odpowiedzi. **Po pierwsze:** kto oddał samochód Romanowi K.? **Po drugie:** czyżby badający go lekarz niczego nie stwierdził, nawet zdenerwowania? **Po trzecie:** czy Roman K. tego samego dnia, kilka godzin po tak straszliwym wypadku, był w stanie zasiąść za kierownicą?

Roman K. z bazy PKS poszedł do domu. Milczał. Do nikogo nie odzywał się, a przecież nigdy tak nie było. W domu, prócz niego wspólnie zamieszkiwały dwie siostry, Małgorzata i Dorota, brat Stanisław, matka i babcia. Roman K. od razu położył się spać, a brat musiał iść spać do stodoły na siano.

30 maja 1989 r., godzina 10 rano.

O świcie domownicy wyszli z domu: jedni do pracy, inni do szkoły. W kuchni pozostała 87-letnia niewidoma i nie poruszająca się babcia.

Roman K. wstał i wyszedł na podwórze. Podchodzi do psa wilka, swojego ulubieńca, którego wychował od szczeniaka. Gładzi psa po głowie, całuje, a potem podcina sobie żyły na nadgarstkach obu rąk. Nie chce żyć. Majaki dnia wczorajszego ani na chwilę nie opuszczają jego rozognionej wyobraźni.

Wycie psa. Wycie przeraźliwe, przeciągłe. Ktoś dostrzega Romana K., ktoś inny wzywa pogotowie, jeszcze ktoś inny zawiadamia matkę.

Lekarz podaje (zapewne uczynił to sanitariusz) zastrzyk i robi opatrunek na obu nadgarstkach.

— Teraz będzie spać — mówi do matki.

Roman K. istotnie kładzie się.

— Mamo idź do roboty, idź.

Matka, widząc, że zasypia, wyszła.

Kiedy z nią rozmawiałem, ciągle powtarzała:

— Po co go posłuchałam, po co? Gdybym nie poszła, została, wszystko byłoby inaczej. A tak...

W tym **„A tak"** jest zawarty cały matczyny ból i cała jej rozpacz. Nie, już nie płacze, bo ten ból w niej skamieniał i ją otępił.

30 maja 1989 r., godzina 12.

Śmierć zjawia się po raz drugi.

Roman K. nie może spać. Rzuca się, wstaje, ponownie się kładzie. W końcu zrywa się i wychodzi. Niewidoma babcia, słysząc kroki, pyta:

— Romciu, to ty? Gdzie idziesz?

— Idę się zabić — odpowiada i wychodzi.

Na podwórzu pies skacze i wyje, jakby w przeczuciu nadciągającej tragedii. Roman K. wchodzi do stodoły. Jest ona mała, stoją w niej jakieś stare szafki kuchenne, sieczkarnia. Roman K. bierze postronek i przerzuca go przez belkę.

Wróciła do domu, siostra Małgorzata i nie znalazła brata. Tknięta złym przeczuciem weszła do stodoły. Roman K. wisiał na postronku. Dziewczyna z krzykiem wyskoczyła na podwórze, potem wpadła do kuchni po nóż. Zaalarmowani sąsiedzi rzucili się chcąc zdjąć wiszącego, a siostra usiłowała nożem przeciąć postronek. Nadaremnie. Wewnątrz postronka była wpleciona metalowa linka. Sąsiedzi nadal unosili ku górze wiszącego, a ona z Jolantą P. starały się rozluźnić pętlę na szyi. W końcu się udało. Gdy Romana K. położono na ziemi, jeszcze żył, na szyi można było wyczuć tętno, charczał. Zaczęto więc masować serce i robić sztuczne oddychanie, wezwano karetkę pogotowia. Lekarz nie miał już jednak nic do roboty, stwierdził zgon.

Rodzą się kolejne pytania, na które nie mam odpowiedzi. Czy służba zdrowia dopełniła swoich obowiązków w momencie, gdy Roman K. podciął sobie żyły? Czy taki człowiek nie wymaga specjalnej opieki? Może nawet hospitalizacji i obserwacji psychiatrycznej? Tylko kto mi udzieli odpowiedzi? Gdyby w tej sprawie chciał zabrać głos Wojewódzki Specjalista Psychiatrii w Warcie dr **Kazimierz Tomaszewski** byłoby to znakomitym uzupełnieniem opisywanego tu zdarzenia.

6 czerwca 1989 r.

Jeżdżę po Łasku, przemierzam trasę, którą ostatni raz jechał Roman K. Odwiedzam sklep tekstylny, rozmawiam z prokuratorem rejonowym **Markiem Ruszkowskim,** z kierownikiem placówki PKS **Stanisławem Pastusiakiem,** potem jadę do **Orchowa,** do domu nr 123, gdzie żył i gdzie odebrał sobie życie Roman K. W protokole sporządzonym przez funkcjonariusza MO zostało napisane, że droga wiodąca przez Orchów jest „gruntowa, twarda". Uwierzyłem, choć pamiętam tę wieś sprzed ćwierć wieku, a nawet wcześniej i zawsze przejechać przez nią było sztuką nie lada, a podczas roztopów ludzie gubili buty w błocie. Niestety, od tamtego czasu nic się nie zmieniło, tylko dziury i doły w tej „drodze przez wieś" jakby się pogłębiły. Polecam ją tym wszystkim, którzy wybierają się na rajd „Safari" — tu mogą szlifować formę.

Budynek nr 123 jest murowany, otynkowany, solidny. Obejście także sprawie wrażenie wielkiej dbałości. Zastaję babcię, matkę i siostrę Romana K. Ubrane na czarno. Pokazują mi fotografie: tu Romek w wojsku z kolegami, tu sam (pod zdjęciem napis wykonany w wojsku, a stwierdzający, że Roman K. był „przodownikiem w oddawaniu krwi").

— Wie pan — mówi matka. **— On otynkował ten dom, kupił i sprowadził dreny na studnię, zamierzał też robić pustaki, postarał się o słupy do przeciągnięcia przewodów elektrycznych na działkę, umiał dobrze murować i znakomicie znał się na gospodarce. I był dobrym kierowcą. Mówił nieraz: wiesz, mamo, jak się ożenię, to założę uprawę warzyw, ja to potrafię, zobaczysz.**

Wychodzę na podwórze, oglądam szklarnię, koparkę do kartofli, wiejkę, ogródek przed domem. Siotra Romana K., Danuta, prowadzi mnie do stodoły.

— Tu się powiesił — mówi.

Na belce jeszcze wisi ów czarny, poskręcany sznur.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Interfashion '89

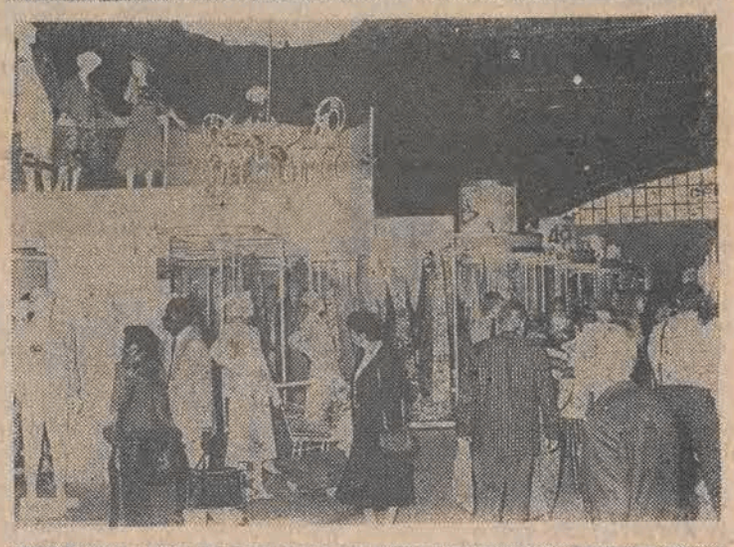

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Mowa węgla (I)

Wypoczęta pod szczyt myśl wstępuje do
wygładzonego
ciała spokoju wypełniając go. W dół
A ciemność dziwi się samej sobie
i na ożywiony rumieniec
nakłada oswojone ptaki — i zawsze już nad
ranem
kreśli w ich latach uśmiech na dotknięcie
wznoszącego się ciepła. Jasny, kryształowy
oddech
rodzi się w krwiobiegu kamienia, a w wiotkich
sennych roślinach nocy budzą się słuch i ochota.
Zniecierpliwiona ludzka postać kroczy wewnątrz
trochę szorstkiej skorupy
jakby stamtąd odejść nie chciała już. Radości
jego jeszcze
nie dość zmęczenia. I zgodne wydają się nam
sprawy
wydychane dniem
Prawdziwe zdają się być miejsca
wchłaniające suszę z wilgocią, ciszę z grzmotem.
Wolno z dna wypełnionej szczelnie tajemniczej
pustki,
wychodzi wysoko nad siebie,
z otwartej skały człowiek — znawca pracy —
wynosi głos
głębokich sztolni żądnych nowin o spełnionym
trudzie.
Jeszcze cały dymiąc ciemnością, którą był
właśnie opuścił,
pełen tchu i obrazów pojawia się zwiastun
przez poświatę pijących u swego źródła cieni,
dźwiga na wieżę ludzkiego musu swój udział
w tworzeniu świata i ciepła, i ruchu — wspólnik
Pana Boga
i otwiera niezbyt wyuczone usta, aż tyle
wykrzykując słów.

Poczta literacka

Pan Romuald P. — Sosnowiec. Trudno jest w tym małym kąciku porad literackich oceniać prozę. Niemniej jednak spróbuję to uczynić. Pańskie miniaturki narracyjne — z różnych rejonów tematycznych wyrosłe — spina, żeby użyć przenośni, dość ścisła klamra stylistyczna. A to już dużo. Utrzymać się w tonacji zapisu trochę zdystansowanego, trochę ironicznego („Piękna i bestia") nie jest rzeczą łatwą, a „klamry" takiej wymaga taki rodzaj narracji. Oczywiście można wybrać inną poetykę: wyraźną anegdotę, kompozycję zmierzającą do zaskakującego spointowania, „niezwykłości" zdarzeń oraz intrygi etc. etc. Wymienioną już wcześniej z tytułu miniaturkę oraz „Tysiąc ze śmiercią" czytałem z zainteresowaniem. Co prawda w „Odgłosach" rzadziej ostatnio drukujemy (poza powieściami z kontynuacją) prozę, ale nie jest to zasadą ostateczną i nieodwracalną. Jeśli wśród nadesłanych tekstów (a mam nadzieję, że utrzyma pan z nami kontakt), znajdzie się opowiadanie pretendujące do miana „opowiadania miesiąca" sądzę, że „Odgłosy" go nie pominą.

* * *

Nie mogę, niestety, z braku miejsca zaprezentować programu międzynarodowej grupy literacko-artystycznej której korzeni należałoby szukać w kieleckiej Galerii Sztuki Poetyckiej. Program, materiały (piękne plakaty poetyckie), wiersze swoje i **Bogumiła Tworkiewicza**, przesłała mi **Bożena Czepiec**. Pisze o tym z niejaką zazdrością, bowiem stworzenie Koła Młodych przy naszym łódzkim ZLP idzie jak po przysłowiowej grudzie. Może nasze młodoliterackie środowisko zostanie zdopingowane przez informację o działaniach kieleckich i krakowskich „kolegów po piórze". W najbliższym też czasie chciałbym pomieścić w „okienku z wierszem" teksty poetyckie p. Bożeny i pana Bogumiła.

Serdecznie pozdrawiam, gratuluję świetnych pomysłów i życzę szczęścia.

POTRZEBNE SĄ DECYZJE

Prawdzie w oczy

Dość głośną stała się ostatnio w kraju sytuacja w jakiej znalazła się — ogólnie mówiąc — kultura w Łodzi. Nic dziwnego, kilkanaście minionych lat, to lata niezbyt łaskawe dla tej sfery życia. Jedni tłumaczą ten stan rzeczy funkcjonującym hasłem-wytrychem: „Złe miasto", inni zaś skutki upatrują w wieloletniej dominacji problemów ekonomicznych nad duchowymi. Wszyscy jednak zapominają o ścisłych i wzajemnych zależnościach, bądź o tak zwyczajnych, prozaicznych zjawiskach, jak nierozumienie spraw, czy brak przezorności.

Fakt pozostaje faktem: dramatyczne warunki w jakich egzystuje wiele placówek kulturalnych nie powstały z dnia na dzień; zaś to, iż próbuje się tego nie widzieć, i nie podejmuje skutecznych starań, aby zaradzić — jest najbardziej niepokojące. Nasze dzieci ocenią, zarówno władze, jak i nas — przyglądających się temu z klapkami na oczach, bardzo surowo. Z tych też względów, jak i po to, aby nie dopuścić do powstania w centrum kraju pustyni kulturalnej, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Zacznijmy od filharmonii. Jeden z liczących się w świecie zespołów filharmonicznych nie posiada dziś własnej siedziby. Nie posiada, gdyż przez wiele lat „nie zauważono" zagrożenia budynku katastrofą budowlaną. Dziś obiekt wyłączony jest z eksploatacji, a zaradzić sytuacji mogą jedynie: przyspieszenie remontu „Lutni", w której filharmonicy znajdą tymczasową siedzibę i zabezpieczenie środków (ok. 250 mln zł!) na opracowanie założeń techniczno-ekonomicznych. Od tego bowiem zależeć będzie wprowadzenie budowy filharmonii do Centralnego Planu Inwestycyjnego i Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury. Aczkolwiek są to przedsięwzięcia wstępne, jednakże niezbędne aby w najbliższej przyszłości budowa filharmonii łódzkiej nabrała realnych szans.

W równie dramatycznej sytuacji znajdują się niektóre placówki teatralne. Teatry „Pinokio" i „77", które funkcjonują w doraźnie pozyskiwanych pomieszczeniach zastępczych, są tego wymownym przykładem. W nie lepszych warunkach egzystuje Teatr Nowy. Przeprowadzone ekspertyzy dowodzą bardzo złego stanu budynku, którego doraźne remonty nie uratują. Słuszne jest więc takie założenie — zakładając przyszłościowe rozwiązanie — iż na czas niezbędnego generalnego remontu teatr „Lutnia" stanie się kiedyś bazą zastępczą dla zespołu Teatru Nowego.

Jakkolwiek teatry Wielki i Muzyczny są w nieco lepszej sytuacji, to jednak także wymagają pomocy chociażby w zakresie rozbudowy zaplecza magazynowego, ciągów trakcyjnych itd. Tych potrzeb, z pozoru tylko mniej ważnych, władze miasta nie mogą gubić z pola widzenia. Nie mogą i nie powinny, aby nie doprowadzić do sytuacji dramatycznej, w jakiej znalazły się inne placówki, że wymienimy Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych czy Bibliotekę im. L. Waryńskiego. Wszystko na to wskazuje, że z dniem 1 lipca zagrożone katastrofą budowlaną Liceum Plastyczne zostanie zamknięte. Co dalej? Dalsza egzystencja tej zasłużonej placówki, której mury opuściło wielu wybitnych dziś ludzi sztuki, uzależniona jest od rychłego znalezienia dla niej pomieszczeń zastępczych. To, że liceum znajduje się pod kuratelą wydziału kultury i sztuki wcale nie zwalnia kuratorium z obowiązku jego wspierania, wspólnej troski o lokal zastępczy, wszak to na barkach kuratorium, bądź dzielnicowych wydziałach kultury spoczywa obowiązek dbania o szanse kształcenia się łódzkiej młodzieży.

Warunki, w jakich znalazła się dziś Biblioteka im. L. Waryńskiego — dodajmy: biblioteka o charakterze naukowym, międzyregionalnym! — znane były także nie od wczoraj. Niezdecydowanie, brak konkretnych decyzji, odwlekanie sprawy doprowadziło do tego, że — znów z powodu zagrożenia budowlanego! — została zamknięta. Pozyskanie na okres dwóch lat zastępczych pomieszczeń magazynowych, pozwalające jedynie przechowywać zbiory, bez ich udostępniania, nie rozwiązuje sprawy. Pracę biblioteki poprawić może, w jakimś stopniu, jedynie zakończenie trwającej kilkanaście już lat budowy pomieszczeń przy al. Mickiewicza, przeznaczonych na Bibliotekę Muzyczną. Niestety, roboty wloką się latami, wykonawca i inwestor zastępczy nie dotrzymują terminów, a skutki — jak wyżej. Ponoć w połowie br. (choć mamy już połowę roku!) obiekt ma być wykończony...

Przytoczone tu fakty dekapitalizacji bazy kulturalnej Łodzi odnoszą się jedynie do tych inwestycji i placówek, które znalazły się w najtrudniejszej sytuacji i co do których niezbędne są natychmiastowe i radykalne decyzje. Lecz nie sposób tu pominąć innych obiektów, będących także wizytówkami miasta, które znajdują się w równie złym stanie. Oto jeden z najstarszych obiektów przemysłowych miasta — użytkowany przez Centralne Muzeum Włókiennictwa — tzw. biała fabryka. Ekspertyza techniczna wykazała swego czasu, że część południowa obiektu grozi katastrofą budowlaną. Zgodnie więc z uchwałą Rady Narodowej, poddany niezbędnemu remontowi budynek pochłonął już kwotę 76 mln zł, w tym 42 mln z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury i 34 mln zł z nadwyżek budżetowych.

Przysłowie powiada, że cudze chwalimy nie znając i nie doceniając swego. Rzeczywiście. Aby poznać i docenić Centralne Muzeum Włókiennictwa należałoby pojechać w świat — np. do Meksyku, Laponii, tam gdzie ranga społeczna sztuki, tkactwa artystycznego jest bardzo wysoka, a nasze muzeum znajduje w ocenie czołowe miejsce w świecie. Podobnie jest z nie docenianymi na naszym gruncie muzeami — Archeologiczno-Etnograficznym, Sztuki czy Centralnym Muzeum Kinematografii. O łódzkim Muzeum Sztuki można się dowiedzieć znacznie więcej w paryskim Centrum Pompidou niż w Łodzi, tak jak o Muzeum Kinematografii — w wielu czołowych środowiskach filmowych świata. Egzystują one tymczasem w mieście i pośród ludzi, którzy traktują je jakby po macoszemu.

Warunki funkcjonowania Muzeum Archeologiczno-Etnograficznego znane są od wielu lat. One właśnie sprawiły, że w roku 1983 muzeum przejęło od zakładów „Unłontex" zabytkowy pałac Grohmanów z XIX w. na swoją przyszłą siedzibę. I słusznie. Tyle że „Uniontex", poprzez kilkudziesięcioletnią beztroską eksploatację obiektu, zdewastował go w takim stopniu, iż nowemu właścicielowi dostała się ruina. Ruiny przejęło, oczywiście, miasto. I miasto musi dziś ponosić koszty remontu. Ogromnego remontu — od więźby dachowej poprzez wymianę stropów, na podpiwniczeniu wcale nie kończąc.

Nasuwa się nieodparte pytanie: czy miasto nie powinno — na zasadzie precedensu — dochodzić od „Uniontexu" rekompensaty finansowej na drodze sądowej, skoro dobrowolnie odmówiono udziału w ponoszonych kosztach?! Takie rozstrzygnięcie może by wreszcie zmusiło innych użytkowników społecznych obiektów (społecznych, a więc niczyich, skoro można je bezkarnie dewastować!) do rzeczywistego poczucia i ponoszenia odpowiedzialności za posiadany majątek społeczny.

W podobnym, mniej więcej, stanie przejęło dawny pałac Scheiblerów przy pl. Zwycięstwa Centralne Muzeum Kinematografii. Ten obiekt wymaga remontu kapitalnego — poważnych prac budowlano-konstrukcyjnych, zaś bogaty wystrój wnętrz, skomplikowanych zabiegów konserwatorskich. To, że znalazł się obecnie pod opieką prawdziwego gospodarza — któremu roboty remontowe nie przeszkadzają w bogatej głośnej w świecie filmowym działalności ekspozycyjnej — nie powinn nikogo zwalniać z obowiązku dochodzenia od poprzednich, powojennych użytkowników roszczeń finansowych za dewastację. Remont trwa od 1986 r., wykonano już pokrycia dachowe, część ciepłociągu, prace konstrukcyjne w podziemiach. Wszystko to kosztowało miasto sporo środków, a zakończenie musi pochłonąć dalsze miliony.

Od 1976 roku trwają prace adaptacyjne w pałacu przy ul. Ogrodowej, będącym obecnie siedzibą Muzeum Historii Miasta Łodzi. Remont prowadzony jest w równie trudnych i nietypowych warunkach, przy stałym funkcjonowaniu placówki muzealnej. Do tej pory zakończono prace adaptacyjne podziemi parteru i sal na pierwszym piętrze (od strony ul. Ogrodowej). Trwają dalsze prace wykończeniowe i konserwatorskie w kolejnych salach pierwszego piętra (od strony ul. Zachodniej), które przeznaczone są na ekspozycję biograficzną cennych pamiątek, dokumentów, dzieł sztuki i nagrań po znakomitym pianiście — Arturze Rubinsteinie. Czy to przedsięwzięcie jest konieczne? Oczywiście. Przejmując darowiznę — pamiątki po wybitnym artyście, miasto przejęło na siebie nie tylko obowiązek ich zabezpieczenia, lecz i udostępnienia publiczności...

Wymienione tu przykłady nie zamykają złożonych i trudnych spraw kultury. Inne, równie trudne i kłopotliwe można by odnaleźć w domach kultury świetlicach, bibliotekach itd. Wszystkie one jednak unaoczniają jedynie w jak skomplikowanej sytuacji znajdują się łódzkie placówki upowszechniania kultury i instytucje artystyczne, że wymaga ona głębokiej troski i nieodkładania spraw na „lepsze czasy". Skutki odkładania — widzimy dziś, a przymykanie oczu na istniejący stan rzeczy doprowadzić może jedynie do nieodwracalnych następstw. A wtedy, szkody będą znacznie większe.

MARIAN ZDROJEWSKI

PESTKI DYNI

Jedni piją regularnie szklaneczkę wina, inni nie biorą do ust ani kropli alkoholu. Dla wielu źródłem ich sukcesu jest codzienna praca fizyczna, inni znów twierdzą, że dobrze im służy czas wolny i wypoczynek. Jedni są zdania, że zawdzięczają swą długowieczność spokojnemu szczęściu małżeńskiemu, inni znów chwalą niezależność i swobodę samotnego trybu życia. Wśród ludzi, którzy dożywają setki są palący i niepalący, poważni i weseli, zwolennicy mięsa i wegetarianie, wierzący i ateiści.

„Gdy się bada tryb życia i zwyczaje starych i bardzo starych mężczyzn i kobiet, nie sposób znaleźć recepty na długie życie. To, czy ktoś jest na ziemi przez cały wiek lub więcej, wydaje się wyłącznie sprawą szczęścia. Wielu jednak marzy o długowieczności. Długie życie, najlepiej bez końca, w połączeniu z wieczną młodością — oto najstarsze ze wszystkich ludzkich marzeń". (STERN — H. Güntheroth).

Ano właśnie: — w połączeniu z wieczną młodością!!! Bez niej ani rusz! Pamiętamy historię Aurory, pięknej bogini jutrzenki? Zakochana w równie pięknym Tithonosie, królewiczu trojańskim porwała go, poślubiła i wyblagała dlań u Zeusa nieśmiertelność; zapomniała o wiecznej młodości i niebawem miała w łóżku bezzębnego, siwego starucha... Nieśmiertelnego starucha! Groza.

Były nacje, które widziały w starości dobre strony: Żydzi, Chińczycy... Ale większość uważała ją za katastrofę i przekleństwo. Filozof egipski Ptahhotep (2500 r. p.n.e.) pisał: „— Oddech jest krótki, łamie w kościach, umysł jest zaćmiony, zdolność do rozkoszy — tak, z nią także koniec".

Toż samo Grecy. Satyryk. Lukian, tragik Eurypides, wielu innych...

I przez wszystkie następne wieki trwa narzekanie na starość... Poeta Paul Claudel pisze: „Osiemdziesiąt lat! nie dowidzę, nie dosłyszę, nie mam zębów, ledwie łażę, brak mi tchu. Ale najbardziej zdumiewające jest to, że człowiek koniec końców może się bez tego wszystkiego obejść".

Wcześniej Voltaire: „— Prawda, jestem trochę głuchy, nieco ślepym i trochę impotent, a do tego dochodzą jeszcze trzy lub cztery obrzydłe schorzenia. Nic jednak nie przeszkadza mi mieć nadzieję".

Właśnie! — Nadzieję! Wraz z Kolumbem płynął niejaki Juan Pomce de Leon z zamiarem odkrycia „źródła młodości", odkrył tylko Florydę...

Hans Sachs, osiemdziesięcioletni poeta i śpiewak z Norymbergi, napisał pewnego ranka roku 1548 wiersz, który zatytułował „Krynica młodości". Śniło mu się mianowicie, że znalazł się przy takim źródle, pospołu z innymi starcami i kalekami. „Rzecz jasna, nad wodą ruch panuje wielki, mnisi, księża, rycerze i pachołki, mieszczanie, chłopi i rzemieślnicy gramolą się do źródła o kulach lub są tam dowożeni na wózkach. Widząc, jak dawniej niedołężni starcy wyskakują z wody sprężyści i młodzi, zanurzam się sam i budzę się, by stwierdzić, że nie ma na Ziemi środka, który mógłby uczynić mnie młodym". Poeta budzi się nie dosyć, że stary, to jeszcze... mokry. Biedny Hans miał na dodatek chory pęcherz i moczył się w nocy.

Mityczna Aurora poiła swego starzejącego się małżonka ambrozją...

Od niepamiętnych czasów ludzie szukali i szukają nadal „eliksirów młodości", źródeł „cudownej wody", sposobów...

Przypuśćmy, że im się kiedyś uda ten numer z długowiecznością i młodością. Tylko gdzie będą żyć? Bo Ziemia będzie przypominać zapewne owego księcia Trojańskiego, Tithonosa; będzie stara, chora i brzydka...

Albo nie będzie jej wcale.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

„ZAWSZE WYBIERAŁAM..."

„Cóż... najprawdopodobniej zobaczył mnie w teatrze i, jak to się mawia, zagiął na mnie parol. Poznaliśmy się zaś u znajomych. Nawet jednak związek z premierem w niczym nie umniejszył mojej miłości do teatru — mówi **Nina Andrycz** w rozmowie z **Tomaszem J. Musiałem** z tyg. **„Wprost"**. — Jeżeli stawałam przed alternatywą: grać albo uczestniczyć w jakimś oficjalnym przyjęciu, zawsze wybierałam to pierwsze. Oczywiście, mąż nie zawsze był z tego powodu najszczęśliwszy. Pamiętam jak przebywając kiedyś z premierem w Chinach, dostałam depeszę od dyrektora Szyfmana: „Proszę wracać, na dublerkę ludzie nie chodzą". Sprawiło mi to tak wielką satysfakcję, że przestały się nawet liczyć wszystkie prezenty, jakie dostałam od Mao Tse-tunga: kilka bel atłasu i etola. Nikt z otoczenia nie potrafił tego zrozumieć".

Na pytanie: Czy aktorstwo pomagało w obowiązkach pani premierowej, Nina Andrycz mówi: „Na pewno tak. Takie cechy jak umiejętność koncentracji, dobra dykcja, umiejętność konwersacji na najróżniejsze tematy, na pewno pomagały w rozmowach z głowami państw i szefami rządów..." A cienie z okresu tego małżeństwa? — „Odwiedzał mnie pewien funkcjonariusz — odpowiada Nina Andrycz — i wciąż namawiał, bym wstąpiła do partii. Za każdym razem odmawiałam, więc używał najróżniejszych argumentów, a gdy one nie skutkowały, mówił: „Niech pani pomoże swojemu mężowi i jednak zapisze się, bo to przecież nawet nie wypada, by żona premiera była bezpartyjna". Odpowiadałam wtedy, że swojemu mężowi pomagam inaczej, a do partii i tak się nie zapiszę..."

DATA ŚMIERCI POETY

Pisaliśmy niedawno na tym miejscu o czynionych w Związku Radzieckim staraniach ustalenia przyczyn śmierci dwóch najwybitniejszych poetów — Majakowskiego i Jesienina. Szczegóły dotyczące śmierci innego poety — **Osipa Mandelsztama**, ujawnił niedawno **Paweł Nerler**, sekretarz specjalnej komisji do spraw spuścizny literackiej Mandelsztama, działającej przy ZG Związku Pisarzy Radzieckich. Opublikowano je w **„Litieraturnoj Gazietie"** w oparciu o dokumenty sprawy aresztanta więzienia na Butyrkach" z 3 maja 1938 r., z których wynika, że Osip Mandelsztam został przyjęty do szpitala w łagrze 26 grudnia 1938 roku, a zmarł nazajutrz po przyjęciu o godz. 12.30. Przyczyną śmierci były paraliż serca i arteriioskleroza. Akt zgonu podpisał lekarz Kriesanow i nieznany z nazwiska felczer.

ALBERTO MORAVIA O...

„Napisałem właśnie krótki esej o **„Szatańskich wersetach"**. Iran znam nieźle i niestety stwierdzam, że jest to kraj fanatyków. Odnoszę wrażenie, że Rushdie jest anglofilem, który chciał zrzucić z siebie hinduskie dziedzictwo, a w dziedzictwie hinduskim mieści się, niestety, również dziedzictwo islamskie. Zadałem sobie pytanie: czy potrafiłbym napisać powieść, w której wykpiwałbym Chrystusa i Matkę Boską? Nie, wydawałoby mi się to całkiem bezsensowne. Nie jestem wierzący, ale podziwiam postać Chrystusa, to wszystko. Stawiam taką tezę: Rushdie jest wierzący tak samo, jak wierzący był Scorsese, gdy kręcił **„Ostatnie kuszenie Chrystusa"**. Myślę, że Rushdie jest artystą, który czuł potrzebę wyzwolenia się z islamu. Nie sądzę natomiast, by chciał umyślnie bluźnić. Ale jego postawa ma wiele wspólnego z anglomanią. Naipaul natomiast to prawdziwy Anglik. Objechał wzdłuż i wszerz kraje muzułmańskie i pokpiwał z muzułmanów, ale nie z islamu, co było bardzo mądre. Rushdie to człowiek, który marzy, by móc powiedzieć: „Britannicus civis sum". Dramat asymilacji obrócił się w tragedię. Rushdie zrobił coś bardzo niebezpiecznego... Nie mogę go potępiać. To pytanie mnie nie dotyczy o tyle, że najwyższą wartością jest dla mnie literatura. Po prostu stwierdzam, że źle się stało, że weszła ona w drogę islamowi... Jestem jednym z wielu pisarzy, takim samym jak inni. Wydaje mi się, że we Włoszech literatura nie odgrywa żadnej roli, podobnie jak w Wielkiej Brytanii czy w USA. We Francji natomiast wszystko przechodzi przez literaturę. We Włoszech artysta jest elementem dekoracyjnym społeczeństwa. Pociągało to za sobą dwojaki skutek: w epoce dyktatur pisarzom się nie dokucza, bo pisarz się nie liczy. Ja miałem przykrości w o-

X ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE

Z zamorskich krajów

Z Izraelem wymiana artystyczna ostatnio ożywiła się, gościliśmy już zespół baletowy, bardzo sprawny, ale ukierunkowany raczej na zaspokajanie potrzeb masowego widza. Piszę o tym, bo i goszczący u nas obecnie **Batsheva Dance Company** nie tylko nie uprawia klasyki, ale również nie przywiózł tzw. klasyki współczesności.

Pierwszy utwór programu (powtarzanego w całości na następny wieczór), zdawał się na początku również oscylować wokół popularnej rozrywki, wkrótce jednak okazało się, że w każdej z kolejnych odsłon tego niewielkiego baletu (sygnowanego, przypadkowymi podobno, literami alfabetu), atmosfera poczęła nasycać się coraz silniejszym napięciem emocjonalnym. Tak więc po motorycznym i dynamicznym tańcu utrzymanym w młodzieńczo-beztroskim nastroju, pojawiły się sceny liryczne, coraz silniej naznaczone erotyzmem, a rozbłyskujące w ciemnościach światła ukazywały coraz to nowe pary miłosne w obramowaniu oszklonych prostokątów ni to okien, ni to drzwi. W dalszej scenie ukazują się już ludzkie wraki, rozgrywa się dramat osamotnionej jednostki i przyznam się, że nie mogłem się oprzeć skojarzeniu z napisami, którymi Witkacy oznaczał niektóre swoje płótna.

Po tym utworze pełnym dla mnie niepokojących znaczeń, dwa następne wprost prowokowały do doszukiwania się jeśli nie pewnych treści, to przynajmniej metaforycznie przekazanej idei. Ale jednak w **„Tabula rasa"** nie dopatrzyłem się odwołań do ludzkiego indywiduum, jako „czystej karty", na której stopniowo zapisują się życiowe wydarzenia. Podobnie **„Psycho killer"** nie przekazał, według mnie, żadnych złowrogich działań ludzkich, choć był to utwór o wyjątkowo silnym napięciu emocjonalnym, z wyraźnymi elementami tematu tańca, w którym czworo tancerzy, pozostawało z sobą przez cały czas w nierozłącznym kontakcie wskutek zastosowania sprytnej kombinacji wzajemnie uzależniającej ruchy nóg tancerzy. Można by to odczytać jako karykaturę wojskowego dryfu. W obu zresztą utworach, jak i w otwierającym program wieczoru, ujawniła się świeżość choreograficznych pomysłów, jak i wielka perfekcja wykonawcza.

Największej chyba satysfakcji dostarczył widzom ostatni utwór **„Entre dos aguas"** w chor. **Roberta Northa.** Wykonanie to zostało przez publiczność oklaskiwane owacyjnie, i była w tym podziękа dla izraelskich gości za całość interesującego i świetnie odtańczonego programu.

Mimo iż o amerykańskim zespole kameralnym **Elisa Monte Dance Company** docierały do Polski raczej skąpe wieści, jego pojawieniu się towarzyszyło ogromne zainteresowanie, przeważnie młodzieżowej publiczności, a więc raczej mało obeznanej z baletem. Założycielem i głównym, a nawet wyłącznym choreografem, jest w ciągu dwudziestu pięciu lat istnienia zespołu tancerka **Elisa Monte.**

Na pierwszy ogień poszła **„Audentity"** do muz. **Klausa Schulze.** Co do mnie to dość szybko znużyła mnie swoją monotonią muzyka, co zapewne osłabiło mój odbiór działań tanecznych. Dość zbliżone wrażenia odniosłem też z obejrzenia utworu **„White dragon"** z muz. **Glenn Branca.** Stosunkowo niewiele powiększył się tu zasób grupowych układów i rozmaitość poszczególnych ruchów tancerzy.

Z większym zainteresowaniem oglądałem po przerwie **„Turtles eat bones"** z muz. **Jona Hassela.** Niepokojące odgłosy pierwotnej puszczy wywalają u tancerzy jak gdyby rytualny ceremoniał, wywodzący się zapewne z obserwacji świata zwierząt. Najbardziej jednak udanym punktem tego wieczoru był z pewnością **„Dreamtime"** z muz. **Davida van Tieghema,** silnie synkopowaną, narzucającą tancerzom wprost zawrotne tempo i wymagającą niezawodnego poczucia rytmu.

Drugi wieczór przyniósł wykonanie również czterech utworów, wliczając w to powtórkę „Dreamtime", zamiast projektowanego powtórzenia „Audentity".

W pierwszych dwóch utworach **„VII for VIII"** muz. **David van Tieghem** i **„Dextra Dei"**, muz. **Tibor Szemzo,** uwidoczniły się nowe choreograficzne pomysły, zwłaszcza w rozwiązywaniu skomplikowanych i trudnych technicznie figur tanecznych. Bezsprzecznie większy ładunek wewnętrznego skupienia i wyrazistej ekspresji zawierało **„Treading"**, w nienagannym technicznie wykonaniu **Elisy Monte** i **Jeffreya Hankinsona.** Młoda publiczność zgotowała gościom z USA spontaniczną owację.

GARŚĆ REFLEKSJI

Wydaje się bezsporne, że Łódzkie Spotkania Baletowe, zapoczątkowane w 1968 r. z inicjatywy ówczesnego kierownika baletu Teatru Wielkiego w Łodzi, **Witolda Borkowskiego,** są bardzo pożyteczną dla profesjonalistów postacią międzynarodowej konfrontacji współczesnych osiągnięć sztuki baletowej.

Dzięki spotkaniom, co oczywiste, wzbogaciło się życie kulturalne Łodzi, a przy tym dzięki tej imprezie dorobiliśmy się w naszym mieście stosunkowo licznej widowni baletowej o wyrobionym już guście i coraz większych wymaganiach. Zaczyna nam jednak, jak się obawiam, zagrażać kurczenie się owego niezbędnego dla rozwoju tej dziedziny środowiska miłośników i koneserów baletu. Impreza bowiem, niezależnie od tego, że trwa ostatnio, niepotrzebnie chyba, zbyt długo, staje się coraz mniej dostępna dla przeciętnej kieszeni, co tym razem odbiło się ujemnie na średniej frekwencji publiczności.

Trudno też bezapelacyjnie stwierdzić, w jakim stopniu to zmniejszone — oby przejściowo — zainteresowanie spotkaniami spowodowane zostało tym razem nieco niższym ich poziomem, zwłaszcza uczestniczących zespołów zagranicznych, a w jakim stopniu faktem, iż pieniądz z kieszeni tzw. pracującej inteligencji przewędrował do kieszeni środowisk, w których systemie wartości sztuki piękne nie odgrywają roli. Optymiści pocieszają się, iż w środowiskach nagle zbogaconych dojdzie do głosu kulturalny snobizm, przynajmniej w następnym pokoleniu.

Dobrą tradycją spotkań są imprezy towarzyszące — wystawy, sympozja; w tym roku polskie zespoły baletowe uczciły ciekawie i godnie rocznicę wielkiego i twórczego artysty baletu, **Wacława Niżyńskiego,** dobrze też, iż pokazano debiuty choreograficzne, które oby towarzyszyły na stałe spotkaniom, jeżeli nie uda się przywrócić ich cyklicznego festiwalu lub konkursu.

Smętnym cieniem na ogólnie średnio radosnym tle kładą się horrendalnie drogie, choć nieźle zaopatrzone, teatralne bufety, zarówno w czasie spotkań, jak i na co dzień. Czy ma dojść do tego, że nasz chudy inteligent, jeśli już od wielkiego dzwonu wysupła na bilet, nie będzie mógł sobie pozwolić na zwilżenie wyschłego od artystycznych emocji gardła jakimś nieco szlachetniejszym trunkiem niż napój firmowy?

Do zobaczenia na XI Spotkaniach, oby znakomitych i nawiedzanych przez tłumy!

JERZY KWIECIŃSKI

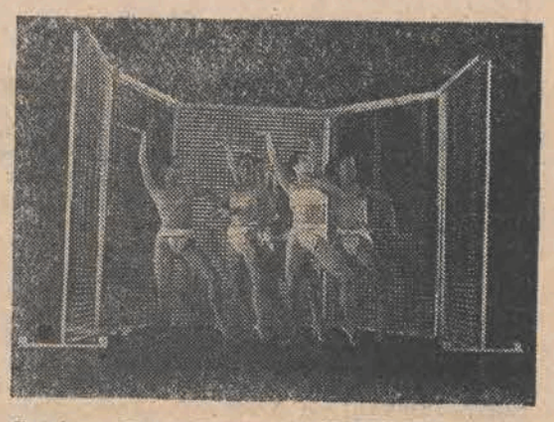

Batsheva Dance Company. „SVSPLKT".

Kronika

JUŻ PO RAZ TRZECI odbyła się doroczna impreza **„Dziennika Łódzkiego" — „Święto ulicy Piotrkowskiej".** Choć pogoda nie sprzyjała na licznych estradach odbywały się koncerty, to znów w innych zakątkach targi kolekcjonerskie oraz interesujące popisy teatrów ulicznych, m.in. z Karl-Marx-Stadt, Gdańska i Słupska.

W BELWEDERZE odbyło się uroczyste wręczenie aktów nominacyjnych. Tytuł profesora zwyczajnego otrzymali m.in. sztuki filmowej — **Mieczysław Jahoda** z łódzkiej szkoły filmowej i sztuki muzycznej — **Zbigniew Szymonowicz** z Akademii Muzycznej. Tytuły profesora nadzwyczajnego otrzymali m.in.: nauk medycznych — **Janina Szulc-Kuberska** z Akademii Medycznej, nauk przyrodniczych — **Jerzy Jankowski** — z Instytutu Medycyny Pracy oraz **Stanisław Firlej** z Akademii Muzycznej — sztuki muzycznej.

JEDNĄ Z GŁÓWNYCH NAGRÓD konkursu regionalnych towarzystw kulturalnych za 1988 rok otrzymało **Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki** — za rozbudzanie czytelnictwa, kolekcjonerstwa, aktywizację badań naukowych, oraz popularyzację historii książki, grafiki i kolekcjonerstwa.

W SALONIE SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ przy ul. Piotrkowskiej otwarto pokonkursową wystawę grafiki warsztatowej na papierze ręcznie czerpanym. Nadesłano 326 prac, z których jury pod przewodnictwem **prof. Leszka Rózgi** zakwalifikowało do ekspozycji 70 prac. I nagrodę zdobył **Wojciech Pąkowski** i II —**Ryszard Gieryszewski** (obaj z Warszawy); III nagrodę otrzymał **Witold Kaliński** (z Łodzi). Zdobywcami wyróżnień zostali: **Zbigniew Gorlak** z Sopotu, **Eugeniusz Józefowski** z Wrocławia i **Aleksy Pawluczak** z Krakowa.

W ŁODZI przebywała delegacja z Muzeum Żydowskiego we Frankfurcie (RFN), gromadząca dokumentację i zdjęcia do wystawy o getcie łódzkim, jaka ma być zorganizowana w tamtejszym muzeum.

SĄD WOJEWÓDZKI w Warszawie zarejestrował **Związek Polskich Artystów Plastyków** oraz **Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.**

W TEATRZE WIELKIM w Łodzi odbyła się premiera opery **J. Masseneta „Therese"**, którą przygotowano w koprodukcji z **Operą w Saint-Etienne.** Kierownictwo muzyczne — **Patrick Fournillier,** reżyseria — **Jean-Louis Pichon i Olivier Benezech,** dekoracje — **Alexandre Heyraud, kostiumy** zaś — **Serge-Horwath,** a przygotowanie chóru — **Lajla Zaborowska.** Spektakl przygotowany został z okazji 200 rocznicy Rewolucji Francuskiej.

KOMISJA ARTYSTYCZNA Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich, jaki odbył się w Łodzi, obejrzała 12 spektakli, spośród których postanowiła nagrodzić: **Teatr Dziecięcy „Próba"** za spektakl **„Ptaki"** w reż. **Bożeny Jeśmian, Teatr Pantomimy ŁDK** za spektakl **„Zamiast Jeźdźców Apokalipsy"** w reż. **Krzysztofa Kubiaka, Teatr Pantomimy „Eskimo"** za spektakl **„Przechodzi mur"** w reż. **Jerzego Moniaka, Studio Teatralne „Słup"** za koncepcję i realizację zdarzenia teatralnego **„Orkiestra-Nabór"** w reż. **Marcela Szyfenchelma** i **Teatr „Dziewięciosił"** za spektakl **„Posłuchaj Eddie"** w reż. **Andrzeja Czernego** i **Jarosława Grzelki.**

NA X DZIECIĘCYM FESTIWALU PIOSENKI I TAŃCA „Konin 89" główną nagrodę — **„Złoty Aplauz"** zdobył harcerski zespół **„Stonoga".** Nagrodzony spektakl to **„Przygoda w teatrze"** autorstwa **Anny i Wojciecha Gałdeckich** oraz **Iwony Mikołajczyk i Lilianny Bruszewskiej.**

50 AUTORÓW wzięło udział w ogólnopolskim konkursie literackim na debiut, zorganizowanym przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, ŁDK i Zw. Zaw. Poligrafii w Łodzi. W dziale poezji I nagrodę zdobył **Mikołaj Konczarski** z Włocławka, II — **Stanisław Mocarski** z Drewnicy, III — **Wojciech Złemka** z Trzebnicy. W dziale prozy I nagrodę otrzymał **Władysław Biszewski** z Łodzi, II — **Barbara Skutnik** ze Świętej Katarzyny zaś III — **Ewa Maria Sokół** z Łodzi.

LAUREATAMI nagród „Literatury" za rok 1988 zostali: w dziedzinie poezji — **Erwin Kruk** za książkę **„Z krainy Nod"** (PIW), w zakresie prozy — **Józef Łoziński** za powieść **„Statek na Hel"** (Wydawnictwo Dolnośląskie).

WYBITNY RADZIECKI SKRZYPEK I DYRYGENT YEHUDI MENUHIN został odznaczony w Bonn, w czasie obchodzonych tam Tygodni Braterstwa, medalem **Bubera-Rosenszweiga,** za zasługi położone na polu współpracy chrześcijańsko-żydowskiej.

W BIAŁYMSTOKU ZAREJESTROWANO ogólnopolskie stowarzyszenie pn. **„Bractwo prawosławne".** Zrzeszać ono będzie wyznawców prawosławia w naszym kraju.

Małe jest piękne

X Przegląd Dziecięcych Teatrów Animacji, DZIATWA '89, stanowił frajdę dla tych, którzy uroki dziecięcości upatrują nie w wymuszonych popisach maluchów na imieninach cioci, lub w nieszczerych okrzykach zachwytu nad „niezwykłymi" talentami i urodą zwyczajnych dzieci sąsiadów bądź znajomych. **W Domu Kultury „Na Żubardzkiej"** wystąpili prawdziwi mali artyści, a pracownicy wymienionego Domu Kultury i jego kierownik, **Czesław Pawłowski,** zapewnili Przeglądowi sympatyczną oprawę, właściwą opiekę nad dziećmi, rozmaite atrakcje, a także zgrabną i sprawną organizację. Po prostu wszystko grało.

Choć teatry są małe, a aktorzy — często — jeszcze mniejsi, muszą barować się z zupełnie dorosłymi kłopotami. Jednym z takich problemów — dotyczących ośrodków wiejskich i małomiasteczkowych, gdzie kultura dojeżdża raz w roku autobusem, lub nie dojeżdża wcale — jest oddalenie od wielkich miast. Miast — ośrodków kultury. Wyjazd z dziećmi do teatru zamienia się w prawdziwą wyprawę (100 km w jedną stronę), a że — wiadomo — pieniędzy brakuje, więc i wyprawy należą do rzadkości.

Mimo to, prawdziwą furorę zrobił teatrzyk **„Przedszkolaki"** z takiej właśnie małej miejscowości, Ożarowa Mazowieckiego (ni to wieś, ni miasto), gdzie, jak mówią instruktorzy, jedynym ośrodkiem kulturalnym jest przedszkole i działający tam teatrzyk. Prowadzony przez małżeństwo **Zofię** i **Zbigniewa Wójcików,** zaskoczył — z pewnością — wszystkich, zdobył główne i dodatkowe nagrody, dystansując teatry z dużo większych miejscowości. Państwo Wójcikowie, znając świetnie dzieci, sami piszą sztuki, komponując role dla konkretnych wykonawców. Wkładają w swą pracę wszystkie umiejętności, cały wolny czas i wiele serca. I są tego efekty. Mali, 5-, 9-letni aktorzy, najmłodsi uczestnicy Przeglądu, grali w bajce pt. **„Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło"**, po kilka różnych ról i w każdej roli byli inni. Kapitalnie wręcz zmieniali osobowości, gesty i mimikę, a nawet sposób mówienia i brzmienie głosu, nie tracąc ani trochę uroku dziecięcości. Dzieciaki fantastycznie wyczuwały cienki, inteligentny dowcip dialogów i bawiły się nie gorzej, niż zachwycona widownia, z jurorami na czele.

Szkoda, że telewizja sfilmowała fragment innego, słabego spektaklu, bo akurat w momencie przyjazdu ekipy ten się produkował, mając gotowe, wybornie grane przedstawienie, które mogło stać się rewelacją programów nie tylko dziecięcych. Wystarczyło wcześniej podnieść słuchawkę i zapytać, co i kiedy warto sfilmować. A tak, telewidownia ogląda przypadkowy fragment przypadkowego przedstawienia i wyrabia sobie mylną opinię o poziomie imprezy.

A poziom był wysoki za sprawą nie tylko „Przedszkolaków". Starsze dzieci zaprezentowały się z jak najlepszej strony. **„Mała ORFA"** ze Zgierza, **Klubowy Teatrzyk Dziecięcy** z Bychlewa, **„Szałaputki"** z DDK Łódź-Polesie i **Grupa Teatralna „Próba"** z DDK Łódź-Śródmieście — to teatry nagrodzone za smakowicie przyrządzone i dobrze wykonane bajki. Dzieci są rozśpiewane, dobrze czują się na scenie, są swobodne i dowcipne. Widać porządną pracę instruktorów i opiekunów.

Mówi się, że małe jest piękne. W odniesieniu do dzieci jest to prawda podwójna. Trudno oprzeć się nieskrępowanej niczym fantazji, naturalności i niewymuszonemu humorowi małych aktorów. A dorosłym, gdy na nich patrzą, żal, że to wszystko mają już dawno za sobą.

MAREK KOPROWSKI

Interesująca książka

„Okręg Łódzki Armii Krajowej" — taki tytuł nosi interesująca książka wydana przez **Muzeum Historii Miasta Łodzi i Towarzystwa Przyjaciół Łodzi w cyklu „Biblioteki Historycznej".** Dobrze się stało, że tak ważki temat jak zawarty w tytule książki został podjęty i udostępniony czytelnikom. Nasza wiedza o okupacyjnej przeszłości miasta ciągle jest, wbrew pozorom, skromna i niedogłębna, nierzadko bałamutna.

Jest to praca zbiorowa — pod redakcją **Marka Budziarka** — opracowana przez świadków, chciałoby się powiedzieć: głównych bohaterów tamtych wydarzeń. Wśród autorów znajdujemy **Józefa Stolarskiego** — organizatora POW, potem Związku Odwetu ZWZ, szefa dywersji i ostatniego komendanta miasta Łodzi AK. Jest też Zygmunt Janke („Walter") szef oddziału II, następnie szef sztabu Komendy Okręgu następnie zastępca komendanta i wreszcie, do wyzwolenia, komendant Okręgu Śląskiego AK. Ich autorstwa są szkice traktujące o genezie działalności konspiracyjnej na ziemi łódzkiej o komendzie Okręgu Łódzkiego SZP — ZWZ — AK, oddziale wywiadowczym sztabu okręgu.

Ta interesująca praca zawiera także historię obwodów AK Brzeziny — Koluszki, Pabianice, powiatu łęczyckiego, rejonu Bałut — Julianowa i wreszcie szkic o wojskowej opiece duszpasterskiej. Znajduje się też interesująca bibliografia oraz indeks nazwisk i pseudonimów.

Książka została wydana dzięki pomocy finansowej Komisji Wydawniczej Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi z funduszu wydawniczego Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych.

M.B.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

kresie faszyzmu, rozesłano wtedy prefektom pismo zakazu moich książek. Przechodnie na mój widok odwracali głowy. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co działo się na przykład za czasów Stalina w ZSRR..." („LE POINT")

I GÜNTER GRASS...

O reakcji zachodnich rządów i pisarzy na irańskie groźby pod adresem **Salmana Rushdiego,** wybitny zachodnioniemiecki pisarz **Günter Grass powiedział** („Newsweek"): „Początkowo rządy zachodnie wyrażały protest. Potem, idąc za przykładem Wielkiej Brytanii, wiele z nich podjęło normalne stosunki dyplomatyczne z Iranem. Protestowało wielu, bardzo wielu pisarzy. W Berlinie Zachodnim zorganizowaliśmy wieczór, podczas którego czytano „Szatańskie wersety", a kiedy żaden zachodnioniemiecki wydawca nie chciał opublikować tej książki, oświadczyliśmy, że sami to zrobimy. Obecnie 40 różnych wydawców połączyło swe siły tworząc „nową oficynę wydawniczą" po to tylko, by wydać „Szatańskie wersety". My, autorzy niemieccy, umieściliśmy tam swoje nazwiska — jako redaktorzy tej książki..."

Na pytanie, co sądzi o Gorbaczowie, Günter Grass powiedział: „To, czego dokonał w cztery lata to cud, ale on potrzebuje pomocy... Mam nadzieję, że Stany Zjednoczone zareagują w twórczy sposób na pokojowe propozycje Gorbaczowa. Ale (wydaje się), że Ameryka nie umie się rozstać ze starym ukochanym wizerunkiem nieprzyjaciela. Najlepszą odpowiedzią Zachodu, jaką mogę sobie wyobrazić, byłby nowy plan Marshalla dla Związku Radzieckiego i krajów bloku wschodniego... Gdyby Stany Zjednoczone wystąpiły z konstruktywną odpowiedzią wobec Gorbaczowa, jestem pewien, że wielu polityków europejskich poszłoby w nowym kierunku, który z pewną nadzieją doprowadziłby nas do roku 2000".

„ZŁOTA GILOTYNA"

„Koło Młodych przy Związku Literatów Polskich wraz ze Stowarzyszeniem Pisma Wyższej Arystokracji „BEHEMOT" dają ostatnią szansę młodym (którzy nie ukończyli 33 roku życia) do wniebowstąpienia literackiego. Warunkiem wstępu na puszyste dywany jest złożenie w gabinecie sekretariatu ZLP w Łodzi, przy al. Mickiewicza 15 swoich najlepszych prac literackich do dnia 20. 06.89 r.

Uwaga! Zgryz mamy prawidłowy. Główna nagroda „Złota Gilotyna".

Komunikat firmuje Agencja Pro-Arte w Łodzi. Nagrodę funduje widać także. Ciekawe komu przypadnie. I co pocznie... zdobywca.

LAUREACI

Łódzkim Spotkaniom Baletowym towarzyszy przegląd filmów poświęconych tej dziedzinie sztuki. Tak też było i w tym roku. Spośród dziesięciu zakwalifikowanych do przeglądu obrazów jury — pod przewodnictwem **Jerzego Woźniaka** — przyznało trzy równorzędne nagrody, które otrzymali: reżyser **Jadwiga Żukowska** i operator **Stanisław Śliskowski** — za film pt. **„Duet"; Marian Ligęza, Gustaw Klauzner i Andrzej Białoskórski** — za pomysł, scenariusz i realizację filmu telewizyjnego pt. **„Fleks"** oraz **Andrzej Adamczak** — za zdjęcia do filmu **„Harnasie".**

Nagrodą jest statuetka dłuta łódzkiego rzeźbiarza — **Jana Grodka.**

Gratulujemy.

Galeria pisarzy

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

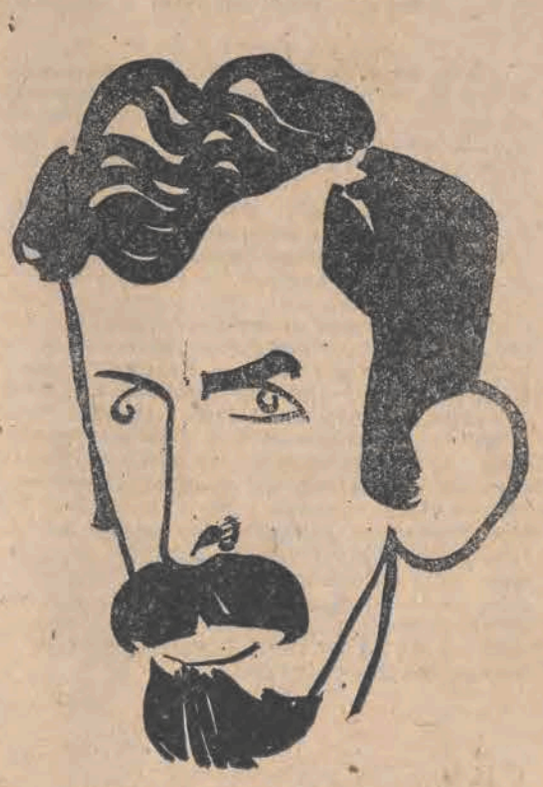

Rys. Sławomir Arabski

Byli legendą — wspomnienia z najbliższej przeszłości (4)

Ballada o „Jędrusiu"

RYSZARD BINKOWSKI

Major Stanisław Dorosiewicz także dostał 15 lat. Został w Rawiczu, gdy Wiącka transportowano po kilku latach do Sztumu. Wiącek nie wie, kiedy Dorosiewicz wyszedł z Rawicza. Na wolności popełnił jeszcze parę świństw, pod naciskiem oświęcimiaków przesłuchiwano w jego sprawie akowców, tych z AL i BCh i Dorosiewicza ponownie aresztowano. Odmówił zeznań, zmarł i śledztwo umorzono...

Wróćmy jednak do 65 dnia w celi śmierci, a dokładniej licząc, to było ich 67. Radość trwała krótko, ponieważ pozwalniano przedwojennych strażników i zastępcę naczelnika, a Wiącek znalazł się piętro wyżej — w celi wyrokowych. Przesiedział tam aż do końca października, czekając na transport do więzienia o surowszym, ostrzejszym rygorze, jakby to w Kielcach było apartamentem hotelu z trzema gwiazdkami. A najcięższymi więzieniami w Polsce były wtedy Rawicz i Wronki.

Na dworzec kolejowy w Kielcach 18 bezbronnych ludzi eskortowały dwa pojazdy pancerne i około stu wartowników. Wsadzano ich do wagonu towarowego, który sczepiono z wagonem osobowym, w którym miała jechać 40-osobowa eskorta. Oba wagony przyczepiono do składu pociągu osobowego. Tory pozrywane, droga długa, okrężna, liczne postoje, a kierunek jazdy nie znany. Byli pewni, że jadą na Syberię...

Bez wody, jedzenia, mycia, bez ubikacji. I tak godzinami, dniami. Na każdej stacji eskorta wyskakiwała z bronią w ręku i otaczała wagon z więźniami. Podobnie było na dworcu w Katowicach, z tym że oba wagony odczepiano od składu i czekano na inny pociąg. Zebrała się grupa kolejarzy i cywilów, obserwując z ciekawością ten dziwny konwój.

— Kogo pilnujecie? — zapytał jakiś kolejarz.

— Gestapowców, żandarmów i konfidentów.

Wtedy „towarówka" wrzasnęła chórem jak na komendę:

— Kłamstwo! Oficerowie AK!

Ci z eskorty pobiegli do naczelnika stacji, ściągnięto w pośpiechu lokomotywę, która odprowadziła „niebezpieczny ładunek" daleko za dworzec, na boczne tory. Tam doczepiono „towarówkę" i eskortę do innego pociągu i Stanisław Wiącek pojechał do Rawicza, gdzie w młodości grał w piłkę nożną gdy był uczniem szkoły rolniczej w pobliskim Bojanowie Poznańskim. Tyle że tym razem nie czekała go zabawa w piłkę kopaną. To nim samym tam się bawiono w sposób perfidny i okrutny zarazem, i to przez całe siedem lat.

Mówi przez ściągnięte gardło:

— Po raz drugi płakałem w więzieniu po przeczytaniu listu napisanego do mnie 8 lipca 1954 r. Była w nim wiadomość o śmierci matki. Przygotowała dla mnie obiad, którego nigdy nie zjadłem...

Mimo znacznej utraty zdrowia, wciąż dużo pali, jakby jeszcze dziś pragnął zaspokoić więzienny głód nikotynowy. Wkłada filtry radomskich do brunatnej szklanej lufki, zaciąga się, wertuje zbiory dokumentów. Drażni go sentencja wyroku sądu we Wrocławiu z 1.III.1960 r. Uznano, iż krzywda moralna, jakiej doznał jest niewymierna, trudna do oszacowania, ale jego żądania są wygórowane, w ten sposób nie można się bogacić. Stwierdzono, że zadośćuczynieniem dla niego była rehabilitacja. A przecież rehabilitacja była obowiązkiem władzy, której przedstawiciele kiedyś go skrzywdzili. Sposób myślenia sądu polegał na tym, że on posiada częściową zdolność do zarobkowania, a skoro cierpiał na liczne schorzenia po wyjściu na wolność i leczył się, to winien przedstawić rachunki od lekarzy.

Żądał 203 tys. zł odszkodowania. Przyznano mu 60 tys. Niska jest cena ludzkiego cierpienia. Jeszcze niższa cena błędów, w wyniku których doprowadza się do ruiny człowieka. Potem nie cieszy nawet przyznany Krzyż Partyzancki, Medal Zwycięstwa i Wolności ani przyznany po dziesiątkach lat przez Radę Państwa Złoty Krzyż Zasługi.

— W Rawiczu trafiłem na znośne warunki, to nie cela śmierci w kieleckiej mordowni. Naczelnik postępował zgodnie z przepisami, obywało się bez szykan i bicia. Przychodziły paczki z PCK, miałem prawo do spacerów. Ale selanka trwała dwa miesiące. Nowym naczelnikiem został porucznik Kazimierz Szymonowicz. Żyd, który przybrał piękne polskie imię i nazwisko. Skończyły się paczki i spacery, nastał rygor. Dla naczelnika pracowało trzech wybitnych sadystów: Kulik, Bochniak i komendant pawilonu Kukawka. Bez powodu, bez raportu szło się do izolatki lub do karceru. Mnie tak sobie upodobano, że 25 miesięcy, a więc ponad dwa lata spędziłem w izolatce, bez raportu i przewinienia. Kiedyś na odwiedziny przyszedł mój brat w sutannie. Naczelnik musiał widzieć brata przez okno, bo prosto z widzenia zaprowadzono mnie do niego. Pyta, kto ze mną rozmawiał. Odrzekłem, że mój brat, ksiądz. Wrzasnął z pianą na ustach: „Ksiądz?! Ty jesteś faszystą! Cała twoja rodzina to faszyści!" I za rozmowę z bratem księdzem poszedłem do karceru...

Wyjaśnijmy sobie na wstępie, że w więzieniu w Rawiczu znajdowały się m.in. dwa budynki, z których jeden był z czerwonej cegły, drugi zaś biały. Zwane były odpowiednio białym i czerwonym pawilonem. Stanisław Wiącek znalazł się na oddziale w białym pawilonie, gdzie mieściła się administracyjna komórka więzienna zwana „Spec" — odpowiednik wolnościowego UB.

A teraz wróćmy do rozkoszy życia w białym pawilonie. Do celi przeznaczonej dla 3 osób wpychano po 15 więźniów, tak że latem nie było czym oddychać. Tego nie można było porównać nawet ze szprotkami w puszce, bo szprotki nie muszą wstawać do kibla. A oni spali w dwóch rzędach, nogami do siebie, przy czym nogi mieli wplecione jedni w drugich, toteż trudno było się wydostać z tej plątaniny do cuchnącego w rogu kibla. Na betonie twardo, więc gdy jeden chciał się przewrócić na drugi bok, musiał wraz z nim robić to cały szereg. A monotonię takiego życia uprzyjemniały jęki i krzyki dobiegające z działu „Spec", bo więzienne UB nie mogło być gorsze od tego na wolności. Szczególnie popisywał się tam sadysta Kulik.

Przez szklany dach przebijał snop światła, siatek ochronnych nie było, toteż zdesperowani, doprowadzeni do obiędu więźniowie skakali przez barierki, aby roztrzaskać się na betonie. Dopiero z czasem założono siatki, gdy wywieziono sporo trupów.

Ale samobójstwa i tak się powtarzały. Ludzie tracili zmysły w izolatkach. Więzień w randze kapitana uderzył głową w grzejnik i zabił się na miejscu. Inni ginęli w tajemniczych okolicznościach.

W czasie spaceru zmarł Kazimierz Pużak, ps. „Bazyli", były sekretarz generalny PPS. Skazany w 1948 r. na 5 lat za „działalność przeciwko Polsce Ludowej", wytrzymał tylko 2 lata w Rawiczu...

Opieka lekarska była taka, że lekarz więzienny, dr. Durczewski, w ogóle nie sprzeciwiał się wyrzucaniu więźniów w ciężkim stanie ze szpitala. Bo tak naprawdę to on się znał na medycynie jak młot kowalski na gwiazdach.

W menu figurowały dwie żelazne pozycje: kwaszona kapusta i rozbełtana jak pomyje kasza. Ale też nie zawsze. Więźnia dręczyły głodne sny o wielkim żarciu.

— Po tej kwaśnej kapuście dostałem torsji i potwornego bólu w prawym boku — mówi przeiknąwszy kęs placka. — Koledzy opuścili po apelu klapę, wzywając strażnika i prosząc o lekarza. Podniósł klapę i poszedł sobie. Około dziesiątej następnego dnia dano mi pastylki węgla na uregulowanie żołądka, a dopiero wieczorem znalazłem się w szpitalu. Durczewski stwierdził wyrostek. Bryczką, ale pod lufami strażników, pojechałem do szpitala powiatowego w Rawiczu. Siostry zakonne przygotowały mnie do operacji, powiedziałem jednej, że mam brata księdza. Strażnicy chcieli asystować przy zabiegu, ale po ostrej interwencji lekarza wycofali się na korytarz. Dostałem narkozę i pogrążyłem się w nirwanie...

C.D.N.

Fragmenty powieści „GUZ" (1)

Jej śmierć mnie ocaliła

WIESŁAW ROGOWSKI

Moja młoda nauczycielka języka obcego dawała mi odczuć swoją sympatię. Kilkakroć prosiła mnie o odniesienie zeszytów z klasówki, częstowała herbatą, konfiturami. W tamtych ciężkich czasach, gdy wciąż czułem głód, takie olśniewające, nieoczekiwane dary losu były jak cud: piłem łapczywie dobrze osłodzoną, prawdziwą herbatę, gdy w domu miałem popłuczyny z suszonych skórek jabłkowych albo liści mięty, żarłem ledwie się wstrzymując owe słodkości, wonne, niemal bajkowe smakołyki, omal nie liżąc językiem spodka. Była tutejsza. Miała dom, ogród, drzewa wiśni, grusze, krzaki porzeczek i malin. W takich momentach byłem gotowy uczynić dla niej wszystko, czego by zażądała. Byłem w siódmej klasie powszechnika, miałem czternaście lat, wojna wydawała się już przez Niemców przegrana, słyszeliśmy wieczorami lub o wczesnym świcie dudnienie dział dolatujące gdzieś spod Puław, kto to zresztą wiedział dokładnie?

Owego późnego popołudnia zostałem w szkole na wyraźne życzenie mojej nauczycielki. Poprosiła mnie o to, nie pamiętam z jakiego powodu. Czekałem w klasie i czułem się jak idiota: chciałem pobiec do kumpli, gdy ona kazała mi sterczeć tu, między pustymi ławkami.

Przyszła wreszcie. Otworzyła szafę. Wyjęła z niej stertę zeszytów. Podała mi i powiedziała:

— Idź do mnie i zaczekaj. Ja tymczasem muszę jeszcze coś załatwić. Rozumiesz?

Uśmiechnąłem się. Byłem wzburzony. Chciałem odzyskać wolność. Nie potrafiłem jednak tego jej powiedzieć, gdyż właśnie uśmiech i lekki ruch dłoni poprawiającej jej jasne włosy onieśmielił mnie.

Z Cmentarnej, gdzie mieściła się szkoła, w okolice jej domu było dość daleko. Wlokłem się rozgniewany, ale i pełen niejasnego niepokoju; nie umiałem wyzwolić się od nakazu półuśmiechu i zwykłej prośby tej kobiety, a równocześnie czułem w sobie wolę przeciwstawienia się jej mocy promieniującej od niej. Było to podobne do buntu niewolnika. Czy ona jest moją panią? Moją panią? W szkole, tak. Ale przecież wzbudzała we mnie sprzeciw, obok pociągu, nie tylko jako nauczycielka. Myślałem o niej często. Wyobrażałem sobie Bóg wie co. Opierałem się moim marzeniom. Wiedziałem, że są bezsensowne, są grzeszne. Nie pojmowałem zresztą, co właściwie czuję. Była między nami tak wielka odległość pozycji, wieku — parę lat, to dużo, że sama myśl o przebyciu tej rozległej przestrzeni wydawała się majakiem, albo skokiem w przepaść.

Kto wie, czy nie byliśmy oboje swoistymi aparatami nadawczo-odbiorczymi nastrojonymi na tę samą falę. Ona nigdy nie pokazywała się w towarzystwie jakiegokolwiek mężczyzny. Ja jeszcze nie wiedziałem nie licząc sennych marzeń, jaką głębię pociągającą wzajemnie ludzi kryje w sobie owa odmienność, którą dostrzegałem w krągłościach i elastycznych ruchach jej ciała, we wdzięcznych i uległych mimowolnie miękkościach gestów, uśmiechu, w zawirowaniach wiatru w jej włosach. Cokolwiek to było, nie mogłem i nie potrafiłem się temu oprzeć. Ona zaś musiała odczuwać mój podziw. Emanował ze mnie. Byłem jak grudka radu, który wydziela promieniowanie niewidoczne dla cudzych oczu, z wyjątkiem tych, które znały sposób jego ujawnienia albo wiedziały, czego szukają.

Usiadłem w przydrożnym rowie kładąc zeszyty na trawie. Przedtem pociągnąłem za rączkę dzwonka przy furtce. Nikogo w domu nie było. Opanowała mnie rezygnacja. Wyrywałem się jej smutnym i obezwładniającym muśnięciem, buntowałem. Chciałem przerzucić zeszyty przez płot i uciec, lecz widziałem tę twarz, jasne włosy, kształtną sylwetkę. Byłem bezbronny. Musiałem czekać.

Przyszła wreszcie. Pomachała do mnie dłonią, uśmiechnęła się, a potem pogłaskała po czuprynie. Omal się nie wściekłem. Ale zdobyłem się tylko na niecierpliwe podrzucenie głowy.

— Nie gniewaj się — powiedziała. — Wejdźmy, proszę.

Przepuściłem ją, poszedłem z tyłu. Jakże była zgrabna. Opanowałem się z trudem. W pustym domu, w którym prócz nas nikogo nie było, ani kota czy psa, ani nawet wspomnienia ludzkich głosów, zostaliśmy we dwoje.

— Połóż zeszyty na biurku — poprosiła i wyszła z pokoju.

Położyłem. Stałem jak słup, bez ruchu. Chciałem już uciec, ale przecież nie mogłem. Musiałem zaczekać aż ona wróci.

Przyszła odmieniona. Rozpuściła włosy, spadały jej na ramiona, falliste, jasne, domyślałem się, że muszą cudownie pachnieć. Miała na sobie zamiast sukni kolorowy szlafrok. Nigdy przedtem takiej jej nie widziałem. Było to coś w rodzaju nagłej przemiany, jaka zachodzi między dniem a nocą, gdy jasność nagle mrocznieje, by przejść w krwistą barwę.

W mieście mówiono o niej, że odrzuca zaloty wszystkich mężczyzn. Jej ukochany poszedł we wrześniu na wojnę. Nie wrócił. Nikt nie wiedział, co go spotkało, niewola czy śmierć. Niektórzy mówili, że to Ruscy zagarnęli go do niewoli a potem, gdy wyszła na jaw sprawa Katynia, o której Niemcy rozpisywali się szeroko, opowiadano, że tam właśnie zamordowano jej narzeczonego. Trudno się było dziwić jej wstrzemięźliwości. Była czymś w rodzaju wdowy, opromienionej sławą, a potem męczeństwem swego wybranego. Któż mógłby mu dorównać? Nie było takich w miasteczku. Zresztą, ta aura i nie wypowiedziany przez nikogo, ale jakby wspólnie ustalony sposób jej traktowania, wykluczały możliwość spospolitowania się tej kobiety; ktoś drugi musiałby być bohaterem na miarę tamtego pierwszego. A o bohaterów takich trudno. Nie kwapili się i nie pchali na tak ciernisty piedestał. Była więc sama. Otoczona podziwem. Piękna i niedotykalna. Zaślubiona zmarłemu. Któż ośmieliłby się zadać z taką wdową, nie myśląc wciąż o tym iż ona porównuje, zestawia, szacuje te wartości, jakie miała lub mogłaby mieć i jakie ktoś bezczelny ośmieliłby się jej teraz ofiarować? Zalotnicy, których nigdy nie brak, odpadli jeden po drugim. A potem chętnych zabrakło. To normalny skutek wyniosłości której źródłem była najpierw ona sama, potem jej niezdecydowanie, a później mit, legenda, swoista czarna szata wdowia odbierająca każdemu apetyt mimo iż pod jej smutnymi barwami kryła się żywa, nęcąca kobieta. Tak los i historia dawały jej wzniosłość, odbierając szanse. Zwykłe, ciepłe wspólne łóżko.

Wyszła zatem w szlafroku. Popatrzyła na mnie. Podeszła bliżej. Patrzyła mi w oczy. Dojrzałem w nich jakiś błysk, niezwykłe rozszerzenie źrenic, mękę i zachwyt, zapowiedź czegoś niewyrażalnego i oczekiwanie. Poczułem skurcz w gardle. Zbliżyła się do mnie. Dotknęła koniuszkami palców moich policzków, moich warg, podbródka, szyi. Ku memu zaskoczeniu przytuliła mnie nagle do siebie. Poczułem jej zapach. Był to rumianek pomieszany z wonią świeżego siana, lip kwitnących, wiatru znad Wieprza, wilgotnego i przejmującego. Zakręciło mi się w głowie. Mój bunt, moje marzenia wydały mi się niczym w porównaniu z tym zapachem, dotykiem, ciepłem, które poczułem tym wyraziściej, że lekkim ruchem rozwiązała węzeł luźnej przepaski i szlafrok rozchylił się ukazując ją całkiem nagą. Nigdy dotąd nie widziałem nagiego ciała kobiety, nie czułem jego ciepła, nie doznałem poczucia jedności. Lęk opadł jak suchy liść. Skrępowanie trwało. Ośmielony jej tkliwością, która była źródłem gestów miękkich, ogarniających, pełnych wiedzy i świadomości a zarazem naturalnych, przylgnąłem do niej z taką samą siłą, z jaką ona przyciągnęła mnie do siebie. Teraz wiem, że to ona przytuliła mnie, lecz wówczas wydawało mi się, iż to ja tak przywarłem do jej ciała. Do jej ciała? Do niej. Ale była naga. A więc była ciałem, to jedno się liczyło, to miało znaczenie. Odczuwając moją odpowiedź, rozumiejąc ją i rozbudzając, zaczęła zdejmować ze mnie koszulę, wszystko, co przeszkadzało nam w namiętnym zbliżeniu. Byłem nagi, ona również, w świetle zachodzącego dnia widziałem ją całą, nie wierzyłem, że to prawda, wydawało mi się, iż śnię. Upadliśmy na podłogę. Dywan samodziałowy, sosnowe deski stały się naszym łożem miłosnym. Byłem onieśmielony. Nie wiedziałem co czynić. Usiłowałem ucałować ją w usta, w policzki, w szyję, w piersi, potem badałem ustami gładkość i smak jej skóry na drgającym coraz szybciej brzuchu. Jęczała jakby męczył ją ten sposób mego zachowania, przygarniała mnie jednak rękoma, tuliła odpowiadając w sposób oczywisty i niedwuznaczny na moje zabiegi. Potem przejęła rolę, którą ja dotąd nieświadomie, lecz w zgodzie z naturą grałem wobec niej. Całowała mój brzuch, zaczęła gładzić dłońmi moje łono. Nigdy nie oczekiwałem, że coś takiego może się wydarzyć, przewróciłem ją, wdarłem się twardymi oczekiwanymi przez nią i nie dającymi się opanować ruchami w głąb niej samej; poszaleliśmy, w każdym razie ja oszalałem. Świat wydawał się czymś, co zmalało i jest bez znaczenia, liczyło się tylko to, co było między nami, ów pęd namiętny ku sobie, nieokiełzane ruchy ciał, przezwyciężanie przerw naturalnych i przyśpieszanie ich końca, a więc wspólny bieg, wspólna walka, jedność ciał i chyba dusz, niewytłumaczalna inaczej niż przez ów akt miłosny, który nie był normalny, bo łączył niemal dziecko z dojrzałą kobietą, mit z ciałem i zapachem potu, przeciwieństwa płci z dojrzałością ich sensu. To trwało długo. Potem, nieoczekiwanie ona podniosła się i patrząc na mnie ze zdziwieniem rozszerzonymi źrenicami, rozpłakała się.

— Nie powiesz nikomu? — zapytała.

— Nie! Przysięgam!

— Pamiętaj! Nigdy. Nikomu.

— Ale spotkamy się jeszcze? — zapytałem, zbierając z podłogi moje rzeczy. Ubierałem się gorączkowo, w strachu, że ktoś może nadejść. Patrzyłem równocześnie na jej twarz, pełną upokorzenia, martwiejącą, coraz bardziej obcą.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Możliwe...

— Obiecaj!

— Zobaczymy...

C.D.N.

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

26

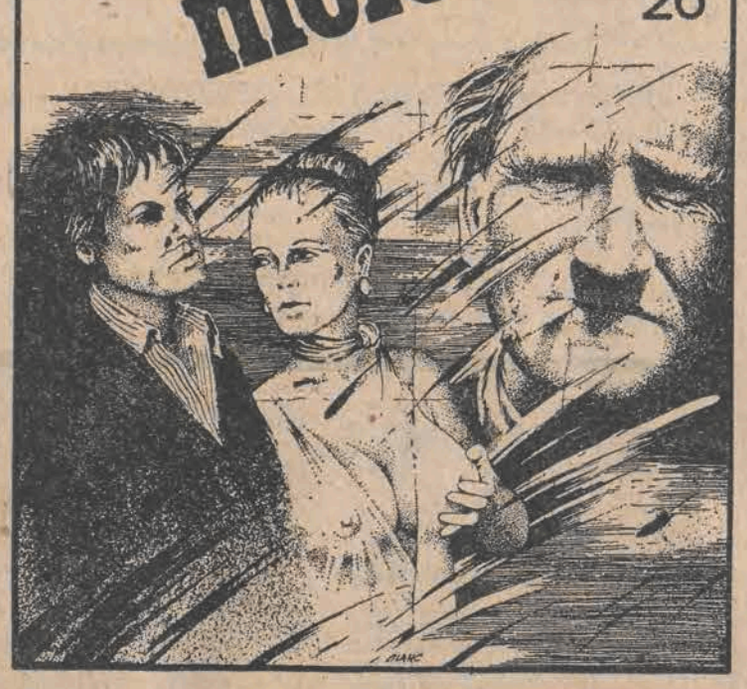

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nie ma nawet dwóch zdań, że kryje się za tym jakaś zagadka. Może nic wielkiego, ale któż to wie? Trzeba wziąć ich pod lupę! Nie lubił Bernarda i nie znosił zarozumiałego Jacka, który ignorował go w mieście i na podwórku, i jeśli nawet odpowiadał na zwyczajowe, sąsiedzkie pozdrowienia, czynił to protekcjonalnie i niechętnie.

Poczekaj, szczeniaku! Zgasił światło i przytaszczywszy krzesło do okna zasadził się na czatach.

6.

Łudziła się, że dobrze przespana noc, a potem krzątanina w domu i zakupy w mieście ostudzą trochę jej nagły i nieoczekiwany sentyment, ale było inaczej i kiedy dochodziła czwarta, przeżyła chwile tego samego radosnego oczekiwania i tej samej dręczącej niepewności, które nawiedzały ją w owych odległych czasach szkolnych przed każdym kolejnym spotkaniem z rusycystą — pierwszym kochankiem i pierwszą miłością. Od tej pory nigdy już nie doznała takich wzruszeń; nie kochała nikogo — to raz, a dwa — wiedziała, że mężczyzna, któremu zaoferowała łaskawie południe, wieczór czy noc, przyjdzie, choćby mieli usunąć go z tronu dyrektora, choćby tatuś dogorywał na raka za parawanem w szpitalnym korytarzu, a żona groziła rozwodem.

Klasnął dzwonek u drzwi i Jacek wszedł do mieszkania punktualnie. Osoba spóźniająca się kilka bądź kilkanaście minut utrzymuje drugą oczekującą osobę w stanie napięcia i zdobywa w ten sposób, wedle powszechnej opinii, przewagę. Wicher nie zmierzał widocznie w tym idiotycznym kierunku; może nie znał reguł gry, choć bezbłędna intuicja kazała Gejszy domniemywać, że chłopiec ma za sobą niejedno seksualne doświadczenie.

Przyzwyczaja się do miejsc!

Usiadł na kanapce w tym samym rogu, co wczoraj, a ona spoczęła w głębokim skórzanym fotelu i spytała:

— Co wypijesz?

— Whisky.

Przyzwyczaja się do smaków. Jeśli zdołam go pocałować, przyzwyczai się do moich warg. A później przyzwyczai się do ciała — do piersi, do brzucha, do ud, do zapachu! Nie myśl o tym! Miała nadzieję, że rozczaruje ją druga rozmowa, ale chłopak nie nudził, nie tokował, nie opowiadał głupich dowcipów.

— Lubisz jazz? — zapytała.

— Bardzo.

— Kto jest twoim faworytem?

— Miles Davis. Ale nie ten współczesny, przemądrzały, lecz ten sprzed dwudziestu i trzydziestu lat, kiedy grał jeszcze często bez tłumika i był tak straszliwie smutny i tak straszliwie głęboki, jak symfonie Beethovena.

— Przykro mi, że nie mam jego płyt.

Wcale nie było jej przykro. Dyrektorzy to cudowna rasa, wszelako jeśli któryś był raz w życiu z konieczności w teatrze albo odwiedził przypadkiem za granicą muzeum, uchodził w oczach Gejszy za niebezpiecznego odszczepieńca. Ble, ble, ble z dyrektorami nudziło ją. Nudziło ją także ble, ble z lekarzami, z dziennikarzami i zadufanymi w sobie artystami, w obecności których śmiało można otworzyć okno na wysokim piętrze — nie pofrunął! Tymczasem rozmowa z Jackiem sprawiała Gejszy szaloną przyjemność. Rzadko się zdarza aby słowo trafiało w słowo, aby między dziewczyną i chłopakiem brzęczała bez przerwy napięta struna. Rzadko, bardzo rzadko tak się zdarza, lecz skoro już się zdarzy, trzeba tego pilnować, bo jeśli w ogóle istnieje szczęście, nie polega ono wcale na bogactwie, na ulotnej rozkoszy, na orgazmie na wyjazdach do obcych krajów wszystko to jest bez wątpienia zabawne, ale jeśli znajdzie się ktoś, z kim nie czujesz się samotny i znudzony, i każde zdanie zawiera ukrytą treść, a pauzy między zdaniami i milczenie są równie wymowne jak ułomny ludzki język, wtedy łap te chwile, bo lepszych już nie przeżyjesz.

Te jego policzki podkrążone młodą krwią i zaklęsłe, kiedy sączył alkohol. Ten jego zamglony, czujny wzrok z ukrytym głęboko sekretem, o który nie pytała i którego nie mogła rozszyfrować, wiedziała jednak, że nie tyczy się jej i była zazdrosna.

Powiedział cicho:

— Dobrze mi.

A ona powiedziała:

— Cieszę się. — I zmusiła się, aby dodać: — Mnie też jest dobrze.

Nie padło ani słowo na temat miłości, lecz Gejsza wyznała ją chłopcu w inny sposób.

Brzęknął telefon.

— Odbierz — poprosiła. Jacek wstał, wziął mikrofon w dwa palce i rzekł grzecznie:

— Dobry wieczór, słucham.

— ?...

— Chwileczkę. — Spojrzał na dziewczynę. — To jednak do ciebie, nie do mnie.

Gejsza parsknęła. Ma na dodatek poczucie humoru! Takich rzeczy nie można wyćwiczyć — są dziedziczne. Położyła mu dłoń na ramieniu i był to jedyny poufały gest, jaki wypatrzył ze swego okna Kukuryk.

— Tak?

— Zajęta jesteś?

— A kto mówi?

— Nie poznajesz starych przyjaciół? Jóźwiak!

— Witaj, Czesławie — powiedziała z chłodną uprzejmością, wszelako dyrektor po drugiej stronie przewodu nie wsłuchiwał się w żadne subtelne półtony. — Przyjechał fantastyczny facet z Luksemburga, menedżer, akcjonariusz prywatnej radiostacji. Wspomniałem mu o tobie i gość dostał świra, chce cię poznać. Zarezerwował stolik w Malinowej na ósmą, przyjdziesz?

— Nie.

— Czemu?

— Bez komentarzy, Czesławie.

— Więc jutro.

— Nie.

— W czwartek gość wyjeżdża do Poznania, ale wraca w sobotę. Pasuje?

— Nie.

— Co się stało, do diabła, Barbaro?!

— Dużo.

— Złego czy dobrego?

— Nie wiem. Będę jednak wdzięczna, jeśli przestaniesz do mnie dzwonić, nawet jeśli przyjedzie książę Walii. Pa! — odwiesiła słuchawkę i sondowała chwilę stalowe, niepokojące oczy Jacka. — Zjesz coś, braciszku?

— Zjem. Jestem strasznie głodny.

— Ja też. — Dolała mu whisky i poszła do kuchni. Nuciła tam jakąś melodię srebrzystym, dźwięcznym głosem kobiety, której Bóg udzielił nieoczekiwanie rozgrzeszenia.

7.

W ubiegłym, osiemdziesiątym ósmym roku Święto Piotrkowskiej przypadło na jedenasty i dwunasty dzień czerwca, i trzeba od razu powiedzieć, że nie było fiestą tak udaną, jak przed dwoma laty, kiedy pojawiło się po raz pierwszy w kalendarzu łódzkich imprez i transmitowała je ogólnopolska telewizja. Otwarcie nastąpiło w sobotę przed południem w pasażu Leona Schillera. Padał drobny, dokuczliwy deszcz, władze miasta rozpięły nad sobą parasole, a Kukuryk nie miał nawet czapki i jeśli coś podtrzymywało go na duchu, to chyba fakt, iż odkłonił mu się wiceprezydent Stanisław Żałobny.

W tę smutną, pochmurną sobotę nie było wcale na Piotrkowskiej nadzwyczajnych tłumów, zawisła wszelako nad miastem jakaś szczególna nostalgia. Wiecie, jak to jest, kiedy grają orkiestry dętę. Kukuryk wysłuchał ich, po czym ruszył w stronę Klubu Studentów, gdzie wrzeszczały z pasją zespoły ludowe. Poszedł dalej. Między tylną ścianą Grand Hotelu a Młodzieżowym Domem Kultury, u stóp pomnika poety, o którego rwać się miało pazurami po śmierci kilkanaście sławnych, niekoniecznie polskich miast, tańczyły i śpiewały z wdziękiem dziewczęta, pod pawilonem „Magda" natomiast nie było nic oprócz dwóch punktów sanitarnych, z których jeden nie przyciągnął uwagi Kukuryka, drugi zaś usiłował go przekonać, że „AIDS JEST CHOROBĄ DO UNIKNIĘCIA".

Kukuryk szukał roboty, ale w żaden sposób nie mógł jej znaleźć. Wrócił w pobliże estrady przy pasażu Leona Schillera z nadzieją, że wystąpi tam, być może, zapowiadany przez łódzką prasę Król Łgarzy — zamierzał roztoczyć opiekę nad tą ważną stołeczną osobistością, uchronić ją przed naporem tłumu, zaopatrzyć w kanapki i oranżadę, a potem, w stosownym momencie, poprosić o autograf. Król Łgarzy nie zasiadł jednak przy stoliku, który przytaszczyli dla niego dziennikarze sponsorującej gazety. Nawalił, zlekceważył organizatorów i wielbicieli. Prawdopodobnie zniechęcił go siąpiący bez ustanku deszcz.

Nazajutrz, w niedzielę, wyjrzało słońce i wszystko potoczyło się w rytmie samby. Na Piotrkowską wyległy tysiące łodzian, a także pokaźna ilość dzikich i stowarzyszonych artystów. Rozłożony pod piekarnią naprzeciw budynku prasy septet studencki zaśpiewał Kukurykowi szlagier: „Dzisiaj są moje urodziny, które obchodzę bez rodziny". Kilka metrów dalej popisywała się nieznana nikomu orkiestra podwórkowa.

Na Piotrkowskiej już od rana
niepodzielnie rządzi szpana.
Bęc! Buch!

Szpana puszcza piąchy w ruch,
Buch! Bęc!
Frajer musi pęc.

W klubie „POD SIÓDEMKAMI" grał jakiś niewidoczny, ale świetny dixieland, zaś obok klubu, na wysokiej zradiofonizowanej estradzie, stanęło rzędem pięciu peruwiańskich Indian w pasiastych ponchach. Kukuryk oczekiwał taniej amatorszczyzny, tymczasem miał szczęście słuchać przez czterdzieści minut wspaniałych południowoamerykańskich rytmów. Wrażenie było takie, jakby zamiast samolotu zobaczył nad miastem szybującego kondora. Na prawym skrzydle walił w maleńką gitarę Peruwiańczyk średniego wzrostu, a obok niego szalał na klasycznej gitarze gruby Peruwiańczyk. Potem, z piszczałkami u warg (instrumenty te przywodziły na myśl fragment wymontowanych z katedry organów), tkwił wysoki, niebywale chudy Peruwiańczyk i jego niski kompatriota. Grali na tych piszczałkach z ogromnym uczuciem i z ogromną werwą, na dwa głosy. Piąty, obsługujący bęben Peruwiańczyk był ponadto utalentowanym wokalistą i poprawnie mówiącym po polsku konferansjerem.

Kukuryk uprzytomnił sobie, iż otacza go potężna masa ludzi. Po każdym utworze wybuchały szczere, długie brawa. Peruwiańczycy podobali się wszystkim i nakręcali koniunkturę innym, mającym dopiero wystąpić zespołom.

Chyba będzie robota! — zawyrokował Kukuryk.

Na estradzie przed mikrofonem pojawił się studencki wodzirej, człek dwudziestoparoletni, dość paskudny, przyodziany w dżinsową kurtkę, która była kiedyś niebieska, lecz tak ją ufajtał, sponiewierał, wytarzał w piwie, tłuszczu i błocie, że przypominała teraz fakturą i barwą ochronny mundur komandosa. Włosy tego stwora związane były z tyłu głowy w kosmyk, a w uchu dyndała agrafka. Wrzasnął do tłumu bez żadnych zbędnych pozdrowień i wstępów:

— Jesteście w studenckim Hyde-Parku, zrozumiano?!

— Zrozumiano! — odwrzasnął jakiś podstawiony żul.

— To ja się bardzo cieszę, że mam taką inteligentną publiczność. W Hyde-Parku wolno wszystko. Przyjmujemy zasadę: każdy może wejść na scenę i chlapać, co mu tylko ślina na ozór przyniesie. Jak się komu podoba, niech atakuje partię i rząd, niech wiesza psy na rektorach, profesorach i milicjantach. — Wytknął palcem dwa biało-niebieskie radiowozy oraz kilka pojedynczych mundurów, zanurzonych w wielotysięcznej ciżbie celem utrzymania porządku. — Patrzcie, jak to się czai! Przyłóżcie im! Śmiało! Dzisiaj nikt nikomu nic nie zrobi!

— Kto wie?! — zakwilił falsetem gość o posturze leniuchującego urzędnika.

— Ty idioto, na pewno nie wiesz! i w ogóle nie jesteś tu potrzebny — odpalił z furią wodzirej.

— Proszę mnie nie obrażać! — zaprotestował urzędnik. — Mógłbym być, smarkaczu, twoim ojcem!

— Ale na szczęście nie jesteś!

— Mam żonę i dzieci!

— Ja też mam żonę i dzieci. — Wodzirej zmrużył kaprawe oko i pociągnął: — Konkretnie rzecz biorąc, mam syna. Syn urodę odziedziczył po mnie, a po matce miłość do chłopców.

Inteligentna część widowni chwyciła dowcip i zawyła z uszczęśliwienia. Na podium wgramolił się czterdziestoletni pijak i ryknął sugestywnie:

— Precz w Wojciechem Łazarkiem, wrogiem ludu polskiego!

Burza oklasków zdziwiła wodzireja, złapał więc odchodzącego pijaczka za kapotę i spytał:

— Kto to jest Wojciech Łazarek?

— Trener.

— Jaki trener?

— Ten, co rozłożył piłkę nożną.

— I dlatego niby ma być wrogiem ludu?

— Jasne! Futbol, to coś więcej niż sport. Reprezentacja bez przerwy daje dupy na wyjeździe i naród cierpi, burzy się, strajkuje, żąda podwyżki płac i obniżki cen na mięcho...

— Precz z Legią! — krzyknął inny gość.

— Precz z Widzewem!

— Precz z Dziekanowskim!

— Precz z ŁKS-em!

— Dobra, dobra! — zdenerwował się wodzirej. — Dosyć tego cholernego sportu! Jedyne hasło, jakie nas od tej chwili obowiązuje, brzmi: PRZEZ SPORT DO KALECTWA. Jeśli chcesz zaoszczędzić córce nieprzyjemnej wizyty u dentysty, poślij ją na kurs karate. Zamiast rozwodzić się z ukochaną małżonką, kup jej narty i bilet na Kasprowy. Szwagra namów do uprawiania skoków ze spadochronem, a chorą na serce teściową zmuś do intensywnych biegów w parku. Tak jest, szanowny robotniku, szanowny kierowco i śmieciarzu, szanowna hieno cmentarna, szanowna lekarko, pielęgniarko i salowo, szanowna wdowo i szanowny rozwodniku, szanowny złodzieju i bigamisto...

— Stul pysk, draniu! — krzyknął zwalisty, rozsierdzony osiłek, który jeśli nawet wypił coś od świtu, to nie więcej niż litra. Usiłował wejść na estradę i zadać wodzirejowi nokautujący cios, powstrzymała go jednak studencka straż porządkowa.

W normalnych warunkach, gdyby była to szacowna, zaakceptowana przez władze impreza, Kukuryk działałby już z właściwym sobie zaangażowaniem i energią — goniłby już pijaków, mitygował awanturników i strzegł sceny przed inwazją elementów wywrotowych. Już by pouczał: — Z szacunkiem dla milicji, obywatelu. Nie pchać się! Rączki przy sobie. Tędy nie wolno przechodzić! — Wszelako maskarada w Hyde-Parku nie trafiła mu do przekonania; coś nie grało, coś zgrzytało raniąc głęboko jego prawomyślny zmysł estetyczny. Cholerne święto! Nie ma roboty. Wycofał się z tłumu i zaczął okrążać estradę, za którą, w pasażu biegnącym ku alei Kościuszki, rozciągały się wzdłuż trawnika dwa rzędy straganów ze starociami: z monetami i znaczkami, z wydanymi przed wojną książkami, z spatynowanym srebrem i złotem pradziadów, z zegarami które zaczęły odmierzać czas w ubiegłym stuleciu.

Obojętnym okiem patrzył na to wszystko Kukuryk, nagle jednak dojrzał cel swoich marzeń — dużą, zeissowską lornetę.

Powściągnął emocje i zapytał z flegmą:

— Co pan chcesz za tego grata?

Właściciel, staruszek o siwych, sumiastych wąsach i siwych, sumiastych, łudząco do wąsów podobnych brwiach, zachłysnął się z oburzenia.

— To jest grat?! To są, panie kawalerze, najlepsze szkła świata. Nigdy bym tego nie sprzedawał, gdyby nie podnieśli opłat za komorne i gdyby nie ta szalejąca drożyzna, ech! — strzelił drobną piąstką w stolik — co ja będę panu dużo opowiadał! Szukaj pan lepszych!

— Cenę chyba możesz pan wyszczególnić?

— Trzydzieści tysięcy złotych — oświadczył pełnym zdaniem staruszek, dowodząc, iż być może pierwszy raz przyszło mu wystąpić publicznie w charakterze handlarza. Przy straganach, oprócz zawodowych, bezczelnych, biegłych w szachrajstwie naciągaczy, zasiadło tego dnia wielu ludzi z cenzusem naukowym, wielu autentycznych znawców sztuki i autentycznych kolekcjonerów, gotowych wymienić jeden przedmiot na drugi bez udziału środków płatniczych. Wypadało jakoś tego dnia załatwiać na ulicy interesa familijne, jak to pięknie zdefiniował Ignacy Józef Kraszewski.

Okazja! Kukuryk ciągle jeszcze milczał. Kędzior na jego tłustym czole przesunął się o milimetr w nagłym porywie wiatru, ale powieka nie drgnęła.

— Można popatrzeć?

— Oczywiście. Tymi pokrętłami dostroisz pan ostrość i uzyskasz pan dziesięciokrotne zbliżenie. Ostrożnie jeno, panie kawalerze! — Zarzucił Kukurykowi na kark skórzany pasek.

C.D.N.

Na początku lat sześćdziesiątych hufiec harcerski na Bałutach podjął inicjatywę sadzenia lasu na Helenówku. Posadzono wówczas kilkaset tysięcy drzew na obszarze kilkudziesięciu ha. W ten sposób na północnych rubieżach Łodzi powstał rejon leśny, dość długo nazywany „harcerskim lasem". Po kilku latach swojej działalności harcerze zaproponowali władzom miejskim, aby stworzyć dookoła Łodzi zalesiony teren, na którym sadzono by nowe lasy. W ten sposób powstał projekt otoczenia zadymionego miasta obwodem zieleni, „zielonymi płucami", które by stanowiły regiony wchłaniające miejskie pyły i kurze, pomagały mieszkańcom odświeżać powietrze w płucach.

Ale projekt ten został zaprzepaszczony. Powodem były projekty budowy różnych zakładów i instytucji, na których uruchomienie potrzeba było dużych terenów ziemi. Nawet nowe osiedle mieszkaniowe na Retkini wybudowano na dobrych gruntach ogrodniczych, które przed laty zaopatrywały w warzywa i owoce mieszkańców miasta. Cóż więcej znaczyły projekty utworzenia zielonej obwodnicy wokół Łodzi?

Łódź teraz.

Drzewa na dachu

Wielka potęga przemysłowa była ważniejsza i „ekonomicznie" uzasadniona. Nikomu nie śniło się o tym, że rozwijając przemysł i niszcząc przyrodę kręci bat na własną egzystencję. Wprawdzie od czasu do czasu ujawniały się pożyteczne zrywy w postaci sadzenia „zielonych świadectw urodzenia" przez rodziców nowo urodzonych dzieci ale były to spontaniczne prace. Stosunkowo niedawno nastąpił zwrot w polityce ekonomicznej kraju i miasta. Spowodowała go obawa o samozagładę życia nie tyle w sferach uboższych, ale i „decydenckich". Ludzie sami zaczynają się bronić przed tymi skutkami. Walka ze śmietnikami na terenach rekreacyjnych, oczyszczalnie ścieków, oto przykłady.

Gorzej, jeśli walka o powrót zieleni na ulice miasta przybiera niewłaściwe, wręcz humorystyczne kształty. Bo czymże można byłoby tłumaczyć fakt, że PGM Łódź-Śródmieście od dłuższego czasu dba o zieleń na dachach domów w swojej dzielnicy?

Mieszkam w domu, gdzie oprócz oficyny zbudowano przed wielu, wielu laty tzw. przybudówkę, w której kiedyś znajdowało się pomieszczenie mieszkalne dozorcy (gospodarza domu), a potem urządzono tam pomieszczenie żywnościowo-gospodarcze miejscowej restauracji. Obok przylega o około 80 cm niższy budynek pralni domowej. Od pewnego czasu zauważam, że w zabrudzonej ziemią rynnie dachowej wyrastają wysokie kilkunastocentymetrowe drzewka „samosiejki" Kiedy starałem się obliczyć ich ilość, stwierdziłem, że było ich czternaście. A ilość ta z dnia na dzień rosła.

Pomyślałem, że jest to pewnego rodzaju rekompensata za zlikwidowanie podwórkowego ogródka, w którym rok temu wybudowano szopę (niby to zastępczą) na przechowywanie w niej przez lokatorów węgla. Miano zastąpić drewniane ściany piwnic murowanymi, lecz pracę tę wykonano w części (po jednej stronie klatki schodowej wiodącej do piwnicy). Druga część pozostała nietknięta. Szopa pozostała. Stanowi ona teraz punkt kłótni lokatorów, którzy walczą o nowe, lepsze pomieszczenia dla składowania „drobnych akcesoriów" komunikacyjnych (własnych motocykli, motorowerów i benzyny).

W ten sposób wszystko się „zgadza" i jest (w mniemaniu PGM) w jak najlepszym porządku. Lokatorzy są zadowoleni, a i plan zadrzewienia miasta został wykonany.

MIECZYSŁAW KOZAK

Wideonotes

FILM TV WIDEO

XXVI MFFK W KRAKOWIE

„Konfrontacyjność czy konkurencyjność?"

XXVI MFFK w Krakowie, podobnie jak Ogólnopolski Festiwal, dokonał się pod znakiem pokazów specjalnych. Z tą jednak różnicą, że w konkursie mogły brać udział filmy nie przekraczające 35 min. projekcji. W pokazach specjalnych uprzywilejowane były dłuższe metraże, czasem dochodzące do 2 godz. Imprezy towarzyszące na MFFK miały do spełnienia nieco inne funkcje niż to było w części polskiej. Organizatorom głównie zależało na przybliżeniu polskiej publiczności tego co się dzieje z filmem będącym poza siecią kin komercjalnych. I to zadanie dyrektorowi krakowskich festiwali — **Andrzejowi Kołodyńskiemu** w pełni się powiodło. Swoją przedsiębiorczością i zapobiegliwością udowodnił, że potrafi „trzymać rękę na pulsie" twórczości filmowej. Poza tym pokazy specjalne były naszą rodzimą wizytówką wobec gości zagranicznych, informującą o naszych poczynaniach.

Różnorodność gatunków filmowych, tematów, bogactwo formalnych rozwiązań mogły zadowolić gust bardzo wybrednego odbiorcy. Prezentacja filmów z najbardziej ekspansywnych radzieckich wytwórni była interesującym przykładem dokonujących się zmian w kinematografii radzieckiej. Leningradzkie Studio Filmów Dokumentalnych udostępniło publiczności festiwalowej własne „półkowniki", które pomimo pierestrojki z trudem torują sobie drogę do radzieckiego widza. „Sonata dla Hitlera" reż. A. **Sokurowa, „Kronika demonstracji" reż. D. Zelkowskiego, „Polowanie w Afryce" reż. I. Alimpijewa, „Syberia — poszukiwanie prawdy" reż. A. Pawłowicza** są wartościowymi filmami najmłodszego pokolenia reżyserów uwrażliwionych na formę, przywiązujących ogromną wagę do szerszych artystycznych uogólnień, pewnej symboliki. Do filozoficznego traktowania współczesnego materiału, unikając politycznej spekulacji. Równie ciekawą propozycja był film z łotewskiej wytwórni: **„Skresiela" (Ulica Poprzeczna) w reż. I. Seleckisa** — interesująca historia Łotwy wpisana w losy mieszkańców jednej z ulic Rygi.

Próbą nawiązania dialogu z Kołem Realizatorek Filmowych przy SFP okazał się specjalny pokaz **„Kino Kobiece w Anglii"**, w którym pokazano trzy realizacje wideo. Bohaterka **„Matki Irlandii" reż. A. Crilly** została zamordowana za swoją działalność polityczną przez angielską policję. Dwa kolejne filmy innej reżyserki, **C. Pollak: „Stać się zawodowcem"** — problem młodych bokserów oraz **„Służące"** — zwierzenia starych kobiet, wspominających lata trzydzieste, dopełniły cykl.

Hasło **„Nasi za granicą"** odnosiło się do dwóch pokazów wideo. Pierwszy przypomniał sylwetkę **Krzysztofa Pendereckiego** w godzinnym filmie **B. Sulika „Polish Requiem"**; drugi losy państwa izraelskiego u jego narodzin. **„Notatki wojenne" reż. I. Bursteina** okazały się trzygodzinnym maratonem przez krainę, której nie znamy, choć tak wielu polskich Żydów ją zamieszkiwało. O społeczności żydowskiej w Polsce traktował także warsztat wideo. Pokazano w nim filmy dokumentalne zrealizowane w Muzeum Diaspory w Tel Awiwie: **Dymiące miasta", „Nowogródek", „I jeszcze muzyka powraca".**

Dla odprężenia i zmiany nastroju odbyła się projekcja amerykańskiego filmu **T. Hackforda pt. „Chuck Berry: Hail! Hail! Rock and Roll".** Rockandrollowe szaleństwo przydało się zmęczonym umysłom festiwalowej publiczności.

Wielkie zainteresowanie wzbudził **„Film o prostytutkach z Placu Bakoczego"** węgierskiego reżysera **G. Dohray.** Ten dokument o ekscytującym tytule z chłodnym dystansem śledził losy sprzedających swe ciało kobiet, także przed kamerą. Nie zabrakło prezentacji debiutantek w zawodzie, alfonsów, koleżanek po fachu i homoseksualistów.

Trudno przemilczeć polskie oferty adresowane do zagranicznych gości. Ważniejsze imprezy z Ogólnopolskiego Festiwalu powtórzono. Pojawiły się nowe propozycje, jak **„Sygnowane: Andrzej Wajda"**, film zrealizowany przez **Andrzeja Brzozowskiego.** Pomysł dość trudny, zwłaszcza gdy uwaga musi być skupiona na wielkiej indywidualności polskiego życia artystycznego i także politycznego. Zawsze istnieje ryzyko, że Wajda zaprezentuje się naszym oczom tak, jak on tego chce. Ale Brzozowski — to kolejna indywidualność warsztatowa. Jego zmysł obserwacji, interesujący montaż ograniczyły samowolę filmowego bohatera, rysując tym samym ciekawy portret Wajdy, ale tylko jeden, z wielu możliwych.

Do nowych propozycji warto dołączyć film **Macieja Szumowskiego „Wiosna Solidarności"**, oraz inne filmy wyświetlane w ramach warsztatu wideo: **„Długa przeprawa" reż. Mieczysława Siemieńskiego, „Ballada o strajku" Piotra Bikonta i L. Dziumowicz.**

Komisja Selekcyjna XXVI MFFK, pracująca pod kierunkiem **Andrzeja Kołodyńskiego** oraz tzw. komisje preselekcyjne, dokonujące wyboru filmów podczas przeglądów i festiwali w innych krajach, obejrzały około 800 filmów. Do festiwalu zakwalifikowano 55 z 22 państw. Obradom Jury w tym roku przewodniczył **Prof. Jerzy Toeplitz.**

W czasie konkursu zarysowały się istotne różnice pomiędzy filmami z Zachodu i Wschodu. Dokument socjologiczny śledzący spokojnym okiem kamery ludzkie zachowania, preferencje, będący kiedyś specjalnością polskiej szkoły filmu krótkiego, zadomowił się prawie we wszystkich krajach socjalistycznych. Na tegorocznym festiwalu najsilniejsza wymowę w obrazowaniu przewartościowań społeczno-politycznych i gospodarczych zaprezentowała radziecka kinematografia, zaskarbiając sobie podziw i uznanie wśród krakowskiej publiczności. Znalazło to potwierdzenie w werdykcie Jury.

Nagrodę Grand Prix — „Złotego Smoka" — jednogłośnie przyznano filmowi **„CORVUS CORNIX" reż. Żanny Romanowej** (ZSRR). Jest to wstrząsająca opowieść o losach młodej dziewczyny, zbuntowanej przeciwko biurokracji i złej organizacji pracy. Jej nieprzejednana postawa wyzwoliła gwałtowną reakcję otaczającego ją środowiska, które zmusiło bohaterkę do poddania się badaniom psychiatrycznym.

Cztery Nagrody Główne — „Srebrne Smoki" przypadły filmom: **„SPASI I SOCHRANI" reż. Leonida Popowa** (ZSRR). To także przejmujący obraz rozpadającej się wsi o utracie sensu życia przez jej mieszkańców — dawnych więźniów łagrów oraz o tym, jak rozbitek życiowy, młody pop, ratując innych ratuje siebie. **„WŁCZA SUITA" reż. Doniu Donewa** (Bułgaria). Jest pełną humoru animowaną przypowieścią o pasterzach owiec, którzy kiedyś wybijali wilki w ochronie owiec, a dziś, ponieważ wilki są pod ochroną, więc pasterze z taką samą troskliwością opiekują się nimi, wydając pokolenie półwilków i półowiec. **„GEIRUSH" reż. Avi Mograbi** (Izrael). Rozegrana bez słowa dialogu dramatyczna scena deportacji na moście w dolinie Jordanu. **„ŽIWOTAT JE PRED NAS" reż. Julia Kanczewa** (Bułgaria) — zdumiewa swoją obserwacją polityczno-obyczajową na temat pogłębiającej się pod koniec XX w. samotności i alienacji człowieka.

Trzy Nagrody — „Brązowe Smoki" uzyskały filmy: **„PALESA" reż. Elaine Proctor** (Wlk. Brytania) za twórcze wykorzystanie muzyki oryginalnej w filmie podejmującym problem tęsknoty za ojczyzną, frustracje wynikające ze znalezienia się w obcym środowisku murzyńskiego małżeństwa z RPA, na emigracji w Londynie. **„TROMBONE EN COULISSES" reż. Hubert Toint** — nagroda za scenariusz **Victora Gurnickiego** (Belgia). To groteskowa, fabularna historia perypetii, dwunastoosobowego zespołu puzonistów, z którego nie wszyscy mogli zmieścić się na pamiątkowej fotografii. **„KIADIA (SUP IZ SOBAKI)" reż. Dżanchondir Fajzijew** (ZSRR), nagroda za zdjęcia **Ch. Chasanowa.** To fabularna ekranizacja opowiadania **I. Daszewskiego.**

Ponadto Jury przyznało trzy nagrody pozaregulaminowe: nagrodę Fundacji Kultury Polskiej uzyskał film **Grzegorza Królikiewicza pt. „IDŹ"** — jako wyróżniający się polski film w konkursie międzynarodowym. Nagrodę Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju otrzymał film **„MWE BANA BANDP' reż. Kristiina Tuura i Paivi Tukala** (Finlandia). Nagrodę Bronisława Chromego w postaci rzeźby autora przyznano filmowi **„L-SVE, RENGASTUSTA LINTUASEMALIA" reż. Juha-Veli Akras (Finlandia).**

Jury FIPRESCI, pod przewodnictwem **Leona Bukowieckiego** przyznało nagrodę animowanemu filmowi produkcji CSRS **„UDEL"**, który stanowi metaforę losu ludzkiego, przedstawiającą w kunsztownej formie narracyjnej perspektywę filozoficznego losu Syzyfa.

Jury FICC pod przewodnictwem **Tadeusza Szczepańskiego** nagrodę Don Kichota przyznało **Józefowi Mesterowi** za film **„A LA CARTE"** (Węgry), ponieważ Don Kichot zawsze bronił biednych ludzi.

Z wielką zadyszką kończę relację z XXVI MFFK w Krakowie, mając świadomość jak wiele spraw ważnych pominąłem opisując festiwal. Po zapoznaniu się z tak bogato prezentowaną twórczością filmową coraz bardziej zastanawia: co na festiwalu było ważniejsze — konfrontacyjność czy konkurencyjność? Należałoby w przyszłości życzyć organizatorom zapewnienia równie ciekawej konfrontacyjności filmowej, jak w tym roku.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?

Proponujemy dziś polski film **Andrzeja Titkowa, pt. „Światło odbite".** Film ten czerpie w dużym stopniu z biografii **Andrzeja Bursy** — poety będącego dziś legendą (czas i miejsce akcji, wiersze, imię Anda, pewne fakty z życia Bursy), ale film opowiada o drugim człowieku, który stoi obok, z miasteczka, gdzie ów człowiek mieszkał, przeżywał pierwsze młodzieńcze wzloty i upadki. Jako autor kilku wierszy znalazł się w pobliskim dużym mieście. Tu poznał rówieśnika — Andrzeja, zbuntowanego młodego poetę, otoczonego już pewną sławą, a po jego przedwczesnej śmierci — przechowuje pamiątki po nim. Warto obejrzeć ten film.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

22 czerwca — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15.

29 czerwca — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 15 CZERWCA 1989 ROKU.

Czy to z powodu szczególnej „międzywyborczej" atmosfery w kraju, czy też — ochłodzenia i opadów deszczu, ostatni dyżur przy redakcyjnym telefonie przebiegł raczej spokojnie, by nie powiedzieć nawet, że — wręcz sennie. Zadzwoniło ledwie kilkoro Czytelników, przy czym i tak — jak zwykle, niestety — ze sprawami, o których „Odgłosy" (i inne pisma tygodniowe) nie powinny prawdę mówiąc, w ogóle pisać. Nie dlatego jednak, że są mało ważne i marginalne wobec tego, co się ostatnio dzieje, bo mimo wszystko wcale tak ich nie chcemy traktować, ale — ponieważ, przynajmniej naszym zdaniem, sprawy te powinny być załatwiane bez naszego udziału przez kompetentne jednostki administracji państwowej i instytucje. Fakt, że trafiają na nasze łamy, zdaje się świadczyć, iż do tak oczekiwanego przez wszystkich stanu normalności wciąż jeszcze nam bardzo daleko.

Oto na przykład sądzić by można — drobiazg: pani **Krystyna Z.** pracownica Dzielnicowej Biblioteki Publicznej na Widzewie zarezerwowała sobie już kilka miesięcy temu wczasy na lipiec, a uczyniła to — zgodnie ze zwyczajem — w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Ludwika Waryńskiego, która tym się zajmuje, i pewna była, że wszystko jest w porządku, gdy tymczasem kilka dni temu wyjaśniono jej z rozbrajającą szczerością, że o wczasach tych... zapomniano; pani Krystyna Z. została „na lodzie" i to tuż przed zaplanowanym urlopem z rodziną, na który teraz nie ma gdzie wyjechać. Rozumiemy trudne położenie naszej Czytelniczki. Wytykamy palcem nieodpowiedzialność i niefrasobliwość pracowników działu socjalnego (?) MBP, którzy nie zrobili również nic, aby naprawić swój błąd. Tylko czy trzeba aż interwencji prasy, żeby rozwiązać taki problem?

Pani **Longina B.** dziwi się, że po trwającej trzy tygodnie wymianie rur w instalacji gazowej na ulicy Żwirki, w budynku, gdzie mieszka, wciąż jeszcze nie ma gazu, co jest kłopotliwe, zaś w sąsiednim, gdzie mieści się piekarnia, gaz już jest od kilku dni.

Pani **Halina B.** z ulicy Studziennej na Starych Chojnach pyta zaś, dlaczego w okolicy wciąż nie ma wodociągu i wodę rozwozi się beczkowozami? Co ciekawsze, tuż obok instalowane są hydranty dla straży pożarnej, zaś o mieszkańcach sąsiednich domów zapomniano.

No cóż, redakcja tego nie wie. Być może są jakieś uzasadnione powody, a być może powzięto niewłaściwe decyzje, albo też zaniedbano obowiązki? Jak by jednak nie było, ludzie powinni wiedzieć to nie od nas, ale od wykonawców wyżej wymienionych prac. I dziwić może, że informacji takich nie potrafią udzielić, choć, naszym zdaniem, powinni.

Podobny problem ma pan **Mariusz G.**, który w połowie marca złożył podanie o przydział działki budowlanej i mimo że odpowiedź na nie, zgodnie z przepisami, powinien otrzymać w ciągu dwóch miesięcy, do dziś nie może dowiedzieć się niczego w Wydziale Geodezji przy ulicy Solnej. Rację ma pan Mariusz G., iż jest to typowy przejaw lekceważenia obywatela. Terminów należy dotrzymywać, zwłaszcza jeśli wymaga się tego od innych. Tylko znów — czy „Odgłosy" mają przypominać to urzędnikom państwowym? Czy o tak podstawowym obowiązku wobec petentów nie powinni oni wiedzieć sami?

Nieco więcej miejsca i uwagi warto natomiast chyba poświęcić dwóm sprawom dotyczącym wyborów i tego, co się wokół nich dzieje, a co budzi nie tylko powszechne zainteresowanie, ale i — niemałe emocje.

Pierwsza z nich, to decyzja nowego prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji, **Jerzego Urbana** o zatrzymaniu oświadczenia rzecznika prasowego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie **Janusza Onyszkiewicza**, które w ubiegłym tygodniu miało być przedstawione przed kamerami telewizji. Otóż zdaniem naszego Czytelnika, pana **Rajmunda D.**, była to decyzja błędna i kompromitująca, nade wszystko zaś — jawnie sprzeczna z deklarowaną przez władze polityką jawności w środkach masowego przekazu, oraz — z ideą porozumienia narodowego.

Kiedy wreszcie — pytał pan **Rajmund D.** w imieniu swoim i szerokiego grona znajomych — przestanie się traktować społeczeństwo jak małe dzieci, które o jednym powinny wiedzieć, o innym nie? Czego bał się Jerzy Urban? Prawdy? Jeśli tak, to rzecz nie wymaga dalszego komentarza. Nieprawdy? Mógł przecież z Januszem Onyszkiewiczem polemizować, wyjaśnić, jak rzeczywiście było i przysporzyć w ten sposób jeszcze punkt koalicji! Niestety wybrał najgorsze wyjście. I to jest jego wielki błąd.

Głos pana **R.Z.** był z kolei polemiką i uzupełnieniem tego, co napisał Lucjusz Włodkowski w poprzednim numerze „Odgłosów" na temat frekwencji w pierwszej turze wyborów. A napisał — przypomnijmy — między innymi tak:

„Można się domyślać, kto nie poszedł do wyborów. Zapewne ludzie chorzy, leniwi, obojętni na wszystko, ludzie w podróży i temu podobnie. Ale to niczego nie wyjaśnia. Nie poszli ci, którzy nawoływali do bojkotu wyborów, jak na przykład Federacja Młodzieży Walczącej, czy któryś bodajże z odłamów PPS, a jest ich już trzy. Ale to też jeszcze wszystkiego nie wyjaśnia. Nie wypełnia treścią owych 38 procent.

Niektórzy są skłonni przypuszczać, że mieszczą się w tej grupie ludzi przede wszystkim przeciwnicy wszelkich reform, a więc ludzie nastawieni konserwatywnie, ci, których nazywamy „betonem" i to nie tylko należący do PZPR, ale i do innych ugrupowań koalicji i opozycji. Byłbym skłonny do takiej koncepcji przychylić się".

Otóż zdaniem pana **R.Z.** i to też nie wyjaśnia jeszcze wszystkiego, gdyż on na przykład nie był ani chory, ani w podróży, nie nawoływał do bojkotu i nie jest przeciwnikiem reform, a udziału w pierwszej turze wyborów również nie brał. Dlaczego?

Pan **R.Z.** należał do PZPR. W 1985 roku w jednej z komisji wyborczych był mężem zaufania i po obliczeniu wyników — rzetelnym — złożył swój podpis na protokole. (I wydawało mu się, że wszystko jest w porządku, gdy tymczasem w kilka dni później na naradzie w komitecie partii dowiedział się, iż wyniki głosowania w jego obwodzie były zupełnie inne od tych, które on uwierzytelnił swym podpisem. Nie odezwał się wtedy, nie powiadomił nikogo o dokonanej manipulacji, czuł jednak wyrzuty sumienia. Czuł się współwinnym. Stracił też zaufanie do swojej partii. Dlatego 4 czerwca 1989 r. nie mógł głosować na jej kandydatów. Ale nie mógł również głosować na ludzi „Solidarności", gdyż ich program go nie przekonuje. Nie głosował więc wcale, uważając, iż tak będzie najlepiej.

I takich jak ja — powiedział — było z pewnością więcej. Nie są to przy tym ludzie obojętni, leniwi, czy tzw. beton. Są to ci, którym nie dano możliwości wyboru w zgodzie z własnym sumieniem i poglądami. Dlatego wywody Lucjusza Włodkowskiego wymagają co najmniej uzupełnienia.

Wysłuchał i zanotował: PAWEŁ TOMASZEWSKI

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

SEDES kompakt, umywalkę, nóżkę, glazurę, terakotę mrozoodporną — kupię. 32-09-63. 36376-g.

KUPIĘ suporex cement. 33-93-36 po 18. 51-23-21. 36115-g.

MLEKO kozie — sprzedam. Bedoń. Brzezińska 62. 35666-9.

SPRZEDAM zestaw maszyn do produkcji włóknin igłowanych — ocieplacza. 1 Maja 71. 36178-g.

USŁUGI

WYRÓB artykułów z tworzyw sztucznych, sitodruk, płytki, współpraca, kooperacja. Łódź 87-99-18. Pałczyński. 36280-g.

POLECAM koszule, spodenki. Zarzewska 9. Kuziemski 84-47-79. 35715-g.

WYPOŻYCZALNIA magnetowidów 74-82-92 Woźniak. 23010-g.

DOBRA znajomość konstrukcji i modelowania odzieży — oczekuję propozycji. Listy 36419 Biuro Ogłoszeń Piotrkowska 96.

RÓŻNE

HAMBURG — trzydniowe pobyty „Sartour" 36-31-54, Sienkiewicza 101/109. 31912-g.

MATRYMONIALNE

ATRAKCYJNE oferty panów z RFN, „Samanta" 59-850 Świeradów Zdrój, skrytka 13. 30566-g.

WEEKENDY autokarowe Wiedeń, Berlin Zachodni „Sartour" 36-31-54. 31913-g.

KOLONIE i wczasy nad morzem i w górach. „Sartour" 26-31-54. 31914-g.

WIELOBRANŻOWE PRZEDSIĘBIORSTWO „CENTROPOL" Spółka z o.o. w Łodzi (jednostka gospodarki uspołecznionej)

Z A T R U D N I

natychmiast:

- **ZASTĘPCĘ DYREKTORA CENTRALI ds. budowlanych**
- **MENEDŻERÓW na funkcje kierownicze i samodzielne w centrali przedsiębiorstwa i jednostkach terenowych**
- **AGENTÓW, organizatorów działalności gospodarczej różnych specjalności.**

Oczekujemy ofert od osób młodych i energicznych pragnących się sprawdzić w nowych warunkach działalności gospodarczej.

Oferty winny zawierać wstępny program działania i „kwestionariusz osobowy"

Oferty kierować: **91-101 Łódź 52 skrytka pocztowa 86.**

4151-k

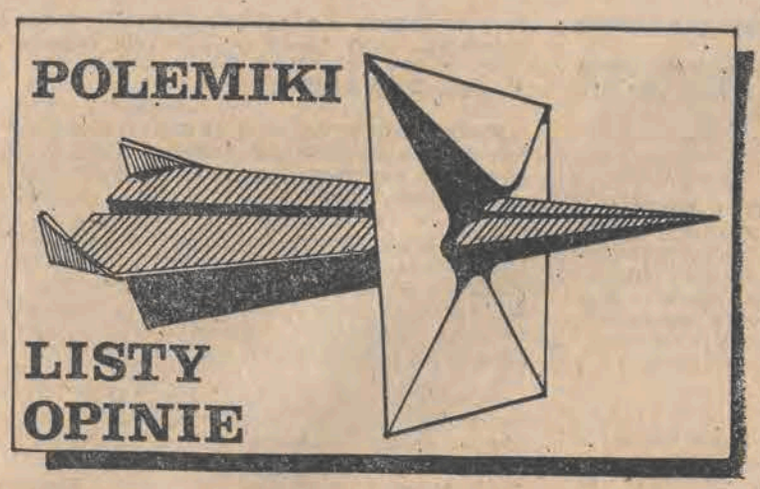

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

CO DZIŚ W POLSCE ZNACZY ROBOTNIK?

Przemysław Wójcik nie skorzystał z prawa publicystyki — do zatytułowania swej książki w sposób rzucający się w oczy, zachęcający do czytania. Tytuł *„Położenie i aspiracje klasy robotniczej"* myli człowieka poszukującego książki o szerokim oddechu i takim spojrzeniu na wiele spraw współczesnej Polski przełamujących się w jednej klasie.

Książka Przemysława Wójcika ze względu nie tylko na tytuł ogranicza krąg czytelników, a czytana być powinna nie tylko przez socjologów i polityków społecznych, ale także z przyczyn od autora niezależnych — jak wysokość nakładu: 1000 egzemplarzy. Szkoda, że wiele „gadających o robotnikach głów" do książki nie dotrze, chyba, że wydana byłaby w tak zwanym drugim obiegu. A może nakład ograniczono ze względu na zbyt „odważne" (w okresie recenzjowania i składania do wydawnictwa) i „nieulizane" poglądy autora wypowiadane w książce, a może z jeszcze innych przyczyn?

Aby moje zastrzeżenia były czytelne, przytoczę spis treści pięciu rozdziałów książki, z których tylko dwa uzasadniają jej tytuł.

Rozdział I — *„Marksizm a klasa robotnicza"*, zawiera przemyślenia z odczytywania Karola Marksa w sprawie humanizmu socjalistycznego, alienacji pracy i płaszczyzn jej przezwyciężenia, oraz współczesnych a nie historycznych aspektów alienacji. W części zatytułowanej *„Spory wokół roli klasy robotniczej w PRL"* pisze: *„(...) chcemy zwrócić uwagę na pewien specyficzny sposób traktowania ideologiczności. Sprowadza się ona do swoistej wiary w słuszność światopoglądu (...)"* i dalej: *„Pochodną myślenia ideologicznego jest fanatyzm. Fanatyk wie i nie musi wiedzy zdobywać. Rzeczywistość może mu najwyżej psuć obraz, ale nie samopoczucie, ma bowiem gotowy schemat, do którego wtłacza wygodne fakty. Kryteria wartościowania ludzi służą głównie do policzkowania inaczej myślących. (...) Ludzie ideowi nie boją się osądu społecznego, fanatycy potrafią jedynie osądzać i odsądzać innych"*.

W kwestii alienacji pracy autor wypowiada w moim przekonaniu dyskusyjną opinię dotyczącą różnic pomiędzy tak zwanymi *„zawodami z wyboru"* i *„zawodami z konieczności"*. W zawodach z wyboru, którymi są zawody inteligenckie, zdaniem autora profesjonaliści mają większe szanse ucieczki od *„nadmiernej wyjaławiającej specjalizacji"*, natomiast szans takich nie mają wykonawcy zawodów z konieczności tj. robotnicy. Podział na zawody z konieczności i z wyboru nie ma żadnego ani teoretycznego ani empirycznego uzasadnienia i ma walory ideologiczne. Zawody zawsze są wybierane, szczególnie we współczesnej Polsce, gdzie nawet ziemia nie była do niedawna zostawiana spadkobiercom. Dzieci robotnicze wybierają zawody podobne jak dzieci inteligenckie czy chłopskie, a jeżeli wybierają zawody robotniczo-rzemieślnicze znacznie częściej niż dzieci inteligenckie, to przyczyny tego stanu są nieobecne w rozumowaniu autora.

W tym samym rozdziale autor o stosunku człowieka do pracy pisze: *„Chociaż potocznie mówi się, że każdy pracuje dla siebie, trudno o większy fałsz i nonsens. Każdy dla siebie tylko zarabia, a pracuje się wyłącznie dla innych"*.

Rozdział II poświęcony etosowi rewolucji w Polsce i sporom o kwestię robotniczą w nawiązaniu do początku II Rzeczypospolitej zawiera także omówienie generacyjnych osobliwości sytuacji klasy robotniczej w PRL.

Autor wyróżnia 3 generacje klasy robotniczej w PRL. Pierwsza: o silnej tradycji zawodowej, wysokim szacunku dla dobrej roboty, to ludzie wspólnie przeżywający lata wojny, okupacji, walki o tworzenie władzy ludowej, aparatu władzy, związków zawodowych.

Druga rozpoczęła pracę w warunkach planu 6-letniego.

Trzecia — to aktualne grupy 20—30-latków, charakterystyczna ze względu na udział w „Solidarności". Tworzy ona trzon „Solidarności" i partii. Sądzę, że stanowisko to powinno być lepiej przemyślane. O ile w moim przekonaniu 20—30-latkowie w 1980—81 roku stanowili trzon „Solidarności", to nie tworzyli trzonu partii (tak wynika choćby z moich badań). Nie znam dowodów uzasadniających zdanie, że obecni 20—30-latkowie (ludzie, którzy w 1980 roku mieli 12—22 lata) stanowią trzon partii. „Solidarnościowcy" z 1980 roku są już 30—40-latkami, a w partii młodzieży ciągle mniej.

W rozdziale III, od którego pochodzi tytuł książki, omówione są stosunkowo aktualne dowody położenia klasy robotniczej. Rozdział ten uzupełniony informacjami z badań na ten temat zawartymi w referacie Bronisława Gołębiowskiego wygłoszonym na III Ogólnopolskiej Konferencji Ideologiczno-Teoretycznej pt. *„Interesy i wartości robotnicze, a reformy ekonomiczne i polityczne lat osiemdziesiątych"*. Wynika z nich, że robotnicy w PRL zyskali bardzo niewiele, w każdym razie dużo mniej niż robotnicy w rozwiniętych krajach kapitalistycznych, choć nominalnie są klasą rządzącą.

Jeżeli porówna się położenie robotników przed wojną i obecnie, to można odnotować znaczące zmiany pozytywne. Jeżeli do porównań wybierze się sferę oświaty, to niewątpliwie młode pokolenie robotników jest znacznie lepiej „oświecone". Od lat wchodzą do pracy technicy-robotnicy, absolwenci technikum (13 lat nauki) szkół zawodowych (11 lat nauki) i tu można wskazać na znaczące osiągnięcia. Jeżeli porówna się stopień zaspokojenia potrzeb materialnych, to postęp jest widoczny, ale współczesny młody robotnik nie porównuje swego życia z życiem dziadka, ale z życiem swego rówieśnika z wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych i wysnuwa z tego wnioski.

W tej części autor stwierdza, że klasa robotnicza jest rzeczywistą siłą i bazą PZPR, choć żadnych materiałów potwierdzających to zdanie nie przytacza. Zdanie to wielu czytelników może uznać za nie udokumentowane, choć nie znaczy to, że w pełni nieuzasadnione lub nawet tylko częściowo prawdziwe.

Rozdział IV zatytułowany *„Spory o program dla Polski i kształt struktury społecznej"* jest znacznym wyprzedzeniem treści X Plenum KC PZPR z przełomu 1988—89 roku. Zawiera ciekawe przedstawienie dyskusji nad kształtem Polski pożądanej w aspekcie historycznym i współczesnym. Relacjonując dyskusję z lat powojennych i przedstawiając realia gospodarcze, autor wskazuje na zawodność mechanizmu ruchliwości pionowej.

Jak na polityka społecznego przystało, wypowiada swój pogląd na kwestię rozbudowy potrzeby posiadania, konsumpcji prestiżowej, wskazując na nie jako na powód wzrostu napięć społecznych w przeszłości. Czy model konsumpcyjny lat 70. nie powtarza się w formułowanym obecnie modelu dla lat 90?

W tej części książki P. Wójcik formułuje następujące wnioski dla partii.

„Po pierwsze — partia musi mieć demokratyczny program na czas kryzysu i na okres wychodzenia z kryzysu. Po drugie — partia musi zorganizować układ sił zdolny zrealizować taki program. Po trzecie — partia musi tworzyć system kontroli partyjnej, społecznej, państwowej, by elitarne warstwy i grupy znów nie wymanewrowały partii; klasy robotniczej i większości narodu".

Rozdział V zatytułowany *„Problemy podmiotowości klasy robotniczej"* zawiera problemy samorządu pracowniczego (nadzieje i niepokoje), problemy i dylematy ruchu zawodowego, artykulacje interesów robotniczych w społecznej polityce PRL, oraz część zatytułowaną *„Partia a klasa robotnicza"*. Tego rozdziału nie można nazwać pracą naukową. Autor staje się publicystą, wspominając i wspomagając się doświadczeniami z roku 1982, w odniesieniu do odbudowywania ruchu związkowego, formułuje programy, werbalizuje zalecenia, używając języka pełnego kwiecistych porównań.

Przemysław Wójcik jest badaczem o temperamencie działacza, łączącym argumenty naukowe z zakresu filologii, polityki społecznej i socjologii ze swadą poblicysty wypowiadającego się w sposób interesujący, angażujący czytelników. Zaangażowanie autora w problemy klasy robotniczej powoduje, że tworzy jej obraz mocno wyidealizowany, jest robotofilem nie widzącym jak bardzo ludzie określani wspólnym rzeczownikiem *„robotnik"* są zróżnicowani, a nierzadko skłóceni, a łącząca ich więź nie jest więzią klasową a terytorialną i zawodową. W tej klasie są ludzie sprzedający za różną zapłatę swoją siłę roboczą, opłaceni za własny lub zbiorowy wysiłek lub za fizyczną obecność w miejscu pracy, spowodowaną nie tylko niechętnym stosunkiem do pracy, ale często złą jej organizacją, dekapitalizacją, brakiem surowców, energii, marzący o tym, żeby dużo zarobić, żyć dostatnio obojętnie w jakim ustroju, pracować na własny rachunek czyli stać się członkiem drobnomieszczaństwa, ludźmi dającymi się *„manipulować"*, podlegającym zniechęceniu i apatii, zmęczonymi, utrudzonymi, bojącymi się starości, podobnie zresztą jak członkowie pracujących na państwowych posadach innych klas społecznych.

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

SMUTNA KARTKA Z ZAKOPANEGO

Zakopane. Pełne turystów i wycieczkowiczów o każdej porze roku, trudno tu mówić o martwym sezonie, choć od kwietnia do czerwca i od października do grudnia fala gości jakby malała. Oprócz zimowych i letnich najazdów miasto przeżywa chwilowe „dogęszczenie" w okresach, kiedy przypada kilka dni wolnych od pracy i nauki. Już na pierwszy rzut oka, na podstawie stroju, wyposażenia i zachowania, można określić kto przyjechał w góry a kto do Zakopanego.

Szczęście, że Łódź ma dogodne połączenie kolejowe z Podhalem (w przeciwieństwie do Bieszczadów), bo na przykład osobowy pociąg z Krakowa do Zakopanego pokonuje 100 km w... 5 godzin. A skoro mowa o kolejach — od 10 czerwca 1989 r. ma ruszyć po remoncie kolejka na Kasprowy Wierch, natomiast na Gubałówkę od 12 maja jeździ nowy, czerwony wagonik z przyciemnionymi szybami i automatycznie zamykanymi drzwiami. Cena normalnego biletu w obie strony — 300 zł.

Przeciętny koszt noclegu w kwaterze prywatnej (tak było w maju, co będzie w lipcu trudno przewidzieć) wynosi 2 tys. za dwuosobowy zimny i ciemny pokój w podpiwniczeniu, a 2,5 — 3 tys. za piętro. W sezonie górale wychodzą skoro świt na stację, żeby „złapać" wysiadającego z pociągu potencjalnego lokatora, teraz gospodarz wynajmujący klitkę, dumnie nazywaną pokojem, potrafi powiedzieć *„się nie podoba, to do hotelu!"*. Z meldowaniem bywa różnie — nieuczciwi gospodarze nocują turystów po cichu nawet przez kilka dni, a pieniądze biorą sobie do kieszeni, tłumacząc, że legalnie im się nie opłaca.

Nie można powiedzieć, żeby ceny kwater prywatnych były szczególnie wygórowane, zwłaszcza jeśli porówna się je ze stawkami obowiązującymi w „Domu Turysty": pokój 28-osobowy — 900 zł za dobę dla jednej osoby, pokój 12—16-osobowy — 1100 zł, pokój 6—8-osobowy — 1400 zł (po odliczeniu 25 proc. zniżki dla członków PTTK). Tzw. podłoga, czyli prawo nocowania na własnym materacu i we własnym śpiworze na podłodze, w schronisku „Murowaniec" na Hali Gąsienicowej (na razie w remoncie) za pierwszą noc wynosi 1100 zł, a za następną już 2000 zł. Sposób na rozładowanie tłoku i zapobieganie rozdeptywaniu Tatr?

Zaopatrzenie sklepów jest przeciętnie dobre, przybyszowi z Łodzi może nawet wydać się imponujące. Butiki — jak wszędzie — z roku na rok coraz więcej. Specyfiką górską są butiki dla narciarzy. Z Zakopanego obowiązkowo trzeba wywieźć jakiś souvenir. Najlepsza będzie ciupaga. Mała kosztuje 600 zł, większa z okuciami 1200-1500 zł, superozdobna, wypalana autentyczna ciupaga oferowana jest za... 15 tysięcy. Imię właściciela góral wycina na poczekaniu gratis. Wyroby z owczej wełny i skóry nie różnią się w cenie od tych sprzedawanych na „Górniaku" i na rogu Andrzeja Struga i Piotrkowskiej. Kto nie ma siły pójść w góry, może chociaż na nie popatrzeć — podziwianie pięknych widoków przez lunetę możliwe jest za jedyne 40 zł, przez duży teleskop — dwa razy drożej.

Gastronomia na pewno nie jest słabym punktem Zakopanego. Dużo tam różnorodnych lokali. Ostatnio przybyła nowa (?) prywatna karczma „Radykalka" (przed Gubałówką) z efektownym, typowym góralskim wystrojem, malowidłami na szkle, młodymi kelnerkami w regionalnych strojach i z obłędnymi cenami. Czerwony barszczyk z krokietem — 500 zł, zupa juhaska (jarzyny + zacierki) — 400 zł, pieczeń wołowa, ziemniaczane puree i bukiet surówek — 1500 zł. Rycząca na cały regulator góralska muzyka z aparatury stereofonicznej ma zapewne wzmagać apetyt gości.

Niestety lokale w Zakopanem pracują maksymalnie do godziny 21. Muzeum Tatrzańskiemu też jakby na gościach nie zależało — w poniedziałki i wtorki jest nieczynne, a w niedziele otwarte tylko do południa. Na starym cmentarzu ktoś wyręczył czynniki oficjalne i na własną rękę postawił przy budzącym kontrowersje nagrobku drewnianą tabliczkę z wypalonym napisem „tu POWINIEN leżeć Stanisław Ignacy Witkiewicz".

Osobny rozdział w zakopiańskim krajobrazie stanowi dworzec kolejowy. Jak mało gdzie znajduje się na nim tablica ogłoszeń dla podróżnych, na której turyści mogą zostawiać informacje dla znajomych. Jak przystało na koniec XX wieku, w kasie stoi komputer, szkoda tylko, że pani obsługująca tę skomplikowaną maszynerię nie ma o niej zielonego pojęcia. Tragicznie brudny bar dworcowy, serwujący herbatę dla niewidomych (taka lura) usytuowany jest naprzeciwko stacyjnej toalety. Wyziewy z obu przybytków łączą się ze sobą w przedziwny bukiet, ale w razie czego — jest blisko.

Nad miastem unosi się jak zwykle gęsty smog, śmierdzi dymem i spalinami, wkrótce przez Krupówki zacznie przewalać się tłum przyjezdnych. Ale mimo cen, mimo miejskiego smrodu i tłoku Zakopane coś w sobie musi mieć, skoro co roku przybywają do niego tysiące gości, skoro wraca tam każdy, kto choć raz zawitał do kotliny między Giewontem i Gubałówką. Gdy miasto zmęczy, zawsze można uciec w góry, choć i tam coraz brudniej i tłoczniej.

MONIKA MATUSZAK

Z GUSTAWEM MORCINKIEM SPOTKAŁEM SIĘ W WILNIE

Był to — o ile sobie dokładnie przypominam — rok 1937. Latem tego roku wśród nas, uczącej się młodzieży wileńskiej, rozeszła się wieść, że do Wilna, aż tam gdzieś het z dalekiego Śląska, przybywa głośny pisarz — Gustaw Morcinek.

Na spotkanie z pisarzem, w oznaczonym dniu wybraliśmy się wielką gromadą. Spotkanie odbyło się w siedzibie Związku Literatów Polskich w dawnym klasztorze Bazylianów, przy ulicy Ostrobramskiej, w słynnej celi Konrada, w której „umarł Gustaw a narodził się Konrad". Na prawej ścianie dawnej celi więziennej, teraz siedzibie literatów czerniał dobrze widoczny napis: „hic natus est Conradus". W głębokim spokoju zajęliśmy miejsca oczekując pojawienia się gościa ze Śląska. Wszedł pogodny, uśmiechnięty, witając się z nami serdecznie. Z zapartym tchem słuchaliśmy pisarza, snującego przed nami stare, nie znane nam, ciekawe legendy górnicze, a gdy skończył zwarcie go obstawiliśmy, liczne zadając pytania.

Przecisnąłem się do przodu, podałem pisarzowi jedną z jego książek prosząc o autograf. Gustaw Morcinek z właściwym sobie uśmiechem podpis swój złożył, a potem serdecznie mi rękę uścisnął.

I takie to było moje pierwsze spotkanie z Gustawem Morcinkiem w Wilnie. Drugi raz, już po wielu latach, w trakcie swoich dziennikarskich wypadów, spotkałem się z pisarzem w jego mieszkaniu w Skoczowie. Spędziliśmy tam dłuższy czas na interesującej pogawędce, po której obdarowany zostałem przez pisarza jego zdjęciem z odręcznym autografem. Nie przypuszczałem wówczas, że w kilka lat po tym, w roku 1987, będę brał udział w uroczystym odsłonięciu jego pomnika na jednym z placów w Skoczowie.

WACŁAW OLASIKOWICZ
(Tomaszów Mazowiecki)

NA RADOGOSZCZU NIE JEST DOBRZE

Zaimponował mi mój polemista dociekliwością, wyliczając wszelkie punkty sprzedaży na osiedlu Radogoszcz Wschód i Zachód. Tak licząc można zahaczyć i o Zgierz, bo i tam docieram w poszukiwaniu podstawowych produktów żywnościowych.

Może liczyć nie umiem, ale nie interesują mnie sklepy i kioski „Ruchu", do których muszę dojeżdżać, bynajmniej nie własnym samochodem, a tramwajem lub rowerem. W dalszym ciągu z całym przekonaniem i odpowiedzialnością utrzymuję, że w pobliżu mojego bloku (ul. Telimeny) nie ma w tej chwili ż a d n e g o sklepu spożywczego, nie licząc papierniczego i ostatnio otwartej cukierni.

Bardzo mnie cieszy, że aż tyle sklepów inni mają do dyspozycji, mieszkając — jak sądzę — w okolicach ul. Nastrojowej, która według mnie właśnie leży w głębi osiedla. Tylko skąd w takim razie to stanie godzinami w kolejkach, które są zapewne również udziałem mego polemisty.

Narzekać będę nadal, bo:

1) świat zawdzięcza postęp niezadowolonym;

2) jeśli wracając z pracy zastaję większość odległych sklepów pustych lub zamkniętych, jeśli w pięknych, dopiero co otwartych „Delikatesach" przy odległym Placu Słonecznym, nie mogę kupić ani mleka, ani nawet chleba i w dodatku z tych chybionych, dalekich wypraw muszę, pokonując kałuże lub piach i liczne krawężniki (barier architektonicznych dla inwalidów i małych dzieci na osiedlu nie brak) tracić na dotarcie do domu 10—15 minut, to bardzo dziękuję, ale nie będą mnie cieszyć nawet najliczniejsze, tak daleko usytuowane, sklepy.

Chyba trudno się dziwić, że zmęczona dalekimi wędrówkami (lub dojazdami) w poszukiwaniu podstawowych artykułów żywnościowych, staniem w kolejkach i dźwiganiem zdobytych trofeów (do nich ostatnio zaliczam np. mleko) nie mam już sił ani ochoty na chwycenie za łopatę, by zrobić jeszcze coś dla środowiska. Czy wychowywanie dziecka, troska o ciepło ogniska domowego (by syn i chory mąż chociaż we własnym domu czuli się dobrze), rzetelna praca zawodowa (która jest obecnie równoznaczna z często nieudanymi próbami realizowania zakupów poza godzinami pracy), troska o mienie społeczne — to niedostateczne dowody mojej odpowiedzialności?

Kobiety z Radogoszcza-Wschodu i tak w dalszym ciągu wożą swoje dzieci do odległych przedszkoli, dźwigają zakupy „z miasta", stojąc na jednej nodze w przeładowanych do granic wytrzymałości — ale nie ludzkiej — środkach MPK i żadne wyliczanki na papierze ich nie satysfakcjonują, i co gorsza — nawet dla dobra swego środowiska nie mają siły chwycić za pióro, bo mogą się wówczas dowiedzieć, że są nieodpowiedzialne i piszą nieprawdę.

ELŻBIETA MIELCZAREK-PANKIEWICZ

Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Bałuty w związku z zamieszczonym w nr 20 „Odgłosów" z 14.05.89 r. listem Elżbiety Mielczarek-Pankiewicz w części dotyczącej Przychodni Rejonowej nr 11 przy ul. Motylowej 4 wyjaśnia:

— zmiana rejestratorek odbywa się o godz. 14, natomiast wydawanie wyników badań laboratoryjnych od godz. 16. Z listu wynika, że pacjentka była tam najprawdopodobniej już o godz. 14 w czasie zmiany pracowników.

— do obowiązków rejestratorek należy nie tylko załatwienie pacjentów, ale również dbałość o ich dokumentację lekarską oraz prawidłowe prowadzenie kartoteki,

— pomyłki w nazwisku zdarzają się, ale sprawę można na bieżąco skorygować,

— istotnie w czasie obecności pacjentki w poradni jedna z pielęgniarek przeprowadzała prywatną rozmowę telefoniczną, która winna być skrócona do minimum,

— jeżeli zaistniał fakt palenia papierosów w przedsionku poradni wbrew zakazowi, to uczynili to niesforni pacjenci. Spotyka się to zawsze z ostrą reakcją pracowników, chyba że w danym momencie nikt tego nie zauważył.

Dyrekcja ZOZ Łódź-Bałuty ubolewa, że również w tym dniu w placówce służby zdrowia zaistniała taka nieprzyjemna sytuacja.

BIEG PO NAGRODY

DLA POETÓW otwiera się szansa zdobycia nagród w dwu konkursach poetyckich organizowanych przez łódzki oddział Związku Literatów Polskich. Żeby zdobyć nagrody, a jest ich aż 9 w obu konkursach, w tym jedna dla autora najciekawszego tomiku poezji, trzeba pod adresem: **Związek Literatów Polskich Oddział Łódzki, Łódź, al. Adama Mickiewicza 15** — nadesłać nie publikowany debiutancki tomik składający się z 40 wierszy lub zestaw 3—5 wierszy. Tomik opublikowany w 1988 i 1989 roku wybierze jury. Nadsyłane prace należy oznaczać godłem i nadesłać je do **16 lipca 1989 roku.**

DLA RYSOWNIKÓW SATYRYKÓW ogłoszono konkurs w Bełchatowie. Temat: energetyka. Adres: **Redakcja dwutygodnika „Megawat", Elektrownia Bełchatów, 97-406 Bełchatów.** Dopisek: **„Konkurs".** Termin nadsyłania: **15 sierpnia 1989 roku.** Termin ogłoszenia wyników: 30 sierpnia 1989 roku. Najwyższa nagroda: 70.000 złotych. Wyróżnienie: 10.000 złotych.

REDAKCJA — CZYTELNICY

RAJMUND R. NOWAKOWSKI, Łódź. Staramy się unikać publikacji „listów otwartych". Zapanowała obecnie moda na pisanie takich listów. Nie wszystkie one zasługują na publikację, często są wynikiem nieporozumień. Jak Pan zapewne już zorientował się z lektury „Odgłosów" w sprawie podziału w „Solidarności" nie zajmujemy stanowiska. Staramy się jedynie prezentować poglądy obu stron.

TADEUSZ GRZYWACZ, Łódź. Nie rozumiemy Pana pretensji na temat publikacji o Katyniu i obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Staramy się prezentować różne materiały na ten temat, jakimi tylko dysponujemy. „Życie Literackie" publikuje w odcinkach obszerne fragmenty książki „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów", która na Zachodzie miała kilka wydań, a która ma się również ukazać w Polsce. Lada dzień powinna się ukazać „Lista katyńska". Każdy więc może wybrać sobie takie publikacje, które go zainteresują.

JAN KABAT, Łódź. Zgadzamy się, że powinny już dawno zniknąć z bram wielu budynków fabrycznych tabliczki zakazujące fotografowania, gdyż jest to — delikatnie mówiąc — śmieszne. Ale takie tabliczki nie znikają. Wiszą nadal. Trudno się nawet dowiedzieć, kto zezwala na ich zawieszanie.

Popieramy również pomysł, aby na placu Norberta Barlickiego ustawić przy przystankach ławki dla oczekujących na autobusy.

REDAKTOR DYŻURNY

Dziennik Macieja Łukowskiego z realizacji filmu: „Tryptyk z Ziemi Obiecanej".

Jak powstaje film dokumentalny

Poniedziałek 19.IX.1988 r.

Wśród filmowców istnieje przesąd, że tak jak będzie przebiegał pierwszy dzień zdjęciowy, tak będzie wyglądała cała realizacja filmu. Z tych powodów, taki dzień wydaje się szczególnie ważny. Doświadczenie nauczyło mnie bardziej intensywnej pracy w pierwszym dniu realizacyjnym.

„Tryptyk" ma być filmem składającym się z trzech części, ale jego realizacja trwa równolegle i właściwie nie można wyraźnie oddzielić, gdzie kończą się „Pałace", gdzie zaczynają „Fabryki", a gdzie rozpoczniemy zdjęcia do „Secesji". Miejsce zdjęć decyduje o organizacji materiału.

W pierwszym dniu lokujemy się na parterze w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Postacią uatrakcyjniającą pokazywanie architektury jest Katarzyna, brunetka o długich włosach, za którą podąża mały pudel, przeszkadzający w oglądaniu. Wbiegają kilkanaście razy na schody. Dla nas, ekipy ważny jest moment, kiedy Katarzyna w wybranym miejscu odwróci twarz do kamery i uniesie psa na ręce. Z tego miejsca wędruje na najwyższe stopnie i ginie w sali jadalnej. Dopiero tutaj zaczyna się główna akcja filmu. Chcę dokładnie pokazać tę wspaniałą salę, z którą łączy się wiele anegdot. Zależy mi na uniknięciu typowo oświatowego oglądu, pełnego statycznych ujęć. Kamera nieustannie porusza się, płynnie łącząc kolejne obrazy.

Rozkładamy szyny. Kamera na wózku śledzi Katarzynę, wykorzystując wspaniałą płaszczyznę lustra zabytkowego stołu. Teraz dziewczyna jest i na górze i na dole.

Zbigniew Hałatek, operator współpracujący ze mną już od kilku filmów ma w sobie niezwykły sposób organizacji pracy. Dokładnie wie, jaki efekt artystyczny chce osiągnąć. W skupieniu, taktowanie przekazuje uwagi całej ekipie. Przenosimy się z sali jadalnej do balowej. Kamera próbuje wydobyć cały urok odrestaurowanego wnętrza, kończąc ujęcie na Katarzynie zasiadającej do fortepianu. Ogłupiały psiak posłusznie drepcze za swoją panią. Ze zmęczenia kładzie się na parkiecie koło stołka. Jest to najwspanialsza kreacja dzisiaj.

Wtorek, 20.IX.1988 r.

Jest wcześnie rano. Przed nami kilkanaście godzin pracy. Zaczynamy od zdjęć 100-procentowych. Mamy trzech wspaniałych konsultantów: Joannę Bojarską — jak mówią „Kasztelankę na Herbście", czyli kustosza tworzonego tam muzeum, Antoniego Szrama — dyrektora Muzeum Kinematografii (a dawniej szefa Muzeum Historii Miasta Łodzi) i Wojciecha Walczaka, wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Zaczynamy od kobiety. J. Bojarska komentuje sprawy łódzkiej secesji. Maleńkie studio lokujemy w saloniku teatralnym. Dojazd kamery można ustawić na długiej przestrzeni. Jest to istotne, wszak ruch pozostaje elementem stylistyki filmu. Inż. Jerzy Blaszyński, ten sam, z którym kojarzy się historia dźwięku w Wytwórni Filmów Fabularnych rozstawia mikrofony. Zaczynamy próby. Nagle słyszymy potworne trzaski, skrzypienie podłogi, jęki przesuwającego się po szynach wózka. Cała ta symfonia zagłusza mówiącą. Teraz zaczyna się benedyktyńska praca usuwajaca niepotrzebne efekty akustyczne. Kolejne próby. Coraz lepiej. Wreszcie można przystąpić do nagrania. J. Bojarska wyłania się z oddali. Ten ruch zbliżenia zachowujemy przy każdym jej występie.

Wojciecha Walczaka sytuujemy w innym miejscu. Chcemy uniknąć podobnych kłopotów. W tle jest okno. Wydaje nam się, że tak będzie dobrze.

Z podziwem przyglądam się ekipie oświetlaczy. Dobrze zorganizowani, zdyscyplinowani, błyskawicznie poprawiają każde nieprawidłowe padanie światła. Tu jakaś kalka, tam ekran. Wszystko gotowe. Zaczynamy. Złośliwy powiew wiatru z hukiem otwiera okno unosząc firankę. Zrywa wyrównanie światła. Zaczynamy jeszcze raz. Wojewódzki konserwator wczuwa się w tekst, nabiera właściwego ciepła głosu, aż tu nagle nagrzana kalka, przypięta do okna — zsuwa się, niszcząc całe ujęcie.

Kolejna próba... Musi być dobrze.

Środa, 21.IX.1988 r.

Przewodnikiem po „Pałacach" i „Fabrykach" są rysunki nieżyjącego już Wacława Kondka, wspaniałego łódzkiego grafika i malarza.

Do pani Marii Kondkowej przyjeżdżamy wcześnie rano. Nasza „elektrownia" spóźnia się. Bez światła ani rusz. Wreszcie kabel można przeciągnąć na ostatnie piętro, do pracowni. Zaczynamy zdjęcia. Zbigniew Hałatek szukając najciekawszego ujęcia, wdrapuje się na stół i z góry filmuje przekładane przez panią Kondkową rysunki.

Rezygnujemy z zaplanowanych plenerów. Pogoda jest mało sprzyjająca.

Czwartek, 22.IX.1988 r.

Miejscem zbiórki całej ekipy jest budynek Straży Pożarnej na Księżym Młynie, a dokładnie przy ul. 8 Marca. Zaczynamy sekwencję o historii łódzkiej straży, założonej przez Scheiblerów i Grohmanów. Pierwsze ujęcie jest skomplikowane. Wielki podnośnik unosi kamerę do góry, a w tym czasie otwierają się drzwi strażnicy, z której wyprowadzany jest najstarszy wóz strażacki. Strażacki wehikuł ma pokonać ściśle wyznaczoną trasę. Przygotowany jestem na konieczność wielokrotnych powtórzeń. Próba. Pada sygnał do rozpoczęcia sceny. Śledzimy akcję. Zabytkowy wóz jedzie dokładnie tak, jak ustaliliśmy. Udało się za pierwszym razem.

Piątek, 23.IX.1988 r.

Tempo pracy zaczyna dawać się we znaki. Ten dzień jest zdecydowanie pechowy. Na ewangelickim cmentarzu, przy ul. Srebrzyńskiej są wszyscy z wyjątkiem samochodu ze sprzętem. Dzwonimy do WFF i okazuje się, że kierowca nie przyszedł do pracy. Nagle trzeba znaleźć zastępstwo. Bezproduktywnie czekamy. W międzyczasie Wojciech Walczak oprowadza nas po grobowcach, omawia z nami wszystkie sprawy związane z realizacją. Wreszcie nadjeżdża samochód. Kierowca zostawił kluczyki i samochód, a sam powrócił do Wytwórni. Dalszy ciąg — to już zmartwienie kierownika produkcji.

Filmujemy grobowiec rodziny Grohmanów, Meyera, Kunitzera, dwa grobowce Gayera i największy Scheiblera. Bacznie przestrzegamy dróg kamery, aby montaż był jak najciekawszy.

Tego samego dnia udaje nam się jeszcze nakręcić dachy Pałacu Poznańskiego.

Sobota, 24.IX.1988 r.

Pogoda jest jak na zamówienie, a my mamy w planie realizację wnętrz. Nie możemy już zmienić naszego programu. Do Muzeum w Zgierzu jeździłem kilkakrotnie. Dyrektor Mikołajczyk zawsze przyjmował nas niezwykle serdecznie. Muszę przyznać, że niemal wszystkie muzea bardzo pomogły mi przy przygotowaniu i realizacji tego filmu. Znałem tych ludzi i wiedziałem, że mogę na nich liczyć. Nigdy się nie zawiodłem.

Muzeum w Zgierzu ma specyficzny urok. Tutaj pracuje się niemal w rodzinnej atmosferze. Pani Anna Walaszczyk, która pomagała nam jeszcze przy dokumentacji z przerażeniem przyglądała się licznej ekipie filmowej, rozkładanym szynom, montowaniu wózka i wielkim reflektorom. Przecież tuż obok, na stołach, stoi wspaniała zastawa, porcelana, zabytkowe szkło. Szybko jednak przekonujemy się wzajemnie, że cel jest ten sam.

Dyrektor Mikołajczyk zadbał, aby w trzech salach pełne wyposażenie domu fabrykanckiego było logicznie skomponowane i łatwo dostępne do sfilmowania. Do skarbów w Muzeum w Zgierzu namówił mnie Wojciech Walczak. Przekazał informację, że właśnie tam udało się zakupić wyposażenie domu zgierskiego fabrykanta — Kruszego.

Nigdzie nie widziałem tylu znakomitych drobiazgów, tak charakterystycznych dla dziewiętnastowiecznego wnętrza salonu, sypialni czy kuchni. Aż szkoda, że ta sekwencja w filmie jest taka krótka. Właściwie temu zakupowi powinno się poświęcić cały dokumentalny film telewizyjny.

Filmujemy zmyślny pojemnik na karafki, zamykany na kluczyk, aby służba nie podpijała, porcelanowe motylki zakładane na dziób dzbanka, by ostatnia kropla nie spadła na obrus, popielniczkę z obciążnikami, którą kładło się na poręcz kanapy, aparat do oglądania zdjęć stereoskopowych itd. Siedzimy tam cały dzień. Rolę przewodniczki gra Jolanta Kopania, montażystka filmu.

Niedziela, 25.IX.1988 r.

Film realizujemy bez żadnych przerw. Niedziela jest doskonałym dniem do sfilmowania Piotrkowskiej. Ale najpierw jedziemy na ul. Tramwajową. Tam czeka na nas najstarszy, zabytkowy tramwaj, jaki mógł jeździć o własnych siłach. Zdjęcia tramwajowe, po wybranych trasach prowadzą nas do zajezdni na Brusie. Starsza kobieta nie chce nas wpuścić na teren zajezdni. Ciągle powtarza: „Tu nie wolno fotografować!". Dopiero telefon do zwierzchnika rozwiewa jej wątpliwości.

Trochę opóźnieni spieszymy na Piotrkowską. Musimy uchwycić jeszcze słońce na frontonach kamienic, po parzystej stronie. Kręcimy zdjęcia do części „Słów kilka o łódzkiej secesji". Trzy dziewczyny: Małgorzata, Katarzyna i Edyta wprowadzają w opowieść. Katarzyna prezentuje trzy różne, secesyjne suknie, jej towarzyszki ubrane są współcześnie. Kamera filmuje zbliżające się dziewczyny, a potem unosząc się do góry obejmuje piękną panoramę Piotrkowskiej.

Tuż przed skończeniem się ekspozycji, udaje nam się sfilmować scenę przed wejściem do willi BWA, na ul. Wólczańskiej.

Poniedziałek, 26.IX.1988 r.

W planie mamy zdjęcia lotnicze. Pogoda jest brzydka. Decydujemy się na realizację architektury wnętrz. Obiektem jest Pałac Scheiblera. Zewnętrznych elewacji nie możemy sfilmować. Wszędzie stoją rusztowania, bowiem Muzeum Kinematografii rewaloryzuje swoją siedzibę.

Wtorek, 27.IX.1988 r.

Jeden z trudniejszych dni. Naga Edyta o długich, wspaniałych włosach ma być symbolem kobiety secesyjnej. Mimo, że miała za sobą liczne konkursy piękności i to z efektami, jest niezwykle skrępowana. Jej stres jest widoczny. Staramy się zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa, aby wydobyć naturalność zachowania przed kamerą. Pierwsze ujęcie polega na przeostrzeniu przyrodniczych detali sztuki secesyjnej połączonych z jazdą kamery na ciało rozebranej dziewczyny. Edyta gra coraz swobodniej, ale do końca nie może się pozbyć uczucia zawstydzenia. Ma w sobie urok delikatnej dziewczynki zagubionej w wielkim świecie.

Przenosimy się do Pałacu Herbsta. Zdjęcia zaczynamy od parteru. Możemy filmować tylko te pomieszczenia, w których stan rewaloryzacji zbliża się do finału. Pokazujemy fragment pokoju myśliwskiego, wspaniałą salę balową i urządzenie dwóch pokoi na pierwszym piętrze. Możemy realizować te zdjęcia dzięki pomocy Joanny Bojarskiej. W czasie dokumentacji te pomieszczenia były jeszcze puste.

Środa, 28.IX.1988 r.

Drugi dzień pobytu w „Herbście". Najważniejszą sekwencją filmu jest ta, w której nieznośna córka fabrykanta właśnie poprzedniego dnia wróciła z dalekiej podróży. Porozrzucała ubiory i po przespanej nocy, we własnym łóżku, zabiera się do porządkowania pokoju. Cała ta scena jest jedynie pretekstem do pokazania ubiorów z tamtej epoki. Pani Ewa Sierańska z Muzeum Włókiennictwa wybrała i przywiozła ogromną kolekcję, z której możemy korzystać. Najbardziej sensacyjne są różnorodne majtki: takie z klapą i tylko z nogawkami.

Czwartek, 29.IX.1988 r.

„Tryptyk" realizujemy niemal we wszystkich muzeach Łodzi. Dziś instalujemy się na pierwszym piętrze Muzeum Włókiennictwa. Zaczynamy od gabinetu dyrektora. Jego wyposażenie jest jedynie tłem, w którym umowna postać dziewczyny przegląda stare albumy z próbkami wyrobów łódzkich fabryk. Teraz dopiero widać różnorodność wzornictwa i jakość materiału. Najgorsze jest zawsze przenoszenie się z jednego miejsca na drugie. Obok jest pokój robotniczy, który także wykorzystujemy przy realizacji. Znowu podłączamy światło transportujemy reflektory, układamy szyny. Filmujemy ikonografię — stare sztychy przedstawiają potęgę fabryk, portrety fabrykantów i po raz pierwszy, od czasu wojny wyciągnięto z magazynu dla potrzeb filmu popiersie Scheiblera. Nikt go do tej pory nie filmował.

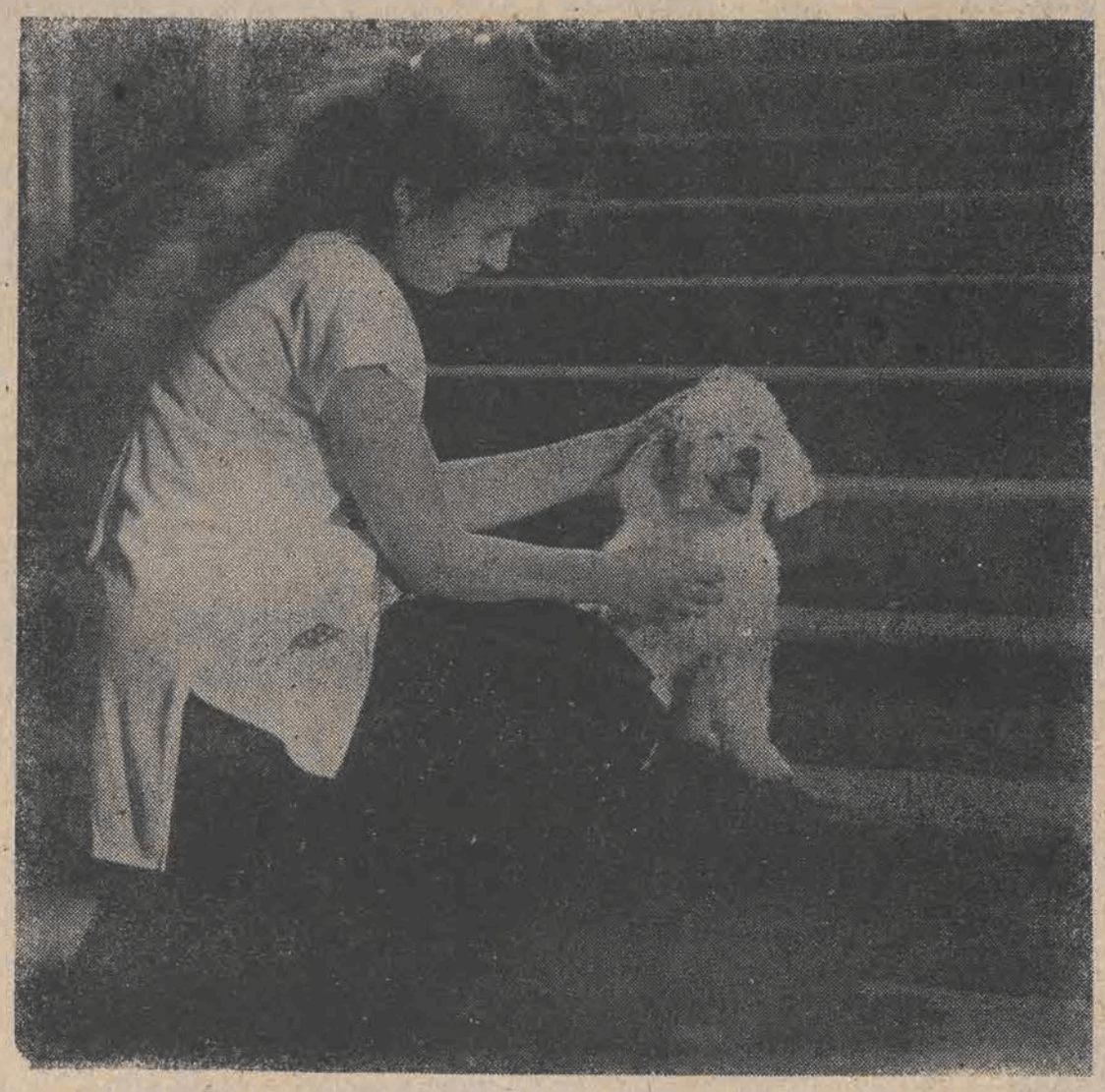

Piątek, 30.IX.1988 r.

Niemal codziennie w godzinach popołudniowych filmujemy kolejne pałace i fabryki. Obowiązuje nas zasada: pałace filmujemy wyłącznie wtedy, kiedy świeci słońce, natomiast fabryki w bardziej ponurej atmosferze.

Rano przyjeżdżamy do Zakładów Scheiblera i Grohmana, czyli do „Uniontexu". Instalujemy aparaturę w starej elektrowni, następnie w sali turbin. Panujący tam hałas i wysoka temperatura wprowadza podenerwowanie ekipy. Chcemy jak najszybciej skończyć tę sekwencję.

Przenosimy się na platformę kolejki wewnątrzzakładowej. Tu doceniamy luksus ciszy i szeroki dostęp powietrza. Mamy do dyspozycji lokomotywę oraz wagon, na którym ustawiliśmy kamerę. Pogoda jest kapryśna. Zaczyna kropić. Nad kamerą rozstawiliśmy wielki ogrodowy parasol i to kolorowe „monstrum" porusza się bocznicami fabryki. Od tej strony stara Łódź z jej Księżym Młynem i magazynami jest inna. Jakby czas zatrzymał się, a mądrość ludzka zadbała, aby nikt nie zlikwidował tego niepowtarzalnego uroku.

Sobota, 1.X.1988 r.

Tempo pracy szaleńcze, ale sobota daje nadzieję na spokojne zajęcie. Dzięki życzliwości dyrektora Bernarda Keplera oddano do naszej dyspozycji całą willę. Bez pośpiechu możemy zatopić się we wspaniałość szczegółów, wygrać dziewczęcość Małgosi, poprzez którą chcemy ułatwić poznanie wnętrza tej „perełki" łódzkiej secesji.

Mamy jeszcze czas na sfilmowanie pałacu Kohna, czyli Szkoły Filmowej, hotelu „Savoy" i kilku kamienic na Piotrkowskiej. Wszystko to z otwartego bagażnika mojego „Poloneza".

Niedziela, 2.X.1988 r.

Znowu jesteśmy na Piotrkowskiej. Przesuwamy się po niej samochodem od al. Mickiewicza aż do Jaracza. Kasia, Małgosia i Edyta grają swoje role.

Nareszcie jest sprzyjająca pogoda do robienia zdjęć lotniczych. Po południu udaje nam się załatwić samolot, w niecałe trzy godziny. Prawdziwy cud. Jako operator leci z nami Andrzej Nawrocki, wyrwany z rodzinnego przyjęcia. Startujemy z Lublinka małą Wilgą. Trochę nami rzuca i nie wiadomo, jak uda nam się zrobić stabilne zdjęcia, przede wszystkim Piotrkowskiej. Chodzi o długi lot wzdłuż ulicy i to na takiej wysokości, żeby było widać nie tylko dachy, ale także jezdnię. Czy nam się uda? Zobaczymy w montażowni.

Poniedziałek, 3.X.1988 r.

Całą ekipą jedziemy do Płocka, do Muzeum Mazowieckiego. Tam realizujemy sekwencję do filmu o łódzkiej secesji. Niestety, brak jest kompletnego wyposażenia wnętrz. W pierwszym ujęciu staramy się oddać atmosferę wnętrz. Przewodnikiem jest Edyta. Sekwencja jest dynamiczna. W krótkich ujęciach (przy pomocy ostrych cięć montażowych) Edyta pojawia się coraz to w nowym stroju. Zaczyna od długiej secesyjnej sukni. Za chwilę jest już w peniuarze, aby na kilka sekund pozostać nagą. I tak w kolejnych pomieszczeniach.

Inscenizujemy także układ kilku obrazów secesyjnych z Edytą w roli głównej. Najdłużej trwa realizacja jazdy pokazującej różnorodność szkła secesyjnego, ustawionego na podłużnym stole. Konieczne jest odpowiednie światło służące nie tylko do oświetlenia pierwszego planu, ale także do przejścia przez barwne szkło. Dość często jakiś refleks światła układa się nie tak jak trzeba. W końcu zrobiliśmy.

Wtorek, 4.X.1988 r.

Kończyły się zdjęcia w muzeum. Jeszcze tylko witraże secesyjne, wielka szafa grająca, mniejsza pozytywka i toaletka Edyty. Tuż po południu likwidujemy plan. Wracamy do Łodzi.

Środa, 5.X.1988 r.

Cały dzień poświęcony robieniu ikonografii. Większość realizowaliśmy wtapiając ją w konkretną scenę, ale teraz sprawdzamy, czy wszystko mamy zarejestrowane.

Czwartek, 6.X.1988 r.

Zbliżamy się do końca. Ostatnie pałace, ostatnie fabryki. Czujemy zmęczenie. Już nie można pracować po kilkanaście godzin. Sprawdza się zasada, że największe tempo trzeba uzyskać na początku realizacji, wtedy łatwiej jest na końcu.

Piątek, 7.X.1988 r.

Ostatni dzień zdjęć. Ta data wam zwala ukończenie zdjęć. Nasz główny bohater — Jerzy Grohman właśnie powrócił z Tunisu. Do Łodzi przyjechał wcześnie rano. Po długich namowach zgodził się, aby sfilmować go na tle jego dawnych własności. Zdjęcia rozpoczynamy od pałacu Scheiblera na Piotrkowskiej. Tu mieszkała ciotka J. Grohmana, tu często przebywał jako dziecko. Dalej droga przejazdu wiedzie przez ul. Tylną jego willa (jest to nieprzerwany od wielu lat remont, który bardziej wygląda na dewastację niż rewaloryzację). Na twarzy Grohmana maluje się przerażenie. Milczy...

Jerzy Grohman jest przewodnikiem drugiej części filmu, która nosi tytuł „Rzecz o fabrykach wspaniałych". Tego dnia filmujemy jeszcze zdjęcia z jego prywatnej kolekcji, nigdzie indziej niedostępne.

Zakończył się okres zdjęciowy. Montaż będzie odbywał się w WFO, to już z przyzwyczajenia. Wszystkie moje filmy były montowane z tą samą montażystką i w tej samej montażowni. Było w tej realizacji coś ciepłego i sympatycznego. Ogromna życzliwość ludzi z łódzkich muzeów. Chciałbym im w tym miejscu gorąco podziękować.

Wybrała i opracowała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Z różnych szuflad

Wiosna poetów sprzed półwiecza

U schyłku 1938 r. francuski astrolog Maurice Privat przewidywał trzy daty fatalne dla przyszłorocznej sytuacji międzynarodowej, a mianowicie: 17 czerwca, 17 września i 17 grudnia 1939 r. Spośród owych trzech dat, jak wiemy, tragiczną okazała się środkowa, bo wtedy właśnie na wschodnie tereny Rzeczypospolitej wtargnęły pierwsze oddziały Armii Czerwonej, przechylając ostatecznie szalę wojny na korzyść Niemców, zgodnie z przewidywaniami Hitlera i Stalina.

Zanim wszakże doszło do tragicznego września, minęło wiele miesięcy, pełnych napięcia, złudzeń i nadziei. Okazało się potem że bliższe prawdy były przepowiednie nie Privata czy Ossowieckiego, ale mieszkańców „poetyckiego miasta" — poetów polskich, wypowiadających się na łamach prasy literackiej przeciw groźbie nadchodzącej wojny. Kończyła się zima, nadchodziła wiosna, wczesna tego roku i nadspodziewanie ciepła.

Strugi marca dudniły w rynnach,
Bębnił w blachy słoneczny hałas,
Płynna wiosna, dygocąc z zimna,
Bazie lodu opłakiwała —

pisał Tuwim w wierszu „Pierwszy dzień", opublikowanym w 4 numerze „Wiadomości Literackich" z 1939 r. Jeszcze nic nie zapowiadało grozy nadchodzących dni kończącego się międzywojnia, a już poeci zaczynali uważniej przyglądać się żołnierzom, maszerującym ulicami miast i miasteczek Cywile spoglądali na nich z dumą, powtarzając słowa wiersza Juliusza Wata:

jakiż kolor wiosennej chorągwi
łopoce, gdy wy maszerujecie!

Inny poeta tamtych czasów, Wojciech Bąk, dostrzegł w zwartych kolumnach wojska siłę, zdolną do powstrzymania wroga:

Żołnierze mej ojczyzny wyruszają z koszar,
Twarze, rzeźbione słońcem, w obłokach ze śpiewu.
Sztandary triumfalne nad nimi trzepocą
W wietrze dumy radosnej, zwycięstwa i gniewu.

Zajęcie Czech i Moraw, aneksja Kłajpedy, wypowiedzenie przez Niemcy paktu o nieagresji z 1934 r., żądania terytorialne wobec Polski, nasilenie akcji V kolumny, expose Józefa Becka na posiedzeniu Sejmu w dniu 5 maja 1939 r. — te wydarzenia nie zapowiadały spokoju w Europie. Jeszcze nie przebrzmiały słowa Becka o tym, że Polacy nie znają pojęcia pokoju za wszelką cenę, natomiast wiedzą, że honor jest najcenniejszą rzeczą „w życiu ludzi, narodów i państw", a już 21 maja 1939 r. na łamach „Myśli Narodowej" poeta Artur Chojecki (1880—1951) pisał nostalgicznie:

Jeszcze raz sad chcę przemierzyć
Spokojnym i równym krokiem,
Jeszcze raz oczy nacieszyć
Kwitnących wiśni widokiem.
Jeszcze raz duszę zachwycić
Kolorem, dźwiękiem i wonią,
Jeszcze się raz chcę zaręczyć
Z białoróżową jabłonią.
Jeszcze posłuchać chcę wilgi,
Turkawki, dzięcioła w lesie,
Zanim się w gromach armatnich
Zła wieść po ziemi rozniesie.
Jeszcze raz pójść między żytem
Znajomą, przyjazną drogą,
Nim świat zapłonie na nowo
Okropną wojny pożogą

Oczywiście nikt nie miał wątpliwości, skąd zagraża niebezpieczeństwo. To tylko dyplomaci usiłowali przed opinią publiczną bagatelizować brunatną hydrę hitleryzmu, prężącą się do skoku przez graniczną miedzę. Kazimiera Iłłakowiczówna (1892—1983) pisała w warszawskim tygodniku literacko-artystycznym „Prosto z Mostu" 18 czerwca 1939 r.:

Piętrzycie się u mych granic grozą,
Jak niedawno nad Sambrą i Mozą,
o Niemcy, Niemcy.
A nad nami — skowronki, a dokoła żyto
u was i u nas jednocześnie zakwitło,
takie same kobieciny po polach pielą.
Potrzeba im tak niewiele
do życia, czy do śmierci. Niewiele jak ptakom.
. . . .
A nie! Wolicie bitkę? Dobrze. Świerzbią ręce.
Nieraz my się zmierzyli, i dziś — darmo straszyć.
Bijmy się, gdy wam nie żal krwi naszej i waszej.
O Niemcy, Niemcy...

Minęły matury, kończono naukę w szkołach, zbliżały się wakacje i sezon urlopowy, na plaże bałtyckie wyległy tłumy mieszczuchów spragnionych słońca i morskiej fali. Tylko poeci spoglądali niespokojnie na zachód i wsłuchiwali się w niesłyszalne dla profanów dźwięki. Iłłakowiczówna pisała w wierszu „Do broni", ogłoszonym w „Myśli Narodowej" 16 lipca 1939 r.:

Urzędnik z biura i ostatni ciura,
i rybak z siecią u toni
słyszą głosy na ziemi i głosy w chmurach:
„Do broni... do broni... do broni..."
I hrabia w pałacu i śmieciarz na placu,
i dziewczyna w cieniu jabłoni
słyszą — choć słyszeć nie mogą —
jak dzwon bije na trwogę:
„Do broni... do broni... do broni..."

Już wkrótce, już za kilka tygodni miały się sprawdzić prorocze słowa poetki. W jednym szeregu obrońców ojczyzny stawał „urzędnik z biura" i „hrabia z pałacu", „ostatni ciura" i dziewczyna spod ciężarnej owocem jabłoni. Wierzono jeszcze, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi do odparcia grożącego niebezpieczeństwa, bo przecież miały nam udzielić pomocy potężne mocarstwa Zachodu, a wschodni sąsiad powinien zachować co najmniej życzliwą neutralność. Poeci wierzyli, że z pomocą sojuszników Polska pokona wrażego sąsiada, który właśnie sposobił pancerne zagony do wtargnięcia na ziemie Rzeczypospolitej:

Więc jak ziemia, której deptać bezkarnie
tym, co chleba z niej nie jedli — nie wolno,
trwaj spokojnie — jest obsiana ziarnem,
co dziś wschodzi pancernie i zbrojno.

Wiersz ten pióra Tadeusza Olaska, zatytułowany „Werbel", ukazał się na ironię w ostatnim, 36 numerze czasopisma „Prosto z Mostu", noszącym datę 3 września 1939 r. W tym samym numerze tygodnika pojawił się również wiersz Kazimiery Iłłakowiczówny „Modlitwa za nieprzyjaciół", w którym poetka demaskowała eksterminacyjną politykę hitlerowców wobec własnego narodu:

Zmiłuj się, Boże, nad Niemcami!...
...nad miotanymi szaleństwem i grozą,
nad zamkniętymi w więzieniach,
nad czekającymi wybawienia
za kolczastym drutem obozów...
...nad niewinnymi i nad ich rodzinami.

Podobny los mieli już wkrótce zgotować narodowi polskiemu i innym narodom Europy hitlerowscy najeźdźcy, którym, jakby w przewidywaniu ich tragicznego kresu, poświęciła poetka końcowe wersy utworu:

...Nad posłusznie idącymi mrowiem ku przepaści
zmiłuj się, Boże, i na zgon namaścij.

ANDRZEJ KEMPA

1

Uwaga, konkurs!

Wybory to teraz główny temat wszystkich publicystów i felietonistów. I trudno się temu dziwić, pierwszy raz odbyły się bowiem takie wybory, a ich wynik zaskoczył chyba wszystkich. Postanowiłem jednak w moim felietonie (poza oczywiście tymi dwoma zdaniami na początku) nic nie pisać o wyborach. Opowiem natomiast taką historyjkę:

Do pewnego kraju (dodam dla ułatwienia, że kraj ten leży w Europie) miała na dwa dni przyjechać pewna osoba, która była zresztą obywatelką tego państwa i tylko czasowo przebywała za granicą. Zadzwoniła więc do swojego znajomego i poprosiła go o wykupienie biletu powrotnego.

Znajomy udał się do lotniczego biura podróży i chciał kupić bilet. Niestety na miejscu okazało się, że aby zakupić bilet należy okazać paszport. Jak się pewnie wszyscy domyślają, było to raczej trudne do wykonania. Nasz bohater, czyli znajomy pani przebywającej za granicą (ale zamieszałem, co?) zapytał, czy wobec tego jego koleżanka może pokazać paszport w biurze tego samego przedsiębiorstwa lotniczego za granicą, w miejscu swojego czasowego pobytu, a tamci po prostu zadzwoniliby i potwierdzili, że wszystko jest w porządku. Niestety okazało się to niemożliwe. Poradzono mu jednak, żeby dokonał rezerwacji. Z tym, że biuro lotnicze — to się przecież rozumie samo przez się — nie gwarantuje mu, że będą wolne miejsca. trzeba przychodzić i pytać. Cóż było robić? Nie było innego wyjścia, więc przystał na taką propozycję. Powiedziano mu jeszcze, że na lotnisku jest kasa biletowa czynna całą dobę, w której owa znajoma będzie mogła wykupić bilet osobiście, pod warunkiem, że będą wolne miejsca. No dobrze, ale co zrobić jeśli miejsc nie będzie? Jedynym pocieszeniem było to, że chodziło o samolot wylatujący w pierwszy dzień świąt, więc może nie będzie wtedy zbyt wielu chętnych do opuszczania tego gościnnego kraju. Teraz pozostało tylko czekać na bliski dzień przyjazdu znajomej.

Aż wreszcie nadszedł. Na lotnisku było tłoczno, zbliżały się przecież święta. Ludzie witali się, żegnali, płakali, śmiali się, no słowem, mimo późnej nocnej pory działo się tutaj bardzo wiele. Ale nasz bohater czekając na przylot interesującego go samolotu zajmował się głównie tym, czy w kasie są bilety czy nie. Był to bowiem człowiek solidny i jak się już czegoś podjął, to chciał doprowadzić całą sprawę do końca. Okazało się, że bilety są jeszcze, więc niecierpliwie czekał na swoją znajomą. Była to przecież przedświąteczna noc i bilety można było kupić tylko tutaj.

W końcu samolot wylądował, odprawa przebiegła nawet dość sprawnie, oni spotkali się i teraz pozostało tylko zakupić bilet. Udali się więc do kasy, ale tu okazało się, że kasa jest zamknięta. Mężczyzna zaczął nerwowo biegać po lotnisku i pytać wszystkich, no, może prawie wszystkich, którzy tej nocy pełnili dyżur, co się dzieje i dlaczego w kasie nie ma nikogo, chociaż jeszcze przed chwilą miła pani kasjerka siedziała w swoim okienku. Każdy jednak odpowiadał, że to niemożliwe, by tam nikogo nie było, trzeba czekać. Odczekali więc cierpliwie jeszcze piętnaście minut i podzielili się na dwie grupy, ona monotonnie pukała w szybę okienka, on natomiast poszedł szukać kierownika zmiany. Ale i kierownika nigdzie nie było. Wrócił wtedy do niej i razem (już wcale nie monotonnie) pukali do zasłoniętej ładną firanką kasy.

Wreszcie firanka się uchyliła i wyjrzała zza niej lekko zaspana kobieta, która autorytatywnie oświadczyła, że teraz biletów to ona nie sprzedaje, ponieważ robi to tylko przed odlotem każdego samolotu. To, że właśnie jakiś samolot odlatywał, nie miało rzecz jasna większego znaczenia i kasjerka zniknęła. Wtedy on i ona nie wytrzymali już nerwowo i zaczęli uderzać w szybę nieco mocniej. Po kilku minutach znowu ujrzeli twarz, tym razem mocno zdenerwowanej pani, która powiedziała, że za wszczynanie burd zaraz wezwie organy porządkowe i po raz kolejny opuściła firankę. Oni jednak nie wystraszyli się i nie ustąpili, dalej tkwili na swoich miejscach i pukali.

Ludzie! W końcu poskutkowało! Pani, nie mogąc zapewne spać, otworzyła kasę i wreszcie sprzedała im bilet. Sama operacja sprzedaży biletu trwała 5 minut, ale okupiona została 40-minutowym bieganiem po lotnisku i trochę nadszarpniętymi nerwami.

A teraz zapowiedziany w tytule konkurs. Proszę powiedzieć, w jakim europejskim kraju działa się ta historia?

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Mów co chesz

W mojej przedwojennej Warszawie od Alei Ujazdowskich ku Wiśle w dół biegła stroma waska uliczka. Jedną jej stronę stanowiło wysokie ogrodzenie Parku Ujazdowskiego, drugą stronę równie wysokie, żelazne sztachety Botanicznego Ogrodu. Wysadzana była wielkimi, gęsto rosnącymi kasztanami, nikt więc tam nie mieszkał, rzadko kto w tamtą stronę się zapuszczał. Nazywała się Agrykola, a w sztubackim żargonie Karpaty, bo była stroma i kamienista.

Tą ulicą, jak zielonym tunelem dochodziło się, a właściwie dobiegało do jednego z najbardziej ulubionych punktów zbornych warszawskiej młodzieży. Mieścił się tam mianowicie Międzyszkolny Park Sportowy im. Króla Jana Sobieskiego. Był on niedostępny dla tzw. normalnej publiczności i trzeba było przy wejściu pokazać legitymację ucznia szkoły średniej od szóstej klasy wzwyż. Czego tam w środku nie było! Wielka bieżnia zamieniana zimą w lodowisko, boiska do koszykówki i siatkówki, dwa tory saneczkowe — jeden mniejszy, drugi tak duży, że zjeżdżały tamtędy bobsleje, spora skocznia narciarska, boiska do gry w hokeja i korty tenisowe. Nie było tylko boiska do piłki nożnej, gdyż sport ten uznany za zbyt brutalny w stołecznych szkołach był zakazany. Wszystkie obiekty sportowe oraz towarzyszące im szatnie, bufety itp. poukrywane były w pięknej zieleni, na wysokiej, przedhistorycznej, wiślanej skarpie. Bardzo to był piękny ogród.

Dziś uliczka Agrykola zamieniła się w Trasę Łazienkowską i od tej pory nie byłem w tamtych okolicach, nie wiem jak wyglądaja. Zdaję się, że Park Sportowy istnieje nadal, być może w mniejszym rozmiarze i może nie w tym samym miejscu.

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się z prasy, że na terenie parku w Agrykoli powstanie warszawski Hyde Park, znaczy takie miejsce, gdzie każdy może przyjść, wejść na jakąś skrzynię, kamień lub na specjalnie zbudowaną trybunkę i wygłosić przemówienie na dowolny temat, byle zgodnie z obowiązującą konstytucją. Jeżeli Hyde Park powstaje zamiast parku sportowego to wielka szkoda, bo znacznie ważniejsze byłoby uganianie na łyżwach i skakanie o tyczce niż popisy słowne różnych półinteligentów i maniaków. Jeżeli Hyde Park znajdzie się gdzieś obok obiektów sportowych, to niech sobie będzie, tyle że miejsce jest od ulic uczęszczanych oddalone i wielkiej frekwencji spodziewać się nie należy. No i dobrze. Bo gdyby dopisała frekwencja, to z całej tamtejszej zieleni, po paru tygodniach zostałby tylko śmietnik.

Londyński Hyde Park jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju i chyba nigdzie poza tym na świecie nie istniejącym. Czy to nie powód do prawdziwej dumy: „Oto stajemy się drugim Londynem?"! Na razie chętnych do wygłaszania kazań nie ma. Może nie zdążono z imprezą przed wyborami, może przetoczyłaby się tamtędy wielka lawina gadulstwa, może z kilkudziesięciu mównic naraz słyszelibyśmy te same obietnice, że trzeba chronić przyrodę, budować więcej szkół, sprowadzić więcej leków oraz potanić twarożek. Nasłuchałem się takich „programów" wyżej uszu także i bez Hyde Parku, a tylko jedną oryginalną obietnicę zapamiętałem, gdy pewna kandydatka na posła ogłaszała wszem wobec, że ma przystojnego męża, dzięki czemu nie będzie musiała tracić czasu podczas pracy poselskiej na rozglądanie się za panami. To jest cytat autentyczny. No dobrze, ale wybory minęły, miejsce występów w Agrykoli pozostanie i o czym będą tam mówić wszelkiego autoramentu maniacy? Czy aby nie będzie tak, że z każdej trybunki usłyszymy potężne wiązanki naszego soczystego, współczesnego języka? Czy nie wystarczą kawiarnie od trzeciej do pierwszej kategorii włącznie? Czy będzie się tam zbierać podpisy — trzy tysiące co najmniej? Oczywiście po jednym dniu okaże się, że każdy z mówców zebrał tyle podpisów, ilu zatrzymało się koło niego słuchaczy.

Można byłoby zrobić z tego wszystkiego atrakcję turystyczną, zwozić tam autokarami cudzoziemców, niechby zobaczyli prawdziwą demokrację. Uczęszczałem niegdyś na seminarium profesora Tadeusza Kotarbińskiego z prakseologii, czyli nauki o celowym działaniu. Profesor sprowadzał zasady celowego działania do odpowiedzi na trzy pytania stawiane zawsze w takiej kolejności: „po co?", „co?", „jak?". Jeśli chodzi o warszawski Hyde Park myślę, że już po pierwszym pytaniu zaniechalibyśmy stawiania dalszych dwóch.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

OD REDAKCJI: Zgodnie ze stanowiskiem naszej redakcji dopuszczamy do głosu różne poglądy. Na tej zasadzie drukujemy felieton Włodzimierza Krzemińskiego. Mamy jednak na ten temat zupełnie inne zdanie.

3

Kiedy będzie normalnie?

1.

Był sobie przy hotelu „Centrum" mały barek. Trzy okrągłe stoliki, Parę dań barowych, trochę zimnych zakąsek z restauracyjnego bufetu, napoje, wina, wódka i koniak. Ruch stały i wcale niemały. Ceny też niemałe. Na dodatek stale rosnące. Można było się spodziewać, że barek przynosił dochód i nikt nie musiał do niego dopłacać. Na przykład moja ulubiona „zupa — gulasz" jeszcze na początku roku kosztowała 250 złotych, a w dniu zamknięcia barku — 525 złotych. Wzrost wcale pokaźny, przeszło 100 procent, a mimo to barek zamknięto. Ponoć lokal wynajęto jakiemuś powstającemu prywatnemu biuru turystycznemu. Biuro będzie płacić wysoki czynsz i to ma pokryć dochody z barku, jeśli był on rzeczywiście dochodowy, bo z tym u nas nigdy nic nie wiadomo.

Jakoś nie mogę tego zrozumieć. Nie tylko mnie wydaje się, że w Łodzi potrzebne są małe barki, do których można byłoby po prostu wejść, zjeść „coś małego", napić się piwa, albo i kieliszek wódki, popić „pepsi colą" i dalej. Tak by się wydawało. Ale tak nie jest. Takich barków mamy mało, bardzo mało i już od kilku dni o jeden mniej. Dlaczego? Nie mogę tego pojąć?

A jeśli się zważy, że od niepamiętnych czasów ludzie stawiali przy drogach karczmy, budowali zajazdy i utrzymywali się z tego, to już zupełnie nic nie rozumiem...

2.

Przejrzałem gazety i wynotowałem sobie różne dziedziny, gdzie brakuje ludzi do pracy. Brakuje ich w Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Dźwigowych. To bardzo ważne przedsiębiorstwo. Ono reperuje windy. Ludzie się cieszą, że „mury pną się do góry" — jak głosi stara piosenka, bo będą mieli mieszkania. W tych murach, jeśli są one wysokie, to potrzebna jest winda. A windy psują się. Niegdyś 80 wind psuło się w ciągu doby, teraz psują się 94. I psucie się wind wykazuje tendencję rosnącą, jakby powiedział jakiś biurokrata. A ludzi do reperowania wind nie ma. Ludzie nie chcą pracować w Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Dźwigowych, bo mało tam zarabiają...

3.

Na poczcie też ludzie nie chcą pracować. W łódzkim województwie miejskim brakuje 225 osób do pełnego zatrudnienia. Brakuje listonoszy, panienek w okienkach, brakuje innych ludzi do różnych prac. Listonosze nie przynoszą zaprenumerowanej prasy, nie przynoszą listów.

Moim nieszczęściem jest fakt, że parę instytucji w PRL zna mój prywatny adres. Ich zdaniem wysyłanie korespondencji na mój prywatny adres jest bezpieczne, gdyż — ich zdaniem — gwarantuje szybkie i sprawne dostarczenie mi tej korespondencji. Te instytucje mylą się. Byłoby dużo sprawniej, gdyby wysyłały mi listy pod adresem redakcji. W redakcji zawsze ktoś jest i odbierze przesyłkę i szybko mi ją dostarczy, jak się tylko pojawię. W redakcji jest też winda. Łatwo więc dostać się na 13 piętro. W domu jest natomiast skrzynka na listy, a ja mieszkam na 3 piętrze i w bloku nie ma windy, bo są tylko 4 piętra. Listonosz z zasady nie wchodzi na górę. Wkłada do skrzynki zawiadomienie o nadejściu pieniędzy lub listu i idzie spokojnie dalej. Teraz ja muszę biegać na pocztę, aby odebrać to, co powinno było dotrzeć do mnie do domu.

Na poczcie w łódzkim województwie w 1988 roku średni zarobek wynosił 53.000 złotych...

4.

Jest tak:

— taksówkarz nie może normalnie kupić samochodu, chyba że na giełdzie, a samochód jest dla niego narzędziem pracy;

— dziennikarz nie może normalnie założyć sobie telefonu, który też jest dla niego narzędziem pracy; ma poza tym kłopoty z innymi narzędziami pracy, z papierem, maszyną do pisania, aparatem fotograficznym, filmami, magnetofonem;

— rolnik ma kłopoty z normalnym kupieniem potrzebnych mu maszyn rolniczych, nawozów i innych urządzeń, które są mu potrzebne do pracy...

Czy mam dalej wyliczać?

Nie. Wszyscy to znamy i wszyscy tęsknimy za czasami, kiedy człowiek wchodzi do sklepu i tam go witają serdecznie jak z dawna oczekiwanego gościa, podsuwają mu prospekty, pokazują różne towary, zachęcają, służą fachowymi radami. Gość tylko martwi się, czy mu pieniędzy starczy, bo to mu się podoba, tamto musi kupić, a na kilka innych rzeczy ma ochotę...

Jak jest teraz, każdy widzi. Co zrobić, aby znów było normalnie? Tego — jak się wydaje — nawet najmądrzejsze głowy nie wiedzą. Ekonomiści kłócą się o najskuteczniejszy sposób przywrócenia normalności w gospodarce co równa się wyjściu z ciągnącego się latami kryzysu I nie ma między nimi zgody, a kryzys jest i dobrze się czuje...

5.

Uważnie obserwuję nasze życie codzienne i ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego u nas musi być nienormalnie? Że ktoś takie nienormalne przepisy wymyślił? No to znormalizować je natychmiast! Okazuje się, że łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Ale zrobić trzeba.

ZENON POROWATY

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II (21)

I Panu Bogu podpadli...

Jan Duch załatwił pomyślnie swoje problemy finansowe, miał już dosyć forsy, żeby zaszyć się gdzieś na odludziu i napisać powieść. Jerzy Giedroyć okazał się równym facetem: przysłał natychmiast tysiąc dwieście dolarów, o które go Jan Duch poprosił. Liczył na powieść, która byłaby początkiem właściwego rozwoju pisarza — może od tego momentu ten nieszczęsny człowiek da się poprowadzić za rękę, zadeklaruje raz na zawsze swoją nienawiść do komunizmu i włączy się do walki o nowy porządek w Polsce. Jan Duch zrozumiał, że Jerzy Giedroyć raz jeszcze otwiera przed nim szansę, ale nie chciał zrezygnować ze swoich poglądów. Jakie miał poglądy? Żadnych, i właśnie dlatego nie chciał rezygnować. Z czego? Ze swobody nieposiadania poglądów.

Znam Jana Ducha nieźle, obserwuję go od kilku dziesiątków lat. Mimo „nowoczesnych", tak zwanych rynkowych tendencji, które ujawnia w wywiadach prasowych podczas obecnej wizyty w kraju, mimo zafascynowania amerykańskim sposobem życia (do którego się w końcu przyzwyczaił), mam wrażenie, że Duch w głębi duszy (niezła zbitka!) jest utopijnym komunistą. Zdaje się, że sam o tym nie wie. A może myśli, że to się da ukryć! Gdzie tam. Każdy psycholog-amator z miejsca go rozgryzie. Oczywiście komunizm Jana nie ma nic wspólnego z dotychczasowymi doświadczeniami świata w tej dziedzinie. Ale podejrzewam, że w decydującym momencie, gdyby stanął przed koniecznością wyboru, opowiedziałby się za czerwonymi. Musieliby to jednak być bardzo zieloni czerwoni. Powiedział mi kiedyś, że warto komunizmowi dać szansę, w końcu katolicyzm też przeszedł swój etap „błędów i wypaczeń", Święta Inkwizycja ponoć wytłukła więcej ludzi niż stalinizm i hitleryzm razem wzięte — oczywiście w stosunku procentowym ofiar do ilości mieszkańców Europy w owym czasie. Czy Watykan przyznał się do błędów? Czy wystawił pomnik ofiarom represji? Czy napiętnował morderców? Nie. No i co? Czy ktoś urządza demonstracje pod murami Watykanu z tego powodu? Zapomnieli ludziska, wybaczyli, a teraz uciekają pod skrzydła niegdyś morderczej instytucji, szukają pociechy od klęsk zadanych przez złego Stalina... Nie przyjdzie im do głowy, że Stalin był betką w porównaniu z Torquemadą, Wielkim Inkwizytorem.

Zabawny jest ten świat, wieczne przedszkole, w którym rolę wychowawców pełnią zboczeńcy. Świat ludzi, twierdzi Duch, jako całość nigdy nie dojrzeje. Dojrzewają jednostki, każda na własny rachunek. I każda ma szanse zorganizować sobie swój własny komunizm, wewnątrz swojej głowy, w ścianach swojego domu. Kapitalizm daje na to obecnie większe szanse, dlatego Duch, idealistyczny podświadomy komunista, preferuje raczej życie za oceanem niż w Polsce. Ale nie akceptuje kapitalistów tak samo, jak na początku emigracji, może jeszcze bardziej, bo więcej o nich wie. Mówiąc krótko: w pojęciu Ducha prawdziwy, poważny kapitalista, to taki sam wariat jak Adolf Hitler, czy Józef Stalin. Obsesyjny, kompulsywny kolekcjoner potencji, umożliwiającej manipulowanie ludźmi. Czy to będą udziały w największych bankach świata, czy doskonale zorganizowana sieć donosicieli — co za różnica? To tylko rozkosznym przedszkolakom po wyższych studiach wydaje się, że różnica jest. Ale jej nie ma.

Ten wstęp był potrzebny, żeby zrozumieć, dlaczego Jerzy Giedroyć nie wydał powieści, napisanej przez Jana Ducha. Odesłał mu maszynopis, pisząc krótko, że do siedemdziesiątej strony utwór mu się podoba, ale dalej okazuje się nie do przyjęcia. Giedroyć nie wyjaśnił, dlaczego. Ktoś inny przekazał Duchowi opinię kręgu ludzi, czerpiących kalorie z koryta „Kultury" paryskiej. Podobno Duch zademonstrował niebywały cynizm w stosunku do najwyższych wartości moralnych współczesnego świata. Oskarżenie ciężkie, lecz Duch z uśmiechem przyjął wyrok. Bóg świadkiem, że Duch w najmniejszym stopniu nie jest cynikiem. Ale kto by tam zwracał uwagę na Boga. Nawet tacy moraliści jak redaktorzy „Kultury" używają pojęcia „Bóg" wyłącznie jako atutu w grze politycznej.

Mnie powieść Ducha, zatytułowana „Zoom" i wydana kilka lat później w Kanadzie po angielsku spodobała się bardzo, chłopina nie żałował sobie i przejechał się „po wsiech"; dostało się komunistom, klerowi i dziennikarzom. Ale nie dopatrzyłem się cynizmu w tym szczerym krzyku rozpaczy, będącym wynikiem zderzenia młodego narratora ze skorumpowanym do cna światem.

Duch wydał swoją książkę pod pseudonimem. Poprosiłem go o odstąpienie mi tematu, a właściwie o udzielenie pozwolenia na przeróbkę utworu. I tu jest cynizm, ale mój, nie Ducha! Dał mi prawo wykorzystania rzeczy na rynku polskim. Wyrzuciłem ponad sto stron, resztę przetłumaczyłem na polski i opublikowałem w kraju utwór pod tytułem „Zmienna ogniskowa". Oczywiście nie ma w nim ani słowa krytyki pod adresem komunistów.

Dlaczego? Być może jestem cyniczny. Lecz prawdziwy cynizm sprawia frajdę wtedy, kiedy jest jawny. Tchórz nigdy nie będzie cynikiem. A co, jeśli powiem, że nie tylko Duch, ale ja też jestem komunistą? Za kogo weźmie mnie Czytelnik — za cynika, czy tchórza? A może za odważnego głupca?

Ciekawe, czy załatwiłoby sprawę następujące wyjaśnienie:

„Obecnie jestem konstruktywnym anarchistą o zielonym odcieniu, zwolennikiem powszechnego dobrobytu w skali średniej, gdzie wszelkie przerosty w dół lub w górę byłyby zdecydowanie, w trybie natychmiastowym ścinane. Przy tym bliski mi jest światopogląd materialistyczno-naukowy, lecz nie potrafię powiedzieć, kiedy przestanie dawać mi satysfakcję. Być może dziura we mnie zmieni kształt, i wtedy trzeba będzie ją zapchać czymś innym."

Nawiązujemy przyjaźnie, zawiązujemy związki, składamy przysięgi na wierność przyjaciołom, żonom, członkom tych samych klubów — i wszystkie te osoby nam również coś przyrzekają: kłaniamy się pomnikom, modlimy do portretów, wywalamy się na wznak przed symbolem, czy to będzie kawałek materiału zawieszony na kiju, czy głowa jakiegoś starca ulepiona z gipsu. Każdy z tych aktów i symboli może stracić swoje znaczenie w jednej, krótkiej chwili.

To wszystko zostało powiedziane po to, żeby położyć „background", czyli tło, pod list Jana Ducha, skierowany do Jerzego Giedroycia po odrzuceniu przez tego drugiego książki pierwszego. Duch napisał krótko:

„W tej sytuacji nie widzę możliwości dalszego utrzymywania współpracy z redagowanym przez Pana miesięcznikiem. Proszę o zwrot maszynopisów. Mam nadzieję, że czytelnicy „Kultury", synowie prawie Pługa i Zakrystii, przyjmą ten fakt z ulgą."

Był to bodaj koniec 1974 roku, może wiosna roku następnego. Wspomniał coś Duch o zamierzonym przez niego zwrocie stypendium, które mu Giedroyć udzielił. Ale z tamtej strony nadszedł sygnał, że jak Duch będzie miał, to i owszem, jeśli zaś nie ma, to nie powinno mu to spędzać snu z powiek. Bardzo ładnie. Duch nie oddał im tych pieniędzy, a oni się nie upominają — to znaczy, że jednak mają jakieś doświadczenie, wyniesione z kontaktów z prawdziwymi pisarzami. Prawdziwy pisarz bowiem nigdy nie oddaje długów.

I w ten sposób zarówno Duch jak i ja podpadliśmy Panu Bogu. Ale Duch bardziej i żywię nadzieję, że ja pójdę po śmierci tylko do czyśćca na sześćset osiemdziesiąt lat, a on do piekła na zawsze.

O to, co ten grzesznik zrobił — i jedynie rozpacz z powodu zerwania z Giedroyciem może to działanie usprawiedliwić.

Zbliżała się beatyfikacja Maksymiliana Kolbego, zakonnika, który w obozie koncentracyjnym Auschwitz zamienił się na miejsca z więźniem, skazanym na śmierć. Była to głośna w swoim czasie sprawa. Casimir de Orly oraz Stanley Gral wpadli na pomysł, że warto by nakręcić film, obrazujący w tani i przystępny sposób losy zakonnika, łącznie z jego bohaterską śmiercią.

Zaproponowali Duchowi, żeby napisał scenariusz godzinnego filmu, który po zrealizowaniu byłby wyświetlany w parafiach katolickich kontynentu.

Jan Duch nie miał do tematu żadnego określonego stosunku. Trzymał się z daleka zarówno od polityki, jak i od religii. Nominalnie był katolikiem, pierwsza komunia, bierzmowanie, kiedyś nawet w internacie szkolnym ustawiono go na ministranta, ale odszedł od tych spraw tak szybko, jak tylko mógł. Postępek Maksymiliana Kolbego, który oddał życie za współwięźnia podobał mu się i nawet w dobry sposób poruszał jego wyobraźnię, ale bez przesady. Każdy ma przecież swoją grę z życiem i ze śmiercią.

— Ile zarobię na tym filmie? — zapytał więc Duch.

— Będziemy się dzielić zyskami, po równo — odparł Gral. — My z Kaziem wnosimy do spółki po pięćdziesiąt tysięcy każdy. Ty możesz być zwolniony z wkładu, bo wnosisz realną podstawę spółki, to znaczy scenariusz.

Duch jednak nie chciał pisać scenariusza za darmo, na ryzyko. Niedawno znów podjął pracę, jeździł na długie trasy, musiałby się zwolnić i posiedzieć przy maszynie co najmniej dwa miesiące. Zażądał dziesięciu tysięcy, które zrekompensowałyby utracone zarobki. Dostał tysiąc zaliczki i zabrał się do pracy.

Szybko pojął, że lepiej będzie zrobić film pełnometrażowy, fabułę opartą na dokumentach. Można zaangażować reżysera i aktorów z Polski, zdjęcia które powinny być dokonane we Włoszech i w Japonii można zastąpić „stillsami", albo kawałkami dokumentów, i puszczać aktorów szybko we wnętrza. Cała zabawa nie powinna kosztować więcej niż dwieście tysięcy dolarów.

Pisał więc jak najtańszy film. Wybrał sobie pseudonim: Adam Szary, ponieważ wiedział, że w Polonii miał opinię komunisty, nacjonalisty, moczarowca, antysemity oraz antykatolika. To mogłoby zmniejszyć frekwencję na seansach, jeśli wręcz nie uniemożliwić powstanie filmu.

Jeśli chodzi o perspektywy finansowe, to rysowały się one wspaniale. Najlepiej wyjaśnił to Cas de Orly:

— W Kanadzie mamy sto polskich kościołów, każdy ma sale na przynajmniej pięćset osób. Dwa seanse na parafie, przy pełnych salach, ponieważ ksiądz dostanie dolara od biletu. My bierzemy cztery dolary. To nam daje czterysta tysięcy w samej Kanadzie. Możemy film zdubbingować, albo dać napisy i puścić w parafiach portugalskich, włoskich, hiszpańskich. Co najmniej sto tysięcy widzów, i znów czterysta tysięcy w kieszeni.

Stan Gral nie był tą perspektywą zachwycony. On myślał w kategoriach milionów.

— Musimy wejść na rynek Stanów — powiedział. — Tam jest ponad dziesięć milionów ludzi polskiego pochodzenia.

— Ponad połowa z nich dawno przestała mówić po polsku i trzymać kontakt z kościołami — powiedział Duch.

— Ale mamy w Stanach około sześćdziesięciu milionów katolików! Nie tylko Polacy będą oglądać nasz film. Kolbe jest świętym dla wszystkich katolików. Pójdą na film tłumy, już księża o to zadbają. Zapłacimy im przecież.

— Możemy liczyć na pięć milionów widzów?

— Jestem przekonany, że tak

— powiedział Gral.

— Możemy liczyć na zysk w granicach trzydziestu, do trzydziestu pięciu milionów dolarów. A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę Brazylię. Są tam duże skupiska Polonii...

— Skupisko jest w Kurytybie — przerwał Duch — reszta rozsiana po całym terenie, a wiecie, jak duża jest Brazylia...

— Nie szkodzi. Weźcie też pod uwagę Australię, a także południową Afrykę, gdzie na pewno jest ponad sto tysięcy Polaków.

— Słyszałem, że na Polinezji żyje jakaś polska rodzina — powiedział sarkastycznie Duch.

— Można by tam do nich...

— W Australii niektóre gatunki kangurów już zaczynają rozumieć po polsku, krzyczą po nocach: kurrr... kurrr... — powiedział Gral.

Uśmiali się wszyscy.

Kiedy scenariusz był gotowy, Gral i Kaziu wpadli w euforię. Dali tekst na kopiarkę i nie wiadomo po co zrobili dwieście odbitek. Następnie posłali Jana Ducha do Rzymu, żeby przedstawił scenariusz do merytorycznej akceptacji przez zakon franciszkanów. W ciągu tygodnia Duch załatwił sprawę: przeor zgodził się przybyć do Kanady na okres kręcenia filmu i pełnić funkcję konsultanta.

Scenariusz podobał się bardzo, opinia została wyrażona na piśmie. Duch udzielił również wywiadu dla Radia Watykan — rozmowę z nim przeprowadził sam dyrektor rozgłośni, Stefan Filipowicz, jezuita, który zresztą po pewnym czasie odwiedził Ducha w Kanadzie w drodze na nową placówkę w Chicago.

Stan i Cas w tajemnicy przed Duchem wymienili z ojcem-konsultantem kilka listów. Pisali kłamliwie do zakonnika, że Andrzej Wajda zgodził się reżyserować film. W odpowiedzi znalazły się takie słowa: „Jest to zrządzenie Pana naszego, że tak wielki talent, jak pana Wajdy, zechce zająć się pokazaniem losu jednego z Jego wiernych sług." Na wiadomość, że budżet filmu przekroczy pięć milionów dolarów, poczta z Italii przyniosła taką oto odpowiedź: „Wartości dzieła nie można wymierzać li tylko w kategoriach monetarnych. Niechby realizacja tej zbożnej idei pochłonęła i dziesięć milionów! Wierzymy, że pod uważnym kierownictwem p. Wajdy najlepsi kanadyjscy i polscy aktorzy stworzą dzieło wiekopomne."

Stan Gral i Casimir de Orly zniknęli z Toronto, nie wypłacając Duchowi należnego honorarium. Zdołał przedtem wycisnąć z nich jeszcze trochę forsy, i przepadli jak kamień w wodę. Wiedzieli, co robią.

Nawiązali kontakty z bogatymi duszpasterzami w Stanach. Tu trzeba wyjaśnić, dlaczego te kontrowersyjne słowa: „bogaci" i „duszpasterze" stoją obok siebie w zgodzie i nie wyją z rozpaczy, szczególnie gdy się pomyśli o świętym Franciszku z Asyżu. Ale jeśli ksiądz w Kanadzie i w Stanach chce być człowiekiem biznesu, to nikt mu nie może przeszkodzić, nawet Pan Jezus.

Znałem osobiście w mieście Hamilton w Kanadzie, gdzie mieszkałem przez kilka lat, księdza C., proboszcza dużej parafii. Miał on wielką pasję: robienie pieniędzy. Kupował domy i działki budowlane w mieście i okolicy. Robił to przez kilkadziesiąt lat. Plac, niegdyś kosztujący pięćset dolarów, dziś kosztuje pięć milionów. Kilka lat temu proboszcz umarł, zostawiając „estate" o wartości pięćdziesięciu milionów dolarów. Wszystko to zapisał swojej gospodyni, trzydzieści lat od niego młodszej — pod warunkiem, że ta nigdy nie wyjdzie za mąż.

Znałem adwokata, który prowadził prace testamentowe. Zadał mi pytanie:

— Jak to jest, że bogate dewotki i rozmaici wariaci zapisują swoje majątki na kościół, a jeszcze nie spotkałem się z przypadkiem, żeby ksiądz zapisał kościołowi to, co nazbierał przez swoje pracowite życie?

Ludzie są tylko ludźmi, niejeden księżulo lubi gromadzić dobra doczesne tak samo jak Stan Gral, jak Cas de Orly, czy skorumpowany przedstawiciel władzy w Polsce, w Meksyku i w Kanadzie.

Dwaj spryciarze wiedzieli dobrze, kto ma forsę. Znaleźli dojście do tych ludzi. Pokazywali rekomendacje, listy. Obiecywali czterdzieści procent zysku od inwestycji powyżej pół miliona. Obiecywali wydanie okolicznościowej księgi dziękczynnej z imiennym podziękowaniem dla inwestora. A także wyróżnienie darczyńców na ekranie w czołówce filmu, oraz w napisach końcowych.

Na domiar wszystkiego okazywali potencjalnym inwestorom list Wajdy, wyrażający zgodę na reżyserowanie filmu. Nie był to jednak ten Wajda. Był to amerykański obywatel polskiego pochodzenia, Alexander Wayda, który za dziesięć tysięcy dolarów zgodził się podpisać legalny kontrakt z firmą „Lighthouse Productions Ltd", założoną przez Kazia i Stasia. Podpisał go swoim nazwiskiem, nie było w tym żadnego kantu: A. Wayda. Miał prawo zgodzić się na reżyserowanie filmu, co mu zaproponowali dwaj mili panowie. Inwestorzy nie zwrócili uwagi na „y" w nazwisku, choć powinno być jot". Pierwszą literę imienia brali za inicjał Andrzeja, bo jeśli Wajda, to jakże mogłoby być inaczej.

W ciągu trzech miesięcy dwaj koledzy wykonali klasyczny rip-off na sumę pięciu milionów dolarów.

Naciągnęli samych księży, ani jednego cywila. Księża podpisywali z nimi umowy, kierując się tekstem scenariusza, opiniami ekspertów, rekomendacjami zawartymi w korespondencji. Proponowany system dystrybucji filmu, po salach parafialnych, również dodawał pewności. Wszystko wszak miało się rozegrać jakby w rodzinie, na dobrze znanym gruncie. Znali swoje parafie, wiedzieli, że przy odpowiedniej reklamie z ambony mogą liczyć na tysiące widzów. Wiedzieli, że każdy ksiądz zrobi to samo, nakaże uczestnictwo w zbożnym akcie oglądania filmowego dzieła o wielkim świętym naszego stulecia. Kalkulacja była prosta, oparta na zaufaniu, na pewności, nic tutaj nie mogło nawalić.

Biedni bogaci księża nie wiedzieli tylko jednego: że film może po prostu nie powstać. Producentom aż nadto wystarczyło pieniędzy na dalszą drogę życia.

Jedenastu proboszczów poniosło straty na sumę pięciu milionów amerykańskich dolarów — i żaden z nich *nie zgłosił przestępstwa do* władz. Nie były to bowiem straty duże. Każdy z nich posiadał *dobra doczesne na sumę* przynajmniej dziesięciu milionów. A byli też tacy, którzy „byli warci", *jak to się* w Stanach mówi, po sto milionów.

To tylko Wam, Czytelnicy, oraz piszącemu te słowa wydaje się, że pół miliona dolarów to suma duża. Dla wielu ludzi jest to suma przeciętna, którą można czasem stracić, czasem zyskać. Tym razem „inwestorzy" stracili, ale nie było powodów do rozdzierania szat. Należało uniknąć rozgłosu.

Cas i Stan usunęli się z oczu ludzi w Toronto, ale nie ze strachu przed zemstą. Księża się nie mszczą.

Stan Gral i Casimir de Orly narazili się jednak poważnie Panu Bogu. Duch i ja to co innego, my jesteśmy otwarci na propozycje, argumenty, doceniamy istotne wartości. Natomiast te dwa zwierzaki... Szkoda słów. Podpadli.

Duch wrócił na „tractor-trailer", jeździł znów na dalekie, transkontynentalne trasy. Kalina pracowicie studiowała. A w dalekiej Belgii Georgia szykowała Duchowi niespodziankę.

C.D.N.

Rys. Dariusz Romanowicz